

SAFAK ELIF

**Czarne mleko
O pisaniu, macierzyństwie
i wewnętrznym haremie**

Przełożyła
Natalia Wiśniewska

Dla trzech kobiet:
Beyzy, Aurory i Zeldy

„Przez siedemdziesiąt lat kobiety traciły w moich oczach i nadal tracą. Kobiety! Jak tu o nich nie rozprawić. Istotne jest jednak nie to, że powinny kontrolować życie, ale to, że powinny przestać je rujnować”.

Tołstoj mizoginista

„Celem życia nie powinno być odnalezienie szczęścia w małżeństwie, lecz sprowadzenie na świat więcej miłości i prawdy. Zawieramy związki małżeńskie, by wspierać się w tym zadaniu”.

Tołstoj feminista

„Wzbudza we mnie wielką czułość (jego córka Masza). Tylko ona. Rzekłbym, że ona jedyna za wszystkich”.

Tołstoj raz jeszcze

DO CZYTELNIKA

Byłam w Stambule podczas trzęsienia ziemi w 1999 roku. Mieszkałam wówczas w jednej z najbarwniejszych, najbardziej tętniących życiem dzielnic, gdzie wygląd domów różnił się od siebie podobnie jak historie ich lokatorów. Gdy o trzęsieniu nad ranem wraz z innymi wybiegłam z budynku, ujrzałam coś, co sprawiło, że stanęłam jak wryta. Po drugiej stronie ulicy właściciel pobliskiego sklepu spożywczego — gburowaty starzec, który nie rozmawiał z ludźmi z marginesu ani nie sprzedawał im alkoholu — siedział obok transwestyty w długiej, czarnej peruce na głowie i z czarnym tuszem do rzęs rozmazanym na policzkach. Obserwowałam, jak leciwy mężczyzna, blady niczym duch, drżącymi rękami otwiera paczkę papierosów i wyciąga ją w stronę sąsiada. To właśnie ten obraz do dziś jest moim najwyraźniejszym wspomnieniem z tamtej nocy: konserwatywny sklepikarz i zapłakany transwestyta, palący ramię przy ramieniu. W obliczu kataklizmu i śmierci zniknęły wszystkie prozaiczne nieporozumienia — stworzyliśmy Jedność, nawet jeśli tylko na kilka godzin. Zawsze wierzyłam, że opowieści wywierają na nas podobny wpływ. Nie twierdzę, że fikcja ma moc trzęsienia ziemi, ale gdy czytamy dobrą książkę, na pewien czas opuszczamy nasze przytulne mieszkania i poznajemy fikcyjne losy ludzi, których nigdy wcześniej nie spotkałiśmy, i do których mogliśmy nawet czuć niechęć jako do Innych.

Wiele lat później przypominałam sobie tamtą noc w zupełnie odmiennej sytuacji: po urodzeniu pierwszego dziecka wpadłam w głęboką depresję, która oddzieliła mnie od mojej życiowej namiętności, do tej pory cenionej przeze mnie nade wszystko, a mianowicie od Pisarstwa.

Przeżyłam wstrząs emocjonalny. Przerazona i drżąca wybiegłam z budynku własnego ja, który od dawna pieczołowicie konstruowałam. W ciemnościach napotkałam grupę Calineczek — sześć maleńkich kobiet, siedzących jedna przy drugiej. Każda wyglądała jak inna wersja mnie. Dwie z nich ujrzałam po raz pierwszy. I pomyśleć, że gdybym nie znalazła się w wyjątkowej sytuacji z powodu depresji poporodowej, nigdy nie dowiedziałabym się o istnieniu tych innych stron mnie samej. Calineczki żyłyby w moim ciele i mojej duszy, głuche na siebie nawzajem, niczym sąsiadki, które dzielą się przestrzenią, choć nigdy dobrym słowem.

Kto wie, może wszystkie kobiety żyją z takim wewnętrznym harem i może to właśnie rozbieżności, napięcia i brak harmonii między naszymi skłóconymi jaźniami czynią nas takimi, jakimi jesteśmy?

Ułynęło trochę czasu, nim poznałam i pokochałam wszystkie sześć Calineczek.

Na kartach tej książki spisałam historię tego, jak zmierzylam się z moją wewnętrzną różnorodnością i tego, jak nauczyłam się tworzyć Jedność.

Jestem pisarką.

Jestem koczowniczką.

Jestem kosmopolitką.

Jestem miłośniczką sufizmu.

Jestem pacyfistką.

Jestem wegetarianką i jestem kobietą, mniej więcej w tej kolejności.

Tak opisałam siebie przed ukończeniem trzydziestego piątego roku życia.

Do tej pory postrzegałam siebie przede wszystkim jako gawędziarkę. Dawniej ludzie tacy jak ja opowiadali historie zgromadzeni przy ognisku, pod niebem tak rozległym, że nigdy nie można było mieć pewności, gdzie się kończy, jeśli w ogóle miało kres. W Paryżu pisali do gazet, by uciuć na czynsz. W pałacu despotycznego sułtana snucie opowieści dawało im prawo do przeżycia jeszcze jednego dnia. Czułam się związana z tymi gawędziarzami z zamierzchłej przeszłości — nieważne, czy byli to anonimowi pisarze, Balzac czy piękna Szeherazada. Prawda jest taka, że — podobnie jak wielu innym pisarzom — bliżsi mi byli zmarli literaci niż ci żyjący i chyba więcej łączyło mnie z wymagowanymi postaciami niż z tymi, które były prawdziwe, a właściwie zbyt prawdziwe.

Właśnie tak żyłam. I tak zamierzałam żyć nadal. Ale wtedy spotkało mnie coś całkiem niespodziewanego, cudownego i zdumiewającego: Macierzyństwo.

To zmieniło wszystko, zmieniło mnie.

Czułam się w mojej nowej roli niczym nietoperz zbudzony przez światło słoneczne — bezradna i oślepiąca.

Gdy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, będąca czę-

ścią mnie pisarka spanikowała, kobietę ogarnęło radosne oszołomienie, pacyfistka zachowała bierną postawę, kosmopolitka zaczęła wymyślać międzynarodowe imiona dla dziecka, miłośniczka sufizmu przyjęła tę wiadomość z zadowoleniem, wegetarianka zmartwiła się, że będzie musiała jeść mięso, a koczownicza zapragnęła po prostu wziąć nogi za pas i uciec tak szybko, jak to tylko możliwe. Ale tak właśnie się dzieje, gdy jesteś w ciąży. Możesz uciec od wszystkiego i wszystkich, ale nie od zmian zachodzących we własnym ciele.

Gdy zaatakowała mnie depresja poporodowa, byłam całkiem bezbronna. Pojawiła się przede mną niczym ciemny, pozornie nie kończący się tunel, który śmiertelnie mnie przerażał. Gdy próbowałam przez niego przebrnąć, kilka razy upadłam, przez co moja osobowość potłukła się na kawałki tak małe, że w żaden sposób nie można ich było posklejać. Ale jednocześnie to doświadczenie pomogło mi zajrzeć w głąb siebie — poznać na nowo każdą odślonę mojego ja, cały ten wewnętrzny harem, z którym przeżyłam tyle lat. Depresja może okazać się wielką szansą daną nam przez życie. Dzięki niej możemy stawić czoło problemom, które, choć niezwykle istotne dla naszych serc, zostały odsunięte na bok, czy to z powodu pośpiechu, czy ignorancji. Nie jestem pewna, co wydarzyło się najpierw, a co nastąpiło później. Czy w pierwszej kolejności pokonałam depresję, a potem zaczęłam pisać? Czy może zdołałam wypełnić tunel dzięki temu, że skończyłam tę książkę? Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Moje wspomnienia z tamtego okresu są wyraźne i intensywne, ale z pewnością chronologicznie nieuporządkowane.

Mimo to jestem pewna, że ta historia została spisana czarnym mlekiem i białym atramentem — mieszanką gawędziarstwa, macierzyństwa, depresji i zamięłowania do podróży, destylowaną przez kilka miesięcy w temperaturze pokojowej.

Każda książka to wędrówka, mapa złożoności umysłu i duszy człowieka. A czytelnik to swoisty podróżnik. Niektóre wyprawy prowadzą do miejsc dziedzictwa kulturowego, podczas gdy inne koncentrują się wokół aktywnego wypoczynku i przyrody. Na kolejnych stronach chcę zabrać cię, drogi czytelniku, na wyprawę do dwóch miejsc jednocześnie: w Dolinę Dzieci i do Lasu Książek.

W Dolinie Dzieci opowiem ci o rolach, które określają nas, kobiety. Zacznę od tych związanych z kobiecością, macierzyństwem i pisarstwem. W Lesie Książek opowiem o życiu i twórczości różnych autorek — z czasów zamierzchłych i obecnych, ze Wschodu i z Zachodu — żeby sprawdzić, jak rozprawiły się z podobnymi tematami, bez względu na to, czy odniosły sukces, czy poniosły klęskę.

Ta książka została napisana nie tylko dla matek, które przeżyły albo przeżyją podobną depresję, ale dla wszystkich — dla mężczyzn i kobiet, dla osób samotnych i małżeństw, dla rodziców i dzieci, dla pisarzy i czytelników — którzy czasami nie radzą sobie w życiu z mnogością ról do odegrania i obowiązków do spełnienia.

Sufi wierzą, że każda ludzka istota jest lustrem, w którym

odbija się cały wszechświat. Twierdzą, że każdy z nas to chodzący mikrokosmos. A zatem być człowiekiem znaczy żyć w orkiestrze niewspółbrzmiących ze sobą dźwięków i mieszanych uczuć. Byłoby to cenne i wzbogacające doświadczenie, gdybyśmy nie przejawiali skłonności do nagradzania jednych członków tej wewnętrznej orkiestry kosztem innych. Tłumimy wiele aspektów osobowości, by dopasować się do idealnego wizerunku, któremu staramy się pozostać wierni. Z tego powodu w naszym wnętrzu rzadko — jeśli w ogóle — panuje demokracja; jej miejsce zajmuje silna oligarchia, w której kilka głosów zagłusza resztę.

Czarne mleko to próba pokojowego obalenia tej oligarchii i wprowadzenia dojrzałej i zdrowej demokracji. Choć najwłaściwie byłoby założenie, że ustroj demokratyczny gwarantuje życie usłane różami, to i tak demokracja jest lepsza od wszelkich form despotyzmu. Tylko wtedy, gdy zdołamy zharmonizować i zsynchronizować wszystkie wewnętrzne głosy, będziemy mogli zostać lepszymi rodzicami i prawdopodobnie także lepszymi pisarzami.

Ale właśnie widzę, że zaczęłam wyprzedzać bieg wydarzeń, a nie powinnam. Muszę zrobić zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i przyjrzeć się chwili, w której wszystko się zaczęło.

POMYWACZKA, KTÓRĄ SPOTKAŁO SZCZĘŚCIE

I tak oto znalazłyśmy się razem z moją rodzicielką w gąszczu słodko-gorzkich uczuć, w który mogą się zaplątać jedynie matki i córki. Jednak moje serce wypełniała wdzięczność za to, w jaki sposób mama zareagowała na niespodziewane wieści. Podziękowałam jej za wsparcie.

— To nie ma nic wspólnego ze wsparciem, skarbie. Po prostu jestem jak pomywaczka, która przez przypadek znalazła na chodniku wygrany los na loterii.

Chociaż przywykłam do jej kodów i szyfrów, nie od razu pojęłam, do czego zmierza.

— Obawiam się, że nie rozumiem.

— Ależ to oczywiste, kochanie. Bałaś się, że będę zła, gdy usłyszę, że w tajemnicy wyszłaś za mąż w innym kraju. A gdy przekonałaś się, że się nie gniewam, poczułaś wdzięczność. Mam rację?

Skinęłam głową.

— Tak.

— Zrozum, tylko matka, która wie, że jej córka pewnego dnia wyjdzie za mąż, może przeżyć rozczarowanie na wieść o jej potajemnym ślubie. Szczerze mówiąc, nigdy się tego po tobie nie spodziewałam. Sprawiałaś wrażenie osoby, która da się usidlić jako ostatnia na świecie. Dlatego nie kupowałam co tydzień losu na loterię i nie liczyłam na wygraną. Czy to jest dla ciebie jasne?

Zaczął do mnie docierać sens jej słów.

Tymczasem moja mama, zadowolona, że koncentruję na niej całą uwagę, kontynuowała z entuzjazmem:

— Dlatego zaakceptowałam taki stan rzeczy i prze-

szałam nad nim do porządku dziennego. A potem pewne-

go dnia, ni z tego, ni z owego, znalazłam los na chodniku i dowiedziałam się, że wygrałam na loterii. Tak właśnie się czułam, gdy powiedziałaś mi o zaślubinach. Byłam równie oszołomiona jak pomywaczka, do której uśmiechnęło się szczęście!

Niedawno wysłałam za mąż w Berlinie. Nie przez przypadek wybraliśmy to miasto na zawarcie związku małżeńskiego; nasz ślub wydawał się nam nie mniej zaskakujący niż nagłe zjednoczenie Niemiec. Niczym Berlin Wschodni i Berlin Zachodni, najpierw byliśmy razem, potem się rozstaliśmy, a na koniec do siebie wróciliśmy. Mój mąż i ja mamy charaktery tak różne jak kapitalizm i komunizm. Eyup to łagodna i szlachetna dusza, zawsze kieruje się rozsądkiem, a przy tym jest obdarzony zdumiewającą wewnętrzną równowagą oraz cierpliwością godną proroka Hioba, któremu zawdzięcza imię. Ja z kolei musiałabym odhaczyć na liście praktycznie wszystkie przeciwieństwa jego cech, zaczynając od „niecierpliwa”, „impulsywna”, „irracjonalna”, „emocjonalna” i „chodzący chaos”. Zwickaliśmy z zalegalizowaniem naszego związku, gdyż oboje nie przepadamy za takimi ceremoniami. Dlatego też, gdy już zdecydowaliśmy się na ślub, po prostu weszliśmy do tureckiej ambasady na ulicy Kbaum i oświadczyliśmy, że zamierzamy się pobrać. Na ławce przy wejściu siedział bezdomny z głową pełną wszy i myśli. Wygrzewał się na słońcu, z twarzą zwróconą ku niebu. Doskonale pasował do mojej wizji świadka, ale gdy spróbowałam zaprosić go do środka, okazało się, że nie mówi po angielsku. Ja z kolei nie znałam niemieckiego, a język migowy, który stworzyliśmy na potrzebę chwili, nie wystarczył, by omówić tak niezwykłą sprawę. Podarowaliśmy więc bezdomnemu paczkę marlboro lightsów, a on w zamian pobłogosławił nas bezzębny uśmiechem. Wręczył nam również lśniące złotko po czekoladce, które starannie wygładził. Przyjęłam prezent z zachwytem. Wzięłam go za dobry omen.

Nie założyłam sukni ślubnej, nie tylko dlatego, że podobne rytuały budzą we mnie niesmak, ale także dlatego, że nigdy nie ubieram się na białe i nie potrafię zrozumieć ludzi, którzy to robią. Przez lata nie byłam nawet w stanie usiąść na zbyt jasnej kanapie, jednak w końcu zwalczyłam to uprzedzenie. Moi przyjaciele mają kilka teorii na temat mojej niechęci do tego koloru. Sądzą, że w dzieciństwie wpadłam do kociołka z puddingiem ryżowym (w przeciwieństwie do Obeliksa, który skąpał się w magicznym napoju, nie zdobyłam nadprzyrodzonych mocy) i odtąd nienawidzę bieli, chociaż sama potrawa nie wzbudza we mnie negatywnych emocji. Ale ja nie przypominam sobie podobnego zdarzenia. Równie nieprawdziwa jest ich druga teoria, zgodna z którą wyrażam w ten sposób niechęć do lekarzy, dentystów albo techników laboratoryjnych — ludzi, którzy ubierają się na białe.

Tak czy inaczej tamtego majowego dnia przywdziałam swoją ulubioną czerń. Z kolei Eyup założył ciemne spodnie i białą koszulę, żeby choć w pewnym stopniu uszanować tradycję. Powiedzieliśmy sobie tak. Bez zamieszania, pod

wpływem kaprysu. Rodzice Eyupa i jego pięć siostr, podobnie jak moja mama i babcia, byłiby co prawda zachwyceni, gdybyśmy wyprawili tradycyjne tureckie wesele z jedzeniem, tańcem i muzyką, ale uprzejmie uszanowali nasz wybór, gdy dowiedzieli się o zaślubinach.

Pomijając kwestię szczęśliwej pomywaczki, moja mama nie była jedyną osobą, która sądziła, że nie wyjdę za mąż. Najwyraźniej jej zdanie podzielali także moi czytelnicy. Zaznajomieni z powieściami i esejami, które napisałam, to zawsze oni najlepiej rozumieli moje uczucia. Jednak tym razem byli bardziej wstrząśnięci niż wyrozumieli. W listach, e-mailach i na kartkach pocztowych wyrażali zaskoczenie. Niektórzy przysyłali mi nawet wycinki z fragmentami wywiadów, w których .twierdziłam: „Drobnomieszczkańskie życie rodzinne? Nie ma mowy! To do mnie nie pasuje” albo: „Chyba nie jestem stworzona do wychowywania dzieci, ale sądzę, że pewnego dnia mogłabym sprawdzić się w roli macochy. No wiesz, kogoś takiego, kogo bez trudu można zabrać na mecz piłki nożnej albo na próbę generalną balu maturalnego”. A teraz ci spryciarze, którzy przyłapali mnie na gorącym uczynku, z cierpkim uśmieszkiem dopytywali się, co uległo zmianie.

Mogłam im dać tylko jedną odpowiedź: to miłość.

Kocham mojego męża i zawsze w jego obecności czuję, jak zalewa mnie dziwna fala wyciszenia i szczęścia. A mimo to jakaś część mnie nie potrafiła poradzić sobie z takim spokojem i nie zamierzała albo nie mogła odnaleźć się w szczęściu małżeńskim. Być może działo się tak, ponieważ nigdzie nie potrafiłam zbyt długo zagrać miejsca. Urodziłam się w Strassburgu, dorastałam w Madrycie, a mieszkowałam w Ankarze, Stambule, Ammanie, Kolonii, Bostonie, Michigan i Arizonie. Zawsze żyłam na walizkach — przekonana, że mogę zostać w każdym miejscu tak długo, jak długo nie będę musiała zapuścić korzeni. Jako jedyne dziecko samotnej matki dość wcześnie pogodziłam się z prawdą o ludzkiej naturze, którą inni daremnie próbowali ignorować: człowiek jest skazany na samotność.

Ja ją lubiłam i ceniłam. Znałam ludzi, którzy dostaliby szału po zbyt wielu godzinach spędzonych bez towarzysztwa. Ze mną było inaczej. Zwariowałabym, gdybym przez cały czas musiała znosić obecność innych. Brakowałoby mi prywatności.

Jako pisarka rozkwitam dzięki samotności. W niemal wszystkich dziedzinach sztuki proces twórczy wymaga udziału osób trzecich. Nawet największy egoista spośród reżyserów musi umiejętnie dopasować swoją energię do innych i nauczyć się pracy w zespole. Podobnie wygląda sytuacja projektantów mody, aktorów, tancerzy, dramaturgów, piosenkarzy i muzyków.

Wyjątek stanowią pisarze. Na długie tygodnie, miesiące, a czasem nawet lata wycofujemy się do świata powieści, nad którymi pracujemy, tkwimy w kokonie wyobraźni, otoczeni wymyślonymi postaciami i decydujemy o ich losach niczym Bóg, za którego się uważamy. Gdy rozwijamy fabułę, dodajemy nagłe zwroty akcji, tworzymy i niszczy my bohaterów, bez trudu możemy dojść do wniosku, że

jesteśmy najważniejsi na świecie. Egocentryzm i rozdęte ego to dwa najbardziej szkodliwe efekty uboczne naszego zawodu. Dlatego jesteśmy kiepskimi kochankami i jeszcze gorszymi małżonkami. Pisarze to przede wszystkim istoty społeczne — chociaż potrafimy o tym zapomnieć przy odrobinie sławy i sukcesu. „Powieść to najbardziej samotniona forma wyrazu artystycznego”, jak rzekł kiedyś Walter Benjamin.

Już jako mężatka uczyłam w Arizonie, więc co kilka tygodni wskakiwałam do samolotu, by odbyć dwudziestostosześciogodzinny lot (z przesiadkami) i w szalonej, chaotycznej, barwnej atmosferze Stambułu spotkać się z moim mężem oraz przyjaciółmi, po czym wracałam do Arizony i mojej pustyni samotności.

Gdy opuszczasz budynek lotniska w Tucson, uderza cię fala gorąca, która wynurza się z otchłani ziemi i liże twoją twarz niewidzialnymi jezorami ognia. A gdy z kolei opuszczasz budynek lotniska w Stambule, uderza cię fala dźwięków: głośne trąbienie klaksonów, warkot motorów, dudnienie młotów pneumatycznych i rozmowy, wrzaski oraz gwizdy ludzi, wszystko naraz.

Fala gorąca, fala dźwięków. Tam i z powrotem. I tak przez prawie dwa lata. Aż pewnego dnia dowiedziałam się, że jestem w ciąży.

Nie wiedziałam, czy chcę zostać matką. Cięża mnie zaskoczyła. Ale pragnęłam urodzić to dziecko. Czułam się tak, jakby moja druga natura — lubiąca domowe zacisze, troskliwa, pełna uczuć macierzyńskich — buntowała się przeciwko tej, która dominowała przez wiele lat. Rebelianckie siły macierzyństwa przenikały do maleńkich wiosek na południu mojej osobowości z zaskakującą szybkością i zwinnością, lecz panująca w stolicy władza absolutna nadal utrzymywała silną pozycję.

Mimo to nie chciałam zrezygnować z tułaczego, niezależnego, beztroskiego życia, które wiodłam. W mojej głowie jednocześnie rozlegało się sześć głosów. Dlatego przyjąłam ciężę z mieszanymi uczuciami, jakby jakiś ukryty nurt, silniejszy od mojego serca, ciągnął mnie w nieznaną. Nie pomogło mi to, że mniej więcej w tym samym czasie zostałam oskarżona z powodu wypowiedzi kilku ormiańskich bohaterów mojej powieści Bękart ze Stambułu. Przypadkowo data procesu została wyznaczona na jeden dzień po terminie porodu. Chociaż usłyszałam wyrok uniewinniający już podczas pierwszej rozprawy, a cała sprawa nie miała żadnego związku z późniejszą depresją, te pełne napięcia dni były jednym z wyzwień tamtych dwunastu miesięcy.

Urodziłam w 2006 roku, we wrześniu, który jest najpiękniejszym miesiącem w Stambule. Czułam się nie tylko szczęśliwa i pobłogosławiona przez los, ale także zdumiona i nieprzygotowana. Wynajęliśmy uroczy, cichy dom na wyspach, gdzie mogłam zajmować się dzieckiem i pisaniem. Taki miałam plan. Jednak okazało się, że nie potrafię go zrealizować. Nie miałam wystarczającej ilości pokarmu, a za każdym razem, gdy próbowałam wrócić do świata fikcji i zacząć nową powieść, kończyłam na wpatrywaniu

się w białą kartkę z narastającym niepokojem. Coś takiego nie spotkało mnie do tej pory. Nigdy nie kończyły mi się pomysły. Nigdy nie ogarniała mnie niemoc twórcza ani nic, co mogłoby ją przypominać. Pierwszy raz w moim dorosłym życiu zabrakło mi słów, chociaż bardzo próbowałam to zmienić.

Nagle przestraszyłam się, że coś zmieniło się we mnie nieodwracalnie i już nigdy nie będę taka sama. Wezbrała we mnie fala paniki. Pomyślałam, że skoro zostałam matką i gospodynią domową, już nigdy więcej nie zdołam niczego napisać. Czułam się, jakby wyszarpnęto mi spod stóp moje dawne Ja, niczym stary zakurzony dywan.

Książki były moimi najlepszymi przyjaciółkami od dnia, w którym nauczyłam się czytać i pisać. One mnie ocaliły. Byłam tak introwertycznym dzieckiem, że rozmawiałam z kredkami i przepraszałam przedmioty, które potrącałam. Opowiadania dały mi poczucie ciągłości, centralizacji i całości — tych trzech C, których brak dokuczliwie odczuwałam. Oddychałam literami, spijałam słowa i żyłam historiami, przekonana, że potrafię kręcić i obracać językiem w płomiennym tangu.

Przez cały ten czas moja literatura wypełniała walizkę, którą zabierałam w każdą podróż. Trzymała mnie w całości niczym niewidzialny klej, a gdy jej zabrakło, rozsypałam się na kawałki. Bez niej świat przypominał melancholijne miejsce, nieskończenie smutne. Kolory, które dawniej wydawały się żywe i pogodne, zbladły. Wszystkiego mi brakowało. Wszystko wydawało się obce. Ja, która przemierzałam całe kontynenty i zadomawiałam się w tak wielu miejscach, nie mogłam znaleźć siły ani chęci, by wyjść na ulicę. Moja skóra stała się tak cienka, że wszystko sprawiało mi ból. Słońce grzało zbyt mocno, wiatr smagał zbyt ostro, a noc była zbyt ciemna. Przepęniały mnie niepokój i lęk. Nim się zorientowałam, pogrążyłam się w ciężkiej depresji poporodowej.

Moja babcia ze strony mamy — łagodna, lecz silna kobieta, a przy tym niezwykle przesadna — przez wiele tygodni przyglądała się, jak płaczę, aż pewnego dnia wzięła mnie za rękę i wyszeptala głosem delikatnym jak aksamit: „Moje drogie dziecko, musisz wziąć się w garść. Nie wiesz, że z każdą matczyną łzą mleko coraz bardziej kwaśnieje?”.

Nie wiedziałam.

Zaczęłam o tym rozmyślać. Co by się stało, gdyby mój pokarm się zepsuł? Czy ściemniałby, zgęstniał i zmętniał? Ta myśl nie tylko mnie zaniepokoiła, ale także wpędziła w poczucie winy. Im bardziej powstrzymywałam łzy, z tym większą siłą cisnęły mi się do oczu. Jak to możliwe, że wszystkie moje znajome z taką łatwością wchodziły w rolę matki, a ja nie mogłam? Chciałam kamicę piersią moje dziecko, dopóki to będzie możliwe. Wizja zepsutego mleka prześladowała mnie w ciągu dnia i atakowała w snach. Pewnego dnia, po miesiącach depresji, odosobnienia i nieskutecznej terapii, obudziłam się z przemożną chęcią, by znów coś napisać. Usiadłam więc przy biurku. Było cicho, jeśli nie liczyć dobiegających z oddali odgłosów

kilku kutrów rybackich. Dziecko spało w kołysce. Powietrze przesycał zapach jaśminu, a niebo nad Bosforem było bardzo jasne, niemal bezbarwne. Nagle ogarnął mnie spokój, uświadomiłam sobie, że wszystko jest i zawsze było w porządku. Jak powiedział Rumi, noc zawiera dzień. Możemy zacząć życie od nowa w każdej chwili i w każdym miejscu.

Miałam prawo do paniki i łez. Miałam prawo do strachu, że nie pogodzę pisania z macierzyństwem. A moje mleko nie musiało być białe jak śnieg. Gdybym zaczęła pisać o tym, co przeżyłam, mogłabym zamienić poczerńiałe mleko w atrament, a skoro pisanie zawsze w magiczny sposób koło moją duszę, być może zdołałabym małymi kroczkami wyjść z depresji.

Tamtego dnia włożyłam dziecko do wózka i zabrałam je na spacer po tętniącej życiem ulicy. Na początku powściągliwie, później już śmieiej, zaczęłam rozmawiać z innymi kobietami o ich doświadczeniach poporodowych. Z zaskoczeniem odkryłam, jak wiele z nich zmagало się z podobnymi zaburzeniami emocjonalnymi. Dlaczego nie wiedziałyśmy więcej na ten temat? Zawsze utwierdzano mnie w przekonaniu, że wszystkie kobiety skaczą z radości od chwili, gdy wezmą w ramiona swoje dziecko. Nikt mnie nie uprzedził, że przy podskokach niektóre z nas uderzają głową w sufit, przez co przez pewien czas czują się oszołomione.

Gdy pisałam Czarne mleko, odbyłam niezliczone rozmowy z kobietami z różnych grup wiekowych i zawodowych. Powoli i stopniowo docierało do mnie, że nie jestem sama. To mi bardzo pomogło. Jak na ironię ja, która zawsze szczyliłam się samodzielnością, szukałam pocieszenia w liczbach, czym jednak nie zamierzam się przejmować. Po prostu depresja poporodowa pojawia się znacznie częściej, niż nasze społeczeństwo chciałoby przyznać.

Co ciekawe, w dawnych czasach kobiety o tym wiedziały. Nasze praprababki zdawały sobie sprawę z istnienia wszelkich odmian niestabilności poporodowej i dzięki temu były lepiej przygotowane. Przekazywały tę wiedzę swoim córkom i wnuczkom. Jednak dzisiaj jesteśmy odzwyczajone od przeszłości, nie mamy do niej swobodnego dostępu. Kobiety nowoczesne. Gdy czujemy się znużone i wewnętrznie pokiereszowane, ukrywamy oznaki słabości dzięki najnowszym technikom makijażu. Wydaje nam się, że jednego dnia możemy urodzić, a kolejnego wrócić do dawnego życia. Oczywiście, niektóre z nas tak robią. Problem polega na tym, że inne nie potrafią.

Turczynki ze starszego pokolenia wierzą, że najbliżsi nie powinni odstępować kobiety przez czterdzieści dni od porodu. Jeśli zostawia ją samą choćby na chwilę, mogą narazić młodą matkę na ataki dzina, pogrążającego ofiarę w zalewie smartwień, trosk i obaw. Dlatego rodziny hołdujące tradycjom nadal ozdabiają szkarłatnymi wstążkami łóżko kobiety, która właśnie urodziła, i rozrzucają po jej pokoju poświęcone nasiona maku, żeby odpędzić nadprzyrodzone moce unoszące się w powietrzu.

Nie próbuję nikogo przekonać, że należy kierować się całym mnóstwem przesądów, ani nie spodziewam się, że

personel medyczny ozdobi oddział położniczy wiankami czosnku i amuletami nazar, chroniącymi przed złym okiem. Twierdzą tylko, że kobiety z czasów przednowoczesnych — dzięki swoim zabobonom, tradycjom i przekonaniom — zdawały sobie sprawę z istotnej rzeczy, że z trudem godzimy się z rzeczywistością. A przecież każda z nas pokonuje kilka głównych etapów życia. Co więcej, przejście między nimi może nastęczać trudności. Dlatego możemy potrzebować pomocy, wsparcia i porady, zanim na nowo odnajdziemy się w terażniejszości. Gdy kobieta — albo mężczyzna — przeżywa kolejny dzień pełen szamotaniny, rozwiązywania problemów, organizowania i kontrolowania, zdarzają się takie chwile, gdy organizm zawodzi. To prosta i stara mądrość, o której zapomnieliśmy w upartym dążeniu do bycia ludźmi sukcesu, zawsze silnymi i doskonałymi.

Pani Słabość nie cieszy się popularnością w naszym pokoleniu. Nikt nie wie, gdzie się obecnie znajduje, ale podobno została zesłana na wyspę na Pacyfiku albo do wioski u podnóża Himalajów. Wszyscy o niej słyszeliśmy, ale panuje zakaz wymawiania na głos jej imienia. W szkole, w pracy czy w domu ilekroć ktoś o niej wspomni, wzdrygamy się w obawie przed konsekwencjami. Chociaż nie znajduje się na liście Interpolu ani nie jest poszukiwana listem gończym, nikt nie chce być z nią kojarzony.

Oczywiście, to wcale nie znaczy, że macierzyństwo nie jest jednym z najcenniejszych skarbów na tym świecie. W istocie formuje serce niczym glinę, by zestroić je z rytmem wszechświata. I to z tego powodu wiele kobiet twierdzi, że nigdy nie spotkało ich nic lepszego od macierzyństwa. Zgadzą się z nimi całkowicie.

Kobieta nie staje się jednak matką tuż po porodzie. To proces oparty na nauce, który u jednych trwa dłużej niż u innych. Istnieją takie kobiety jak ja, do żywego poruszone tym, czego doświadczają. Nie twierdzą, że droga wiodąca ku macierzyństwu jest trudniejsza dla osób twórczych. Widziałam, jak przedstawicielki wszystkich środowisk zmagają się z podobnymi problemami, te jednak dotyczyły ich w różnym stopniu. Żadna kobieta nie jest w pełni odporna na depresję poporodową. Być może te najsilniejsze i najbardziej pewne siebie spośród nas są istotnie najbardziej na nią narażone. Co ciekawe, to rozchwianie umysłowe może pojawić się równie dobrze przy pierwszej, jak i przy drugiej, trzeciej czy nawet szóstej ciąży.

W końcu ciąży są jak płatki śniegu. Nie ma dwóch

identycznych.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ŻYCIE

PRZED MAŁŻEŃSTWEM

ZNAKI

W Stambule jest południe. Płynę Cygańskim Parowcem, który nazwę zawdzięcza sposobowi, w jaki tańczy na niebieskich wodach, przewożąc pasażerów z wysp na stały

ład. Są tu młodzi kochankowie kradnący sobie pocałunki, licealiści na wagarach, urzędnicy przedłużający przerwę na lunch, fotografowie taszczący aparaty, sprzedawcy dźwigający towar w plecakach, wieczni turyści i wielu innych. Zdaje się, że ludzie ze wszystkich środowisk znaleźli się na pokładzie tej łupiny, kołyszącej się z boku na bok. Jestem wciśnięta w róg. Siedzę z książką na kolanach między otuloną kobietą a zadbanym starszym dżentelmenem. Zaraz po udzieleniu wywiadu dla czasopisma literackiego na jednej z wysp ruszyłam w drogę powrotną. I tak oto dziewczyna z miasta wraca do domu. Sama.

Kiedy tylko statek opuszcza port, zdaję sobie sprawę, że zostawiłam notes w miejscu, gdzie udzielałam wywiadu. Nagle tracę dobry humor. Dlaczego zawsze o wszystkim zapominam? O niezliczonych parasolkach, komórkach, witaminach, tuszach do rzęs, szminkach, opaskach, rękawiczkach? Nie pamiętam o napoczętych kanapkach, które odkładałam tylko na chwilę, a w toaletach publicznych — o srebrnych pierścionkach, które ściągłam przed umyciem rąk. Raz nieumyślnie porzuciłam nawet dwa żółwie w szklanej kuli: prezent urodzinowy od bliskiej przyjaciółki. Ponieważ nie mogłam zdobyć się na odwagę, by przyznać, że zgubiłam podarunek w dniu, w którym mi go wręczyła, przez kolejne tygodnie, ilekroć pytała o żółwie, zmyślałam:

— Naprawdę mają się doskonale, opychają się moimi cyklamienami i tyją.

Albo:

— Wiesz, pewnego dnia jeden z nich niepostrzeżenie wymknął się z akwarium. Wszędzie go szukałam, ale na próżno. Jednak później, gdy włączyłam lampkę do czytania, znalazł się. Siedział w najlepsze na żarówce! Cień, który rzucał na ścianę, wyglądał potwornie.

I tak wymyślałam kolejne historie o dwóch pupilach, aż pewnego dnia moja przyjaciółka spojrzała mi prosto w oczy i poprosiła, żebym przestała. Nagle ściszyła głos i wyszeptwała, że musi mi coś wyznać.

— Muszę to z siebie wyrzucić — dodała. — Kiedy kupiłam te żółwie, miałam poważne wątpliwości, czy będziesz potrafiła się nimi zająć. Ale udowodniłaś, że się myliłam. Tak świetnie sobie radzisz, że jestem ci winna przeprosiny. Przygryzłam wargę, znieruchomiałam i wstrzymałam oddech. Nadszedł ten moment. Po takim oświadczeniu nie mogłam dłużej kłamać i kilka dni później przyszła moja kolej na zwierzenie. Powiedziałam przyjaciółce, że wcale nie należą mi się przeprosiny, bo to ja powinnam prosić o wybaczenie, do tego podwójne: za roztrzepanie i oszustwo. Potem wyjaśniłam, że jej prezent nigdy nie dotarł do mojego domu.

— Właściwie miałam takie podejrzenia — odezwała się po chwili krępującej ciszy. — Kiedy powiedziałaś, że żółwie skubały pestki słonecznika prosto z twoich dłoni, przyszło mi głowy, że pomyliłaś je z kanarkami. Poczułam ulgę, gdy się roześmiała, i zaraz jej zawtórowałam. Żartowałyśmy z mojego roztargnienia, a ja nie miałam nic przeciwko temu. Bo chociaż czułam zakłopotanie

z powodu zgubienia prezentu, samokrytyka nie drasnęła nawet mojej duszy. Jakże to miało znaczenie, czy radziłam sobie w roli opiekunki, czy też nie? Przecież żółwie to nie dzieci.

Nagle parostatek porusza się niespokojnie, niczym wybudzający się olbrzym. Wszyscy pasażerowie przeżywają chwilę paniki. Usta poruszają się nerwowo, ręce próbują się czegoś uchwycić. Daleko przed nami płynie rosyjski tankowiec, który wywołuje potężne fale. Obserwujemy go zaniepokojeni, ale gdy tylko na tafli wody zostają ledwie widoczne zmarszczki, kończymy modlitwy, rozluźniamy pięści i na powrót pogrążamy się w letargu.

Ja mam jednak inne zmartwienia. Teraz, gdy zauważyłam brak notesu, nie mogę myśleć o niczym innym poza pisaniem. Przypuszczam, że przejawiam skłonność do utrudniania sobie życia. Gdybym miała skrawek papieru, prawdopodobnie nie odczuwałabym tak silnej potrzeby kreślenia liter właśnie w tej chwili. Ale skoro go nie mam, muszę pisać. Wściekle grzebię w torbie i wykładam wszystko na kolana, ale nie znajduję nawet rachunku, na którego odwrocie mogłabym coś naskrobać.

Nie wiem, co mnie tak poruszyło. Czuję, że w mojej głowie kielkuje pomysł, ale nie poznam jego ostatecznego kształtu, dopóki nie przeleję go na papier. Wielu ludzi, także pisarzy, woli przeprowadzić szczegółową analizę zagadnienia przed sporządzeniem notatki, ale ja do nich nie należę. Żeby zrozumieć własne myśli, muszę zobaczyć je najpierw w formie pisemnej. Wiem, że mam koncepcję, ale muszę przyłożyć długopis do kartki, żeby ją poznać. A do tego potrzebuję papieru.

Zerkam na lewo i na prawo. Kobieta obok mnie nie sprawia wrażenia osoby, która mogłaby mi pomóc. Najwyraźniej w jej torbach z zakupami jest cała masa świecidełek, ale wątpię, żeby znalazł się między nimi notatnik. Teraz, gdy zwróciłam na nią uwagę, zauważam, że tak naprawdę jest młoda. Raczej nie przeżyła więcej niż ćwierć wieku. Jednak z powodu dodatkowych kilogramów na pierwszy rzut oka można jej dać dziesięć, a nawet piętnaście lat więcej. W błękitnej sukience z bufiastymi rękawami i suto marszczonym dołem wygląda, jakby właśnie wyszła z kadru filmu z lat trzydziestych i wsiadła na statek w Stambule. Jej ciemnobrązowe, pofalowane włosy, przycięte na wysokości ramion, są starannie ułożone. W uszach połyskują długie, złote kolczyki. Widoczne w wyciętych butach paznokcie są pomalowane lakierem w kolorze jaskrawej czerwieni. Chociaż guziki jej sukienki wyglądają tak, jakby w każdej chwili miały się odpruć, kobieta najwyraźniej wcale się tym nie przejmuje. Uznała swój obfity biust za błogosławieństwo i prezentuje go całej ludzkości, nikogo przy tym nie dyskryminując. To dziewczyna dumna ze swojej kobiecości, a w swojej dumie jeszcze bardziej kobieca. Emanuje ogromnym, nieskrywanym, magnetycznym seksapilem.

W pobliżu kobiet, od których bije taki właśnie blask, czuję się jak oszustka albo kiepska imitacja przedstawicielki płci pięknej. Im kobiecość przychodzi naturalnie, bez

wysiłku, jak ziewanie czy kichanie. Dla mnie to coś, co muszę obserwować i badać, coś, czego się uczę i co naśladowuję, coś, czego nigdy do końca nie zrozumiem.

Gdyby moja sąsiadka była kocicą, wylegiwałaby się w przepięknym koszu obok grzejnika, z oczami jak szparki, albo leżałaby zwinięta na kolanach właściciela i mruczała zachwycona, machając ogonem we własnym rytmie. Gdybym to ja była kocicą, przez cały dzień zniecierpliwiona przesiadywałabym na parapecie okiennym i obserwowała przejeżdżające samochody oraz mijających mnie przechodniów. Uciekłabym z domu przy pierwszej nadarzającej się okazji, by poznać wielki świat.

Dalej, za moją sąsiadką, widzę mniej więcej ośmioletniego chłopca, a obok jego młodszego brata, który jest do niego uderzająco podobny. Obaj są ubrani w jednakowe dzinsy i granatowe T-shirty w paski. W rękach trzymają identyczne zabawki: umięśnionych, ciemnozielonych komandosów z plastiku, w pełnych rynsztunku. Każdy z żołnierzy w jednej ręce ściska granat gotowy do odbezpieczenia, a w drugiej — kałusznikow. Obaj chłopcy żują gumy i robią balony wielkości orzechów włoskich, jeden za drugim. Za każdym razem, gdy balon pęka, wzdrygam się, jakby właśnie kogoś zastrzelili za pomocą plastikowych komandosów. Kolejny wróg zmieciony z parowca. Zamiast przypuszczać szturm swoimi zabawkami, chłopcy siedzą pogrążeni w myślach. Żaden z nich nie podniósł nawet głowy. Starannie unikają kontaktu wzrokowego ze swoją matką. Przypuszczam, że chłopcom w tym wieku niełatwo żyć u boku tak atrakcyjnej kobiety.

Przekonana, że ani dzieci, ani ich matka nie pomogą mi w poszukiwaniach papieru, odwracam się w stronę mężczyzny po lewej. Nosi okulary w metalowych oprawkach, wygląda poważnie i chociaż ma najwyżej czterdzieści lat, łysieje już na czubku głowy. Całe jego ciało krzyczy: JE-STEM SPRZEDAWCĄ. Nie mam wątpliwości, że w skórzanym torbie, którą trzyma, znajduje się coś, na czym można pisać. W odpowiedzi na moje pytanie życzliwie podaje mi kilka kartek opatrzonych nagłówkiem: SHOOTING STAR MARKETING LTD.

Dziękuję mu, po czym zaczynam przelewać myśli na papier. Gdy piszę, widzę, jak schnie atrament. Litery pojawiają się jakby na sygnal: MANIFEST SAMOTNEJ DZIEWCZYNY.

Z niedowierzaniem spoglądam na kartkę. A więc to chodziło mi po głowie.

Moja sąsiadka przysuwa się do mnie i pochyla głowę nad kartką na moich kolanach. Co prawda na stambulskich parowcach szybko przywyka się do ludzi zapuszczających żurawia do twojej gazety, ale ta kobieta czyta moje notatki i nawet nie próbuje tego ukryć! Chociaż w pierwszym odruchu chce je przed nią zasłonić, szybko godzę się z faktem, że szukanie prywatności na tak małej, ograniczonej przestrzeni nie ma sensu. Pozwalam jej czytać.

1. Twierdzenie, że samotność jest zarezerwowana dla Boga Wszechmogącego, a w efekcie oczekiwanie, że wszyscy będą łączyć się w pary, to największa iluzja, jaką stwo-

rzył Człowiek. Nie musimy kończyć podróży dwójkami tylko dlatego, że wsiedliśmy na pokład Arki Noego w takiej konfiguracji.

Ja piszę, a kobieta czyta. W pewnej chwili pochyła się tak nisko nad moim prawym ramieniem, że włosami muska moją twarz. Wdycham zapach jej szamponu, cierpki i owocowy. Najwyraźniej ma problem z rozszyfrowaniem moich notatek. Wcale się jej nie dziwię, zważywszy moje umiejętności kaligrafowania. Staram się kreślić litery wyraźniej.

2. Dlaczego w tradycyjnych społeczeństwach ludzie, którzy poświęcali życie wierze i przysięgali nigdy nie wziąć ślubu, cieszyli się powszechnym szacunkiem, a w dzisiejszej kulturze staropanieństwo to niemal hańba, stan cywilny wywołujący litość?

3. Dlaczego, chociaż małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny, a życie w stanie wolnym odnosi się do obu płci w równym stopniu, określenie „stara panna” ma inny, bardziej negatywny, wydźwięk od słów „stary kawaler”? Moja sąsiadka wyciąga paczuszkę z mieszanką studencką i połowę odstępkuje swoim synom, po czym ponownie skupia uwagę na mojej twórczości. Czyta, przeżuując. Pośród słonych orzeszków ziemnych, prażonej ciecierzycy i pestek dyni ja piszę, a ona czyta. Obie świetnie się bawimy.

4. Kobietom, które „zostawiono na półce”, należy zwrócić godność. Trzeba nagrodzić je brawami za to, że odważyły się żyć bez czuwających nad nimi mężczyzn.

5. Ci, którzy używają wyrażenia „samica wije gniazdo”, nie rozumieją ptasiej natury. To prawda, że ptaki budują schronienia, ale co sezon porzucają swoje domy, by wznosić nowe w innych miejscach. Żaden ptak nie spędza całego życia w jednym gnieździe.

Dostrzegam, że kobieta się wzdryga. Włosy na jej rękach stają dęba mimo panującego upału.

6. Zmiana i zmienność to alfabet życia. Ślubowanie miłości do grobowej deski to fantazja, która pozostaje w sprzeczności z istotą egzystencji. Poza tym nie umieramy tylko raz. Warto pamiętać, że istoty ludzkie odchodzą wiele razy, nim ich ciała skostnieją.

7. Dlatego można przysiąc miłość jedynie w danej chwili i nic ponadto.

8. Jeśli muszę użyć metafory w odniesieniu do małżeństwa, mogę uznać, że literatura to mój mąż, a książki to moje dzieci. Stanę na ślubnym kobiercu tylko wtedy, gdy rozwiodę się z literaturą albo zdecyduję się na dwóch małżonków.

9. Skoro rozwód z literaturą nie wchodzi w grę, a żaden mężczyzna na świecie nie zgodziłby się zostać „mężem numer dwa”, najprawdopodobniej do końca życia pozostanę samotna.

10. Tenże skrawek papieru to mój manifest. Odchylam się do tyłu i czekam, aż kobieta skończy czytać. Nie nadaża za mną. Bezgłośnie wymawia kolejne słowa, sylaba po sylabie, niczym uczennica, która dopiero co poznała alfabet. Łagodna bryza liżąca pokład, niesie ku nam zapach morza i pozostawia słony smak na moim ję-

zyku. Po kilku sekundach kobieta się prostuje i wzdycha, naprawdę głośno.

Nie mogę zapanować nad ciekawością. Co chce w ten sposób wyrazić? Zgadza się ze mną? Czy to westchnienie ma znaczyć: „Masz rację, siostró, ale właśnie tak funkcjonuje i zawsze funkcjonował ten świat”? Czy raczej ciśnie się jej na usta: „Wypisujesz bzdury, kochana, prawdziwe życie wygląda całkiem inaczej”? Mam przeczucie, że chodzi o to drugie.

Nagle nabieram chęci dokuczenia jej. Ta kobieta to mój Inny. To ten typ niewiasty, która z radością poświęca życie domowi, małżonkowi i synom. Od najmłodszych lat koncentrowała wysiłki na znalezieniu idealnego męża i założeniu rodziny, została matką, nim pożegnała się z młodością, w tym celu przytyła, postarzała się przedwcześnie, zgorzkniała w środku i pozwoliła, by jej pragnienia zamieniły się w żale. Ta kobieta ze swoimi zapuszkowanymi snami, wygodnym statusem społecznym i porzuconymi aspiracjami jest moją antytezą. A przynajmniej chcę w to wierzyć.

„U kobiety — każdej bez wyjątku — wszystko winno mieć początek w macicy, a nie w mózgu”. Tak uważali niektórzy spośród najwybitniejszych powieściopisarzy w moim kraju*. Rościli sobie wyłączne prawo do pisarstwa, które uważali za dziedzinę właściwą mężczyznom. W ich przekonaniu powieść była najbardziej racjonalną konstrukcją, wynikiem pracy umysłowej wymagającej projektowania i wykreślenia, a skoro kobiety to z definicji stworzenia emocjonalne, nie sprawdziłyby się jako autorki powieści. Ci sławni autorzy uważali siebie za Ojców Powieściopisarzy, a swoich czytelników za zbłąkanych synów potrzebujących ich wskazówek. Zachowana po nich spuścizna skłania mnie do przypuszczeń, że aby egzystować i wybijać się w literackim świecie, ja także będę musiała dokonać wyboru pomiędzy macicą a mózgiem. Jeśli kiedyś do tego dojdzie, nie mam wątpliwości, co wybiorę.

* Peyami Safa (1899-1961) — sławny turecki pisarz, który żył w Stambule i był znany dzięki swoim powieściom, artykułom wstępnym i publicystyce. (Przypisy, jeśli nie oznaczono inaczej, pochodzą od autorki).

Parowiec lada moment przybije do brzegu. Kobieta obok zrywa się na równe nogi nieświadoma moich myśli. „Zabrać torby, spakować ciecierzycę, wyszykować chłopców, wziąć kałasznikowy, wepchnąć stopy z powrotem w buty...” W ciągu niecałych trzydziestu sekund jest gotowa. Cisnąc się i przepychając przez tłum z dziećmi u boku, przesuwa się ku wyjściu i jednocześnie oddala ode mnie. I dopiero wtedy, gdy kobieta stoi, dostrzegam coś, czego powinnam była się domyślić wcześniej. Ona nie ma problemu z otyłością. Właściwie nie ma nawet nadwagi. Po prostu jest w zaawansowanej ciąży. Jej brzuch wydaje się ogromny, równie dobrze może spodziewać się bliźniąt albo trojaczków.

Nie wiem czemu, ale ten istotny szczegół skłania mnie do odwrócenia głowy. Nie mam jednak czasu na rozmyślanie. Parowiec wpływa do portu. Wszyscy pośpiesznie rozprostowują nogi i w chaosie szturmują drzwi. W tym zgiełku staję twarzą w twarz ze swoim sąsiadem.

— Dziękuję za kartki... — mówię.
— Nie ma za co — odpowiada. — Cieszę się, że mogłem pomóc.
— Bez dwóch zdań — potwierdzam. — A tak z ciekawości, co to takiego Shooting Star Marketing?
— To nowa firma, w której pracuję. Specjalizujemy się w produktach dla matek i noworodków — wyjaśnia.
— Elektroniczne laktatory, podgrzewacze do butelek i tym podobne...

Mężczyzna uśmiecha się jeszcze szerzej, a może tylko tak mi się wydaje. Nagle odnoszę wrażenie, że gdzieś w tym jasnoniebieskim niebie, na tle którego zaczęło zachodzić słońce, anioły pokazują mnie mlecznobiałymi palcami i stroją sobie ze mnie żarty. Jeśli się nad tym zastanowić, jest coś ironicznego w spisywaniu Manifestu samotnej dziewczyny na papierze z nazwą firmy sprzedającej produkty dla świeżo upieczonych matek.

Świadoma tej ironii, ale bez pomysłu, jak ją wykorzystać, stoję osłupiała. Odzywa się mój wewnętrzny głos: „We wszechświecie nie ma zbiegów okoliczności, a jedynie znaki. Widzisz znaki?”.

Ignoruję go i wsuwam mój manifest do kieszeni, nieprzekonana o jego wiarygodności. W takim nastroju opuszczam pokład Cygańskiego Parowca.

Czy mojej uwadze umknął jakiś znak? Bez wyraźnego powodu napisałam Manifest samotnej dziewczyny. W tym samym czasie dostrzegłam w siedzącej obok kobiecie mojego Innego. Ona była ucieleśnieniem gospodyni-żony-matki, dla mnie — nie do przyjęcia. Przekonana, że nie tylko się od niej różnię, ale także jestem od niej o wiele lepsza, przysięgłam zostać Niezamężną Pisarką. Jednocześnie nie zdawałam sobie sprawy, że mój manifest sąsiadował z nazwą firmy założonej z myślą o kobietach, które właśnie zostały matkami. Wszechświat drwił z mojej arogancji.

Musiało pojawić się wiele znaków, a nie tylko ten jeden, skoro kilka miesięcy po napisaniu manifestu zakochałam się po uszy. Nawet wyszłam za mąż. Byłam przekonana, że zejdem z pokładu Arki Noego sama, a tymczasem odkryłam piękno bycia w związku. Dwa lata później urodziłam pierwsze dziecko. Gdy byłam w ciąży, często przypominałam sobie, jak zlekceważyłam kobietę z parowca, i czułam żal, dotkliwy żal.

Musiało pojawić się wiele znaków, a nie tylko ten jeden, skoro kilka miesięcy po porodzie — gdy stało się jasne, że mam za mało pokarmu i trzeba zwiększyć jego ilość — z myślą o wypożyczeniu elektronicznego laktatora wykręciliśmy numer, który dostaliśmy od znajomych. Gdy dostarczono nam urządzenie do domu, zauważyłam na opakowaniu znajome logo: SHOOTING STAR MARKETING. Kto wie, może to właśnie jegomość z parowca dostarczył laktator do naszego domu? Kto wie, może ta kobieta w niebieskiej sukience, z synami, plastikowymi komandosami, prażoną ciecierzycą i nowo narodzonymi bliźniakami bądź trojaczkami, której nie można już nazwać grubą, ukrywała się gdzieś w zaroślach i śmiała ze zmian, jakie zaszły w moim życiu, z tego niespodziewanego zrządzenia losu?

NA POCZĄTKU BYŁA HERBATA

Kilka tygodni po wydarzeniu na pokładzie parowca i na długo przed tym, jak w mojej głowie zaświtała myśl o ślubie, umówiłam się na herbatę z pewną powieściopisarką. Nie zdawałam sobie sprawy, że to spotkanie skłoni mnie do refleksji nad wyborami, których dokonujemy — pomiędzy płodzeniem dzieci a płodzeniem książek.

„Chciałabym panią poznać, panno Shafak. Może wpadnie pani do mnie na herbatę?“, zaproponowała przez telefon kilka dni wcześniej, po czym dodała z serdecznym śmiechem: „Oczywiście herbata to tylko wymówka. Tak naprawdę zależy mi na rozmowie. Proszę mnie odwiedzić, a zyskamy okazję do pogawędki“. W wieku osiemdziesięciu jeden lat Adalet Agaoglu traktuje pisarstwo z równym zapalem co w młodości i jest jednym z wiodących głosów w literaturze naszych czasów. Nie mogę się doczekać wizyty u niej.

Chociaż przekazała mi szczegółowe wytyczne, jak trafić do jej domu, tego wieczoru, gdy zmierzam na spotkanie, mija trochę czasu, nim odnajduję właściwy adres. Podobnie jak wiele stambulskich dzielnic także tę tworzy plątanina uliczek wijących się w górę i w dół, zakręcających i łączących się w nowe ulice o innych nazwach. W końcu, gdy docieram na miejsce, mam jeszcze dziesięć minut w zapasie, spaceruję więc po okolicy. W nieco wyżej położonym punkcie na rogu mieści się prowizoryczne stoisko z kwiatami. Tuż obok niego siedzą po turecku dwie Cyganki w obszernych spodniach w olśniewających kolorach, ze złotymi bransoletkami pobrzękującymi na nadgarstkach. Obie palą papierosy. Podziwiam nie tylko idealne kółka z dymu, które wydychają, ale także ich obojętność na społeczne ograniczenia. Kurzą na ulicy, chociaż żyją w kulturze, w której przestrzeń publiczna i prawo do jawnego palenia należą wyłącznie do mężczyzn.

Pięć minut później, z rękami pełnymi żółtych lili i sercem pełnym ciekawości, naciskam dzwonek. Gdy czekam przy drzwiach, nie przypuszczam nawet, że to spotkanie będzie miało dla mnie daleko idące konsekwencje i skłoni mnie do refleksji nad kobiecością, macierzyństwem i pisaniem.

Pani Agaoglu otwiera. Ma nieco bladą cerę, powściągliwy uśmiech i krótkie włosy przystrzyżone tak, żeby nie poświęcać im zbyt wiele czasu.

— Dotarła pani! Proszę wejść — mówi głosem pełnym energii.

Wchodzę za nią do dużego salonu. Pomieszczenie jest przestronne, nieskazitelnie czyste i gustownie urządzone. Wydaje się, że każdy przedmiot ma swoje miejsce w tej niczym nie zmaconej harmonii. Chociaż jest środek lata, niechlubny stambulski wiatr północy poryaż uderza o szyby i przenika przez szczeliny w drzwiach. Mimo to w jej domu roztaczają się zapachy przywodzące na myśl okres porządku oraz ciszy. Błogi nastrój.

Przysiadam na najbliższym fotelu. Jednak dopiero gdy się opieram, zdaję sobie sprawę, że to najwyższe siedzisko w pokoju i być może stosownie byłoby go nie zajmować. Zrywam się na równe nogi i wypróbuję sofę po drugiej stronie. Od razu się w nią zapadam. Przypuszczam, że tu nie będzie mi wygodnie, przemieszczam się więc na sąsiednie krzesło. Natychmiast tego żałuję — no bo kto wybiera twarde mebel, gdy ma do dyspozycji miękką sofę?

Tymczasem pani Agaoglu, z rękami złożonymi na podolku, siedzi prosta i opanowana; zza szkieł okularów, z rozbawieniem, którego nie czuje się w obowiązku ukrywać, obserwuje każdy mój ruch. Gdyby nie jej mina, zmieniłabym miejsce kolejny raz, lecz tylko wstrzymuję oddech i nieruchomieję.

— W końcu się spotykamy — odzywa się do mnie. — Pisarki za sobą nie przepadają, ale chciałam poznać panią osobiście.

Nie wiem, co powiedzieć, więc uśmiecham się z zakłopotaniem i próbuję zacząć od czegoś mniej kontrowersyjnego:

— Bardzo tu cicho.

— I Bogu dzięki — odpowiada. — Trudno się do tego przyznać w mieście tak głośnym jak Stambuł, ale gdy piszę, rozprasza mnie najcichszy szmer. Absolutna cisza i spokój są mi niezbędne do pracy.

Milknij, mierząc mnie wzrokiem z żywym zainteresowaniem.

— Ale rozumiem, że pani to nie dotyczy. Przeczytałam kiedyś wywiad z panią. Odniosłam wrażenie, że pisze pani w ciągłym ruchu, że lubi pani nieład i przenoszenie się z miejsca na miejsce. I uważam, że to naprawdę...

— Dziwne? — pytam.

Jej uniesione cienkie brwi sugerują, że ma odmienne zdanie i szuka właściwego słowa.

— Niezrozumiałe? — próbuję raz jeszcze.

— Osobliwe — kończy. — Uważam, że to naprawdę osobliwe.

Nieznacznym potakuję głową. Jak mam jej wytłumaczyć, że porządek i cisza, które tak ceni, przyprawiają mnie o dreszcze? Na myśl, że miałabym mieszkać w jednym domu przez dziesięciolecia, znać twarz każdego okolicznego sklepikarza i każdego sąsiada, zapuścić korzenie pod jednym adresem, w jednej dzielnicy i w jednym mieście, ogarnia mnie przerażenie. Ciągłość i stabilizacja to dla mnie rosyjski i chiński. Chociaż wiem, że to wspaniałe języki z bogatą historią, nie znam żadnego z nich.

Milczenie jest najgorsze. Ilekroć nadciąga gęsta mgła ciszy, na siłę przybiera ujadanie moich wewnętrznych głosów, które wyłaniają się jeden po drugim. Lubię myśleć, że znam wszystkie kobiety z mojego wewnętrznego haremu, ale być może są tam i takie, których nigdy nie poznałam. Nie potrafią się do siebie dostroić. Nazywam je Chórem Niewspółbrzmiących Głosów.

To osobliwy chór, jeśli się nad tym zastanowić.

Chórzystki nie tylko fałszują, ale także nie potrafią czytać nut. Właściwie w tym, co prezentują, w ogóle nie ma

muzyki. Wszystkie mówią jednocześnie, jedna głośniejsz od drugiej, i nigdy nie słuchają się nawzajem. To przez nie boję się swojej własnej różnorodności, wewnętrznej fragmentaryzacji. I właśnie dlatego nie lubię ciszy. Uważam ją nawet za nieprzyjemną, niepokojącą. Podczas pracy w domu albo w pokoju hotelowym zawsze włączam radio, telewizję albo odtwarzacz CD, a czasami wszystkie trzy urządzenia naraz. Jestem przyzwyczajona do pisania w gorączkowej atmosferze lotnisk, w zatłoczonych kawiarniach albo rozkrzyczanych restauracjach, najlepiej czuję się w rozgardiaszu.

Nagle dociera do mnie, że może właśnie dlatego, w przeciwieństwie do moich znajomych, nigdy nie irytuję się na kierowców, którzy otwierają okna i puszczaają muzykę tak głośno, że niesie się po siedmiu wzgórzach Sztambułu, a nawet dalej. Sądzę, że cisza przeraża tych magandas* w równym stopniu co mnie. Ich też zatrwaja myśl o pozostaniu sam na sam z wewnętrznymi głosami. Podobnie jak ci pretensjonalni faceci otwieram okna, gdy siadam do pracy nad powieścią. Oczywiście nie zamierzam atakować świata zewnętrznego swoją ulubioną muzyką. Chcę, żeby to jego dźwięki wypełniły moje wnętrze. Krzyki mew, klaksony samochodów, syrena karetki pogotowia, klótnie pary mieszkającej piętro wyżej, wrzaski dzieci grających w piłkę nożną po drugiej stronie ulicy, odgłosy pionków do gry w tryktraka dobiegające z kawiarni, krzyki handlarzy ulicznych i punkowa oraz postpunkowa muzyka płynąca z głośników mojego odtwarzacza CD — jedynie taki harmider zagłusza trwającą we mnie hulankę. Tylko wtedy mogę pisać w spokoju.

— Chciałaby pani obejrzeć biurko, przy którym napisałam większość książek? — pyta nagle pani Agaoglu.

— Oczywiście, z przyjemnością.

* Maganda — w tureckim slangu określenie niegrzecznego, nieokrzesanego mężczyzny, który utknął na etapie ewolucji gdzieś pomiędzy neandertalczykiem a człowiekiem współczesnym.

To elegancki, mahoniowy mebel, na którym leżą równo ułożone rękopisy i książki oraz ozdoby w postaci starannie skompletowanych pamiątek. Ładna zabytkowa lampa rzuca na blat łagodne żółte światło. Pani Agaoglu mówi, że nie pozwala nikomu sprzątać swojego biurka, ponieważ chce mieć pewność, że każdy przedmiot pozostanie na właściwym miejscu. Zastanawiam się przez moment, czy to samo odnosi się do całego pokoju, skoro na każdej półce z książkami i na dwóch stolikach porozstawiane są bibeloty i zdjęcia. Pasja kolekcjonera przedmiotów, z których każdy ma znaczenie i przywołuje wspomnienia, to coś, co zawsze wprawiało mnie w osłupienie.

Moje związki z przedmiotami opierają się na seryjnej nielojalności. Zdobywam je, kocham i porzucam. Już w dzieciństwie przywykłam do pakowania i przepakowywania pudeł. Gdy przemieszczasz się między dzielnicami, miastami i kontynentami, możesz zabierać ze sobą jedynie ograniczoną ilość rzeczy. Resztę dobytku zostawiasz za sobą.

Urodzona we Francji w 1903 roku, Anais Nin była au-

torką, która wywarła duży wpływ nie tylko na literaturę światową, ale także na ruch kobiet w XX wieku. Choć płodna pisarka tworzyła powieści, opowiadania i zajmowała się krytyką literacką, najlepiej znane były jej dzienniki, których przeważającą część opublikowano za jej życia. Krytycy twierdzili, że większość postaci kobiecych w jej dziełach, jeśli nie wszystkie, odzwierciedlała ją samą, czemu stanowczo zaprzeczała. Jedno z najbardziej intrygujących wydarzeń w jej życiu miało miejsce, gdy zmęczona przestrzeganiem zasad obowiązujących w świecie wydawców, postanowiła sama wydawać własne książki. Kupiła ręczną prasę drukarską, nauczyła się ją obsługiwać i zaczęła robić skład. To była orka na ugorze, jak zwykła mawiać, zwłaszcza dla kobiety ważącej nie więcej niż czterdzieści pięć kilogramów. Później, gdy opowiadała o tym doświadczeniu, stwierdziła, że drukowanie własnych książek, składanie każdego zdania, nauczyło ją, jako pisarkę, wyrażać się zwięźle i mniej potocznie.

Okoliczności pomagają nam zadowalać się mniejszymi ilościami.

W ten sam sposób wędrowanie nauczyło mnie, jak przetrwać z minimalną liczbą mebli. To, co kupuję w jednym mieście, porzucam przed przeprowadzką do kolejnego. Jakbym z każdym krokiem i z każdym nabytkiem traciła coś innego gdzie indziej. Mimo to wszędzie, dokądkolwiek się wybieram, udaje mi się przewozić w bagażu podręcznym jedną rzecz. To torba na ramię, stara jak Morze Martwe, choć lekka jak piórko, która nie podlega kontroli celnej nigdzie na świecie: sztuka snucia opowieści.

Nawet najbardziej cenione przeze mnie książki nie wytrwały przy mnie długo; cisną się w kartonach zalegających w piwnicach moich krewnych i przyjaciół. Kolekcję literatury rosyjskiej przechowuje moja mama u siebie w domu w Ankarze. Wszystkie książki po hiszpańsku, wliczając Don Quixote de la Mancha, leżą w garażu mojej przyjaciółki na przedmieściach Stambułu. A każda z Baśni tysiąca i jednej nocy nadal czeka na mnie w Mount Holyoke College, gdzie byłam kiedyś stypendystką.

W dziwny sposób taka dezorganizacja pomaga mi ćwiczyć pamięć. Gdy nie możesz zabierać ze sobą książek, nie masz wyboru: musisz zapamiętać tyle historii i urywków, ile tylko zdołasz. Właśnie dlatego fragmenty dialogu Pasternaka z Doktora Żywago i wiersze Rumiego z Mathnawi wryły mi się w pamięć. Nie mogę ich ze sobą taszczyć, nie tak opasłe tomiska ani tak liczne dzieła, ale zawsze mogę wyrecytować kilka wersów. „Skoro nie noszę w sobie klejnotu miłości, pozwól, by zniszczono bazar mojego istnienia kamień po kamieniu...”.

— Ma pani podobne miejsce do pracy, które uważa pani za święte? — pyta pani Agaoglu.

— Niezupełnie. Ale mam laptop — odpowiadam ze świadomością, jak żałośnie brzmią moje słowa.

Spogląda na mnie w zadumie, po czym zmienia temat.

— Może napijemy się teraz herbaty?

Uśmiecham się z ulgą.

— Bardzo chętnie, dziękuję.

Gdy czekam na powrót gospodyni w salonie, coś, z czego zawsze zdawałam sobie sprawę, ale nad czym nigdy się nie zastanawiałam, nabiera wyraźnych kształtów: zawsze chwyciłam, albo może chciałam chwycić, skrawki i okruchy egzystencji tu i tam, bez poczucia całości, centralizacji i ciągłości. Krócej można to ująć w ten sposób: żyję w chaosie.

W tym konkretnym momencie dostrzegam, że tak jak pani Agaoglu hołubi stabilizację, tak mnie nosi po świecie. Tak jak ona jest zdyscyplinowana, tak ja jestem niezorganizowana. I bez względu na to, jak usilnie staram się przywiązać do przedmiotu, domu, adresu albo związku, lina, której używam, jest za słaba. A jednak, chociaż to dziwne, ta moja ciągła tułaczka nosi znamiona przekleństwa i błogosławieństwa jednocześnie.

Nieco później pani Agaoglu wraca z tacą, na której stoją porcelanowe filiżanki i talerzyki. Lewą połowę mojego talerzyka zajmują słone krakersy, a prawą — słodkie ciasteczka. Wszystkie są ułożone w doskonałej symetrii i jest ich dokładnie tyle samo.

Przez następne pół godziny pani Agaoglu opowiada mi, jak wyglądało życie pisarek w przeszłości i co jej zdaniem zmieniło się od tego czasu. Ja słucham i z przyjemnością uczestniczę w rozmowie. Nie spieszy mi się. Nie mam w planach żadnych spotkań ani powinności. Dyskutujemy o sztuce i twórczości autorów, którzy przychodzą i odchodzą, a potem o losie pisarki w patriarchalnym społeczeństwie.

Nagle, ni z tego, ni z owego, pani Agaoglu zaskakuje mnie nowym tematem.

— Myślę, że na pewnym etapie życia pisarki czują, że muszą dokonać wyboru — mówi. — A przynajmniej tak było ze mną. Zrezygnowałam z dzieci i poświęciłam się pisaniu.

Głosem spokojnym, lecz stanowczym tłumaczy, że aby móc zaistnieć jako powieściopisarka i tworzyć bez ograniczeń, w dużych ilościach, postanowiła nie mieć potomstwa.

— Miałam szczęście — stwierdza — bo mój mąż poparł mnie w tej decyzji. Nie poradziłabym sobie bez jego pomocy.

Czuję ucisk w żołądku. „Proszę, nie pytaj mnie o to”.

Ale ona to robi.

— A co pani sądzi o macierzyństwie? Rozważa pani taką możliwość?

Oczami wyobraźni widzę swój manifest z parowca zapisany krzykliwymi wersalikami. Może to dobry moment, by wyrecytować kilka jego fragmentów. Jednak w tej właśnie chwili rozlega się śpiew Chóru Niewspółbrzmiących Głosów, jakby ktoś włączył przycisk „start”.

„Ciii, bądźcie cicho — szepczę w kołnier. — Zamknijcie się, dziewczyny, na litość boską”.

— Coś pani mówiła? — pyta pani Agaoglu.

— Nie, nie... to znaczy tak, ale tylko mruczałam do siebie... To naprawdę nic takiego... — Czuję, że się czerwienię.

— A co pani do siebie mruzczała? — docieka pani Agaoglu.

Przełykam ślinę tak głośno, że obie to słyszymy. Nie ośmielam się powiedzieć: „Właśnie dawałam reprimendę czterem kobietom żyjącym wewnątrz mnie. Bo widzi pani, one mają sprzeczne poglądy dotyczące macierzyństwa, a także wszystkich ważnych spraw w moim życiu”.

Nie mam odwagi wyznać: „Na dnie mojej duszy istnieje wewnętrzny harem. Tworzy go grupa kobiet, które nieustannie się ze sobą kłóca i sprzeczą, i tylko szukają okazji do podstawienia sobie nogi. To małe istoty, nie większe od Calineczki. Każda z nich mierzy mniej więcej dziesięć, dwanaście centymetrów i waży trzysta, czterysta pięćdziesiąt gramów. Chociaż uprzykrzają mi życie, nie potrafię bez nich egzystować. Nie mogę nikomu o nich powiedzieć. Gdybym to zrobiła, umieszczono by mnie w zakładzie z podejrzeniem schizofrenii. Ale czy osobowość nie jest z definicji schizofreniczna?”.

Nie śmiem rzec: „Każda członkini Chóru Niewspółbrzmiających Głosów twierdzi, że jest prawdziwą mną, a zatem inne postrzega jako rywalki. Czują do siebie taki wstręt, że wydrapałyby sobie oczy przy pierwszej nadarzącej się okazji. Są siostrami z krwi i kości, lecz funkcjonują zgodnie z zasadami kodeksu prawnego sułtana Mehmeda II Zdobywcy*. Gdyby którakolwiek z nich zasiadła na tronie, obawiam się, że w pierwszej kolejności pozbyłaby się rodzeństwa raz na zawsze.

Właściwie to nie wiem, która z tych miniaturowych kobiet pojawiła się pierwsza, a które później, nie znam chronologii. Niektóre z nich wydają się mądrzejsze od innych, ale to bardziej kwestia ich charakterów niż wieku. Pewnie przyzwyczaiłam się do nieustannego wysłuchiwania kłótni, które prowadzą w moim wnętrzu”.

Nie mam śmiałości powiedzieć żadnej z tych rzeczy.

Zamiast tego podchodzę do pytania z innej strony i znajduję proste wyjście z sytuacji.

— Proszę sobie wyobrazić, że Szekspir miałby siostrę, pisarkę równie utalentowaną jak on, albo Fuzuli doczekałby się żeńskiego rodzeństwa, poetki z takim samym talentem jak jego. Jak pani sądzi, pani Agaoglu, co stałoby się z tymi kobietami? Czy pisałyby książki, czy wychowywałyby dzieci? Mnie chyba najbardziej interesuje, czy potrafiłyby pogodzić jedno z drugim.

— Zmierzyłam się z tym pytaniem dawno temu — mówi, po czym pozwala słowom przebrzmieć. — Moją odpowiedź na nie było stanowcze nie. Jednak teraz nadszedł czas, by to pani, moja droga, poszukała własnej odpowiedzi. Myśli pani, że kobieta potrafi połączyć macierzyństwo z karierą i osiągać zadowalające wyniki na obu polach?

* Kodeks prawny Mehmeda II Zdobywcy (Mehmeda al-Fatiha) — w XV wieku na mocy kodeksu sułtana Mehmeda II Zdobywcy zalegalizowano bratobójstwo w imperium osmańskim, dzięki czemu władcy mogli zabijać braci, by ci nie stwarzali zagrożenia dla tronu.

UTALENTOWANA SIOSTRA

We Własnym pokoju Virginia Woolf stwierdza, że żadna kobieta nie potrafiłaby napisać sztuk Szekspira w tym wieku co on. By wyjaśnić swoją teorię, przedstawia zmyśloną kobietę, którą wciela w rolę siostry Szekspira. Daje jej imię Judyta.

Założmy na moment, że Judyta interesowałaby się teatrem w równym stopniu co Szekspir i byłaby tak samo uzdolniona. Jaki spotkałby ją los? Czy mogłaby poświęcić życie na rozwijanie swojego talentu, tak jak to zrobił Szekspir? Według Woolf to absolutnie niemożliwe.

Odpowiedź brzmi nie, ponieważ kobiety mierzone są inną miarą niż mężczyźni. Judyta może być tak utalentowana, jak tylko zechce, i do woli pasjonować się sztuką oraz literaturą, a i tak w swoich pisarskich dążeniach napotka wiele przeszkód, małych i dużych. Nie będzie jej łatwo pozbyć się etykiety „miła żona, skrupulatna gospodyni, wierna matka”. A co ważniejsze, nie zdoła znaleźć czasu na pisanie między wypełnianiem zadań i odgrywaniem ról narzuconych jej jako kobiecie i matce. Cały dzień będzie upływał jej na wykonywaniu prac domowych: gotowaniu, prasowaniu, opiekowaniu się dziećmi, robieniu zakupów, wywiązywaniu się z obowiązków względem rodziny i tym podobnych. Zanim się zorientuje, stanie się Kobiętą Si-tem, a świat zacznie wyciekać przez dziury w jej życiu. W tych rzadkich chwilach samotności pozwoli się pokonać wyczerpaniu albo frustracji. Jak zdoła coś napisać? I kiedy?

Już na samym początku Judyta zostanie pozbawiona możliwości, z których mógł korzystać Szekspir. W świecie, w którym odwołuje się dziewczęta od rozwijania własnej indywidualności i wpaja im, że ich główną powinnością jest bycie dobrą żoną i matką, w świecie, w którym kobiety są hałaśliwe w królestwie kultury mówionej, ale najczęściej niewidzialne w kulturze pisanej, w takim świecie literatki zaczynają mecz z siedmioma punktami straty.

Odnieśmy teraz pytanie Virginii Woolf do Bliskiego Wschodu.

Fuzuli był jednym z najwspanialszych twórców Orientu, słynnym szesnastowiecznym poetą, obecnie wysoko cenionym zarówno przez Arabów, Persów, jak i Turków. Powiedzmy, że Fuzuli miał utalentowaną młodszą siostrę. Dziewczynie nadano imię Firuze — turkus, od koloru jej oczu.

Firuze jest cudownym dzieckiem, ma duszę badacza, pilnie się uczy i tryska pomysłami. Kręcone włosy okalają twarz dziewczynki, a gdy się uśmiecha, na jej policzkach pojawiają się dołeczki. W jej głowie kłębią się pytania, a każde z nich pociąga za sobą kolejne. Niczym obrazy widoczne w lustrach ustawionych naprzeciwko siebie, jej myśli mnożą się bez ustanku, aż do nieskończoności. Siła wyobraźni wypływa z jej zdań niczym woda pokonująca łuki akweduktu, zawsze świeża i niczym nie ograniczona. Uwielbia opowiadania, a im więcej w nich przygód i niebezpieczeństw, tym lepiej. Dniem i nocą snuje historie o piratach przewożących ludzkie czaszki z rubinami osadzonymi w oczodołach, o magicznych dywanach la-

tających nad targami przypraw i kryształowymi pałacami oraz o zielonych dwugłowych olbrzymach, mówiących językiem niezrozumiałym dla nikogo prócz niej. Nieustannie powtarza je matce, babce i ciotkom. A gdy one nie mogą dłużej jej słuchać, szuka publiczności wśród gości, służących i wszystkich, którzy przychodzą z wizytą.

Starsi w jej rodzinie kręcą głowami, mówiąc: „Dziewczyno, twoja wyobraźnia jest bujniejsza od niejednej dżungli. Jak ty wymyślasz te wszystkie historie? We śnie zakradasz się na szczyt góry Kaf i aż do świtu podsłuchujesz rozmowy wróżek?”.

Firuze zastanawia się, co to za miejsce, ta góra Kaf. Tak bardzo chciałaby do niej dotrzeć i ujrzeć ją na własne oczy. Chociaż brakuje jej doświadczenia, intuicyjnie wyczuwa, że świat jest pełen cudów, a niektóre zakątki ziemi przypominają krainę wiecznej szczęśliwości. Czytała w Koranie wersety opisujące raj: „Oto ci, których czekają Ogrody Edenu, gdzie w dole płyną strumyki. Będą tam przebywać ozdobieni bransoletami ze złota, ubrani w szaty zielone z jedwabiu i brokatu”*. Często oddaje się jednej ze swoich ulubionych rozrywek: zamyka oczy i widzi siebie przyodzianą we wspaniałe jedwabie, z ręcznie wykonany-

* *31 werset 18 sury Koranu w tłumaczeniu J. Bielawskiego, Warszawa 1986 (przyp. tłum.).*

mi dzwoneczkami przy kostkach, które pobrzękują, gdy przechadza się wzdłuż najzimniejszych ruczajów i zrywa z drzew soczyste owoce, większe od strusich jaj.

Sen to dziewczyna o różowych policzkach, czarująca jak nimfa wodna i jednakowo swawolna. Jeśli spróbujesz wziąć ją w ramiona, wyslizgnie się z twojego uścisku, gibka i zwinna, niczym ryba albo miraż. Wysiłki tych, którzy pragną jej dotyku, idą na marne.

Rzeczywistość to bezzębna starucha o włosach w kolorze szarego burzowego nieba i mrozącym krew w żyłach chichocie. Tak naprawdę nie jest szpetna, ale ma w sobie coś niepokojącego, co sprawia, że trudno spojrzeć jej w oczy.

Sen to dobra znajoma Firuze, jej najlepsza przyjaciółka. Podczas zabawy, gdy śmieją się, żartują i skaczą z tematu na temat, Rzeczywistość przygląda się im z oddali spod przymrużonych powiek.

— Już niedługo — mówi Rzeczywistość — ta swawolna Sen znajdzie się za drzwiami, a ja będę marnieć na jej tronie. Firuze może się jeszcze trochę pobawić ze Snem. Ale wkrótce stanie się kobietą i będzie musiała się rozstać ze swoją ulubioną towarzyszką zabaw.

Pewnego dnia rano Firuze budzi dziwna wilgoć między nogami i dostrzega czerwoną plamę na swojej koszuli nocnej. Serce dziewczynki zaczyna trochę mocniej bić. Ogarnia ją strach, że się skaleczyła. Łkając, biegnie do matki. Jednak nim zdąży wypowiedzieć kilka słów, otrzymuje siarczysty policzek.

— Zamilcz — rozkazuje jej matka ostrym głosem, który nie pasuje do łagodności wyczierającej z jej oczu.

— Ale co się stało, mamó? — pyta szeptem przerażona Firuze.

— To przytrafia się wszystkim kobietom — tłumaczy matka. — Tylko nikomu o tym nie mów, zwłaszcza swoim braciom. Weź te szmaty i doprowadź się do porządku.

— To przytrafia się wszystkim kobietom — powtarza Firuze z niedowierzaniem.

— Właśnie tak. To sygnał, że skończyło się twoje dzieciństwo. Odtąd musisz uważać na to, jak się zachowujesz. Nie możesz biegać dookoła ani skakać na skakance. Nie możesz głośno mówić ani chichotać. Teraz jesteś kobietą. Kiedy? Dlaczego? Jak zmieniła się z dziewczyny w kobietę? Zawsze sądziła, że droga ku dojrzałości jest długa, kręta, otoczona drzewami, a poznaje się ją krok po kroku. Dlaczego nikt jej nie powiedział, że w rzeczywistości to raczej zapadnia i że gdy się na nią nadepnie, spada się z ogromną prędkością na sam dół?

Firuze czuje się brudna i winna, nie z powodu tego, co zrobiła, ale tego, kim jest. Babka zabroniła jej dotykać Koranu, dopóki krwawienie nie ustanie, a ona dokładnie się nie umyje. Najwyraźniej nawet Bóg już jej nie chce. Firuze cierpi. Jej twarz traci kolor, a w oczach gasną pogodne iskierki. Ta beztronska dziewczyna, której śmiech niósł się echem po domu, przywodząc na myśl tuzin brzęczących dzwoneczków, ustąpiła miejsca kobiecie, której ciąży własne ciało. Z nisko zwieszoną głową i pochmurnym obliczem, zamysłona Firuze jest na obcej ziemi, nawet gdy siedzi przy koksowniku z Rzeczywistością.

Starsi z jej rodziny nie spuszczają z niej oczu, szepczą między sobą o ewentualnych zalotnikach. Swatki przychodzą i odchodzą; każda z nich przynosi rachatlukum owinięte w jedwabne chusteczki. Gdy jej rodzice targują się o wartość wiana, skromność Firuze nabiera jeszcze większego znaczenia. Ale bez względu na to, jak surowo rodzice ją traktują, nie mogą powstrzymać jej przed bieganiem na drugie piętro i przyciskaniem nosa do zakratowanych okien. Tkwi tam tak długo, że na jej twarzy powstają ślady jak po ospie wietrznej. Wdycha zapach dzikich ziół, który niesie wiatr z dalekich dolin.

Gdyby tylko mogła wyjść z domu i odszukać karawanę, która wywiozłaby ją z miasta Karbala na krańce świata. Chce iść do szkoły, tak jak jej brat Fuzuli, i studiować teologię, tafsir*, astronomię i alchemię. Gdyby tylko mogła przechadzać się ulicami, dumnie niosąc pod pachami książki i słowniki grubości cegieł. Gdyby tylko jej rodzice powiedzieli: „Wspaniale, Firuze. Jak Bóg da, może zostaniesz równie wielkim poetą co twój brat!”.

Firuze ma sekret, którego nie zdradzi nikomu: przez lata pisała wiersze. Na początku opisywała wszystko, co leżało jej na sercu, bez żadnych oczekiwań, jakby rozmawiała sama ze sobą. Szybko jednak zrozumiała, że to dla niej coś więcej niż zwykła rozrywka. To była jej pasja. Pisanie rozwija się niczym choroba, która atakuje ciało oraz duszę. Najczęściej inspiracja przychodzi o brzasku. Firuze wstaje przed świtem, zarzuca szal na ramiona i zaczyna pisać. Ci, którzy słyszą ciche odgłosy krzątania

dochodzące z jej pokoju, sądzą, że wstała, by się pomodlić. Nie wiedzą, że w pewnym sensie to prawda. Poezja to dla niej prawdziwa modlitwa, wydobywa się z głębi jej duszy, a skierowana jest do znacznie wyższej i potężniejszej siły.

* *Tafsir — sztuka komentowania Koranu.*

Firuze wierzy, że bez poezji Bogu doskwierałaby samotność.

Czyta dzieła innych poetów, zwłaszcza irańskiego Hafiza i tureckiego Nesimi. Uwielbia także wiersze brata; na jeden z nich natrafiła właśnie dzisiaj i natychmiast go zapamiętała:

Wszystko na tym świecie jest miłością,
a wiedza to nic więcej niż plotka.

Chociaż zakochała się w tym utworze, nie mogła pozbyć się wrażenia, że tylko mężczyzna, który otrzymał solidne wykształcenie i zgłębił tajemnice gramatyki oraz języka, mógł napisać coś takiego. Dla Firuze i dla wszystkich, którym odmówiono wstępu do szkoły, wiedza z pewnością była czymś więcej niż plotką.

Była palącym pragnieniem.

Pewna wiekowa niewolnica, kobieta o skórze ciemniejszej niż heban, zajmowała się Firuze od dnia jej narodzin. Gdy przemierza pokój, jej kroki są bezszelestne niczym jedwab, a gdy mówi, z jej ust wydobywa się jedynie szept. Pewnego ranka podczas szydełkowania koronkowej narzuty Firuze odwraca się do swojej niani i mówi:

— Chcę iść do medresy i zostać sławną poetką.
— Ach tak?

Z gardła niani wyrwa się stłumiony śmiech, a jej bujne piersi podrygują.

— Czemu się śmiejesz? — pyta Firuze tonem, który zdradza, że czuje się dotknięta.

— Pozwól, że najpierw opowiem ci historię — odpowiada niania i nagle znów poważnieje.

A oto jej opowieść:

„Pewnego dnia podczas pracy na zagonie arbużów Nasreddin Hodja zrobił sobie przerwę i usiadł pod drzewem orzechowym. Spoglądając w górę, mruknął do siebie:

— Boże Wszchemogący, nie rozumiem twojego postępowania. Czemu sprawiasz, że ogromne arbuzy rosną na najcieńszych łodygach, a małe orzechy włoskie na tak grubych gałęziach? Czy nie byłoby lepiej na odwrót?

Gdy tylko zamilkł, powiał silny wiatr i z drzewa spadł orzech, prosto na jego głowę.

— Au! — krzyknął z bólu Nasreddin Hodja. Gdy masował posiniaczone miejsce, zrozumiał swój błąd. — Boże, przebacz mi i mojemu niemądremu językowi — powiedział.

— Teraz już wiem, czemu nie sprawiłeś, by arbuzy rosły na drzewie. Gdybyś zamienił miejscami arbuzy i orzechy, już bym nie żył. Zachowaj, proszę, wszystko tak, jak jest. Ty wiesz lepiej!”.

Firuze słucha z zapartym tchem.

— Co to ma wspólnego ze mną?

— Szalona dziewczyno, naprawdę nie rozumiesz? —

pyta niania. — Czy ktokolwiek słyszał o kobiecie piszącej wiersze? Bóg nie bez powodu tak urządził świat, i lepiej, byśmy to uszanowali, jeśli nie chcemy, żeby arbuzy leciały nam na głowy.

Tego popołudnia Firuze wychodzi na podwórze. Mija studnię i kieruje się prosto do kurnika w rogu. Otwiera małą, drewnianą furtkę, wchodzi do środka i wdycha intensywny zapach ziemi, kurzu i brudu. Ani koguty, ani kury nie zwracają na nią uwagi. To jej pokój. Tylko w tym miejscu, przesiąkniętym ostrą wonią i zamieszkanym przez hałaśliwych lokatorów, znajduje chwile wytchnienia. Pod miskami na ziarno, w aksamitnym pudełku, trzyma swoje wiersze. Ściera kurz, chwytą futerał i idzie na spotkanie z bratem.

— Co ty tutaj robisz, siostrzyczko? — mówi Fuzuli, zaskoczony, że widzi ją w drzwiach.

Dziewczyna podaje mu swoje wiersze z uśmiechem równie napiętym co struna lutni arabskiej.

— Możesz je przeczytać?

Fuzuli spełnia jej prośbę. Czas zwalnia i płynie innym rytmem, jak we śnie. A gdy Firuze ma wrażenie, że minęła już cała wieczność, brat unosi głowę. Jego oczy błyszczą inaczej niż przedtem.

— Gdzie znalazłaś te wiersze? — pyta.

Firuze unika jego spojrzenia. Nie ośmiela się wyznać prawdy. Poza tym chce wiedzieć, czy jej utwory się do czegoś nadają. Czy naprawdę ma talent?

— Niedawno odwiedziła nas jedna z sąsiadek. Wiersze napisał jej syn — mówi. — Błagała, żebyś na nie spojrzeć i powiedział szczerze, czy jej syn ma talent.

Cień przemyka po twarzy Fuzuli, jakby coś podejrzewał, ale gdy się odzywa, brzmi spokojnie i pewnie.

— Powiedz sąsiadce, że jej syn powinien mnie odwiedzić. Ten młody człowiek ma wielki talent — oświadcza, gładząc długą, brązową brodę.

Firuze promienieje ze szczęścia. Zamierza wyznać bratu prawdę, gdy nadejdzie odpowiedni moment. Jeśli zdoła go przekonać, ugnie się także cała jej rodzina. Zrozumieją, ile znaczą dla niej słowa. Wierzyć w poezję to wierzyć w miłość. Wierzyć w poezję to wierzyć w Boga. Jak można temu zaprzeczyć?

Jednak moment, na który czeka, nigdy nie nadchodzi.

Zaledwie kilka tygodni po rozmowie z bratem Firuze wychodzi za mąż za urzędnika starszego od niej o osiemnaście lat.

W jej Noc Henny przy dźwiękach bębnów i tamburynów rozlegają się śpiewy. Kobiety najpierw tańczą i śmieją się radośnie, a potem ich twarze drżą i zalewają je słone łzy.

Tylko wtedy, gdy kobiety świętują zaślubiny, szczęście i smutek oznaczają dokładnie to samo.

Jeszcze wczoraj była dzieckiem

pływała w morzu liter

krwawiła poezją

Na jej koszuli nocnej pojawiła się plama

ciemna i tajemnicza

W okamgnieniu

w ułamku sekundy

stała się kobietą

Jej imię zakazany owoc...

Z uwagi na koneksje pana młodego podjęta zostaje decyzja, że młoda para zamieszka w Stambule. Firuze zostaje wywieziona daleko od domu, rodziny i dzieciństwa. Przed wyjazdem nie składa ostatniej wizyty w kurniku. Nie zależy jej na tym. Już nie. Jej wiersze niszczejają, ukryte w dziurze pod miskami na ziarno. Jej wielki sekret obraca się w pył, który zostaje później wymieciony.

Kilka miesięcy później w Stambule Firuze siedzi w konaku przy Bosforze, obserwując ciemnoniebieskie wody. Krztusi się, ale tym razem nie wymiotuje. Jest w siódmym miesiącu ciąży. Ma nadzieję, że urodzi syna, który przekaże nazwisko jej męża kolejnym pokoleniom, aż do końca świata. Czasami wypowiada wiersze, ale już ich nie spisuje. Wymawiane przez nią słowa rozwiewa wiatr, niczym kawałki potłuczonego snu, który dawniej śniła i którego już nie pamięta.

Kto wie, ile kobiet podobnych do Firuze żyło dawniej na Bliskim Wschodzie? Kobiet, które mogłyby zostać poetkami albo pisarkami, gdyby im na to pozwolono. Kobiet, które ukrywały swoje wiersze w kurnikach albo kufrach na posag, gdzie zgniły. Wiele lat później, podczas opowiadania historii swoim wnuczkom, jedna z nich mogła rzec:

— Wiedziałaś, że dawniej pisałam wiersze?

— A co to takiego?

— Poezja? To magiczne miejsce po drugiej stronie góry Kaf.

— Też mogę tam pójść? Mogę?

— Tak, kochanie, możesz tam iść, ale nie możesz tam zostać. Wolno ci tylko złożyć wizytę, nic więcej.

I wypowiedziałaby te słowa szeptem, jakby to też była bajka.

Może nie należy dochodzić, dlaczego dawniej nie było więcej poetek i pisarek. Prawdziwe pytanie brzmi: Jak garstka kobiet miała przetrwać w świecie literatury w obliczu tak wielu przeciwności?

Pod względem dawania równych szans takim kobietom jak Firuze świat za bardzo się nie zmienił. Tak jak twierdziła kiedyś Virginia Woolf, tak i dziś: „Ilekcroć (...) czytam o topionej w rzece czarownicy, o mądrej niewieście znajdującej się na ziołach albo o matce wybitnego mężczyzny, tylekcroć mam uczucie, że jestem na tropie niespełnionej pisarki albo poetki, której nie dane było się wypowiedzieć — jakiejś niemej i zapomnianej Jane Austen czy też strojącej dziwaczne miny i błąkającej się po wrzosowiskach albo gościńcach, dręczonej trawiącym bezowocnie jej duszę talentem, jakiejś Emilii Bronte”^{*}.

Także dziś obowiązują pewne zasady: o pisarzach myśli się najpierw jak o twórcach, a potem jak o mężczyznach. Natomiast pisarki postrzegane są przede wszystkim jako kobiety.

^{*} *Virginia Woolf, Własny pokój, Trzy gwinee, tłum. E. Krasińska, Warszawa 2002, s. 65 (przyp. tłum.).*

JESZCZE JEDNA FILIŻANKA HERBATY

— Wszystko w porządku? — pyta pani Agaoglu. — Wygląda pani, jakby była daleko stąd.

— Naprawdę? — Uśmiecham się skruszona. Spoglądając wymownie przez stół, proponuje mi kolejną filiżankę herbaty, po czym mówi:

— Rola matki i rola pisarki niekoniecznie muszą się wykluczać. Ale nie powiedziałabym, że idą ze sobą w parze.

Mój umysł pracuje niczym rozregulowany komputer. Nazwiska i obrazy krążą po monitorze, chaotycznie, bezładnie. Myślę o pisarkach, które są także matkami: Nadine Gordimer, Margaret Atwood, Annie Proulx, Anita Desai, Jhumpa Lahiri, Naomi Shihab Nye, AnneT__amott, Mary Gordon, Anne Rice albo legendarna Cristina di Belgiojoso. Wiele z nich ma jedno, najwyżej dwoje dzieci. Jednak istnieją także takie, które wychowują co najmniej trójkę, na przykład Ursula K. Le Guin.

Jednocześnie wiele autorek prozy i poezji zrezygnowało z macierzyństwa z powodów, które uznało za słuszne. Emily Dickinson, Virginia Woolf, Emily Bronte, Dorothy Parker, Lillian Hellmann, Ayn Rand, Gertrude Stein, Patricia Highsmith, Jeanette Winterson, Amy Tan, Sandra Cisneros, Elizabeth Gilbert i wiele innych.

Ponadto niektóre literatki decydują się na opiekę nad dziećmi rodzonymi i adoptowanymi. Wśród nich najbardziej niezwykła była laureatka Nagrody Nobla, Pearl S. Buck, nie tylko płodna pisarka, ale także orędowniczka równości rasowej i seksualnej, kobieta o wielkim sercu. Gdy na początku lat pięćdziesiątych XX wieku Buck odkryła, że system adopcji w Ameryce dyskryminuje dzieci czarnoskóre i pochodzenia azjatyckiego, a faworyzuje dzieci białe, postanowiła z owym systemem walczyć i pomagać potrzebującym. Po długich zmaganiach ufundowała Welcome House — pierwszy międzynarodowy ośrodek adopcyjny, w którym równo traktowano dzieci wszystkich ras, i zmieniła życie wielu z nich. Chociaż robiła tak wiele, nigdy nie zrezygnowała z literatury ani nie zwolniła tempa tworzenia. Wręcz przeciwnie, wydaje się, że macierzyństwo i działalność społeczna napędzały jej karierę pisarki.

I wreszcie są też takie autorki, które mogłyby zdecydować się na potomstwo, lecz skoro ich mężowie go nie chcieli, one także z niego zrezygnowały. Wielu sądzi, że właśnie taki los spotkał znaną brytyjską pisarkę Iris Murdoch. Pojawiły się opinie, że jej mąż, John Bayley, nigdy nie chciał potomstwa, a ona się do tego dostosowała. Opublikowana po śmierci Murdoch biografia literatki ujawniła mniej znane oblicze ich związku, co wywołało spore zamieszanie.

Próbuję znaleźć wzór, złotą regułę, która mogłaby odnosić się jeśli nie do wszystkich, to przynajmniej do większości pisarek, jednak najwyraźniej nic takiego nie istnieje.

J.K. Rowling zaczęła pisać książki o Harrym Potterze po narodzinach syna, a kolejne tomy dedykowała swojej nowo narodzonej córce. Twierdzi, że macierzyństwo inspirowuje. Ktoś mógłby uznać, że matka, która pisze opowiadania o magii, snuje podobne opowieści o siłach nadprzyrodzonych, gdy kładzie dzieci do łóżka. J.K. Rowling twierdzi jednak, że nie wierzy w czary, a jedynie w dogmaty religijne. Nie wiem, jak sprawnie funkcjonuje jej gospodarstwo domowe, ale wygląda na to, że Rowling ma prawdziwy talent do łączenia macierzyństwa z pisaniem.

I jest także Toni Morrison, która sama wychowała dwóch synów. Przez wiele lat nie mogła pisać w ciągu dnia, a jej spotkania z długopisem i papierem odbywały się wyłącznie późną nocą, gdy dzieci mocno spały. Chociaż życie Morrison nie było usłane różami, autorka uważa, że czerpała natchnienie z każdego gorzkiego doświadczenia. Czasami największą nagrodą, jakiej spodziewa się pisarka, nie jest Nagroda Bookera czy Orange Prize, ale pracowita niania o dobrym sercu. Wiele autorek marzy, by usłyszeć te dwa magiczne słowa: „Nianię otrzymuje...”. Nic dziwnego, że liczne stypendia przyznawane Sylvii Plath były opisywane jako „stypendia na nianię” — dzięki tym pieniądżom mogła zatrudniać profesjonalną opiekunkę, a sama znaleźć czas i energię na pisanie.

Jednak istnieje także druga strona medalu. W skłaniających do refleksji *Notes to a Young(er) Writer* Sandra Cisneros otwarcie rozprawia się z problemem klasowości, a także z pisarkami i poetkami mającymi własne pokojówki. „Zastanawiam się, czy irlandzka gosposia Emily Dickinson pisała poezję albo czy kiedykolwiek miała ukryte pragnienie, by studiować i zostać kimś innym niż gosposią — pisze Cisneros. — Może irlandzka gosposia Emily Dickinson musiała się poświęcić, by jej pracodawczyni mogła żyć zamknięta na piętrze, wciśnięta w róg swojej sypialni, gdzie napisała 1775 poematów”. O ile świat literacki unika opowiadania o tak przyziemnych sprawach, o tyle pieniądze i status społeczny nadal pozostają przywilejami, z których nie każdy może korzystać.

Jednak nie tylko matki-pisarki, ale także ich dzieci zasługują na uwagę. Syn Susan Sontag, David Rieff, poszedł w ślady matki i został pisarzem oraz redaktorem. Przez moment redagował nawet jej dzieła. Kiran Desai opowiada o bliskich stosunkach, które łączyły ją z matką, Anitą Desai, na polu literatury. Guy Raphaël Johnson, syn jednego z ulubionych głosów amerykańskiej poezji, Mai Angelou, również postanowił zostać poetą.

„Gdyby z jakiegoś powodu te dzieci nienawidziły świata swoich matek, z pewnością nie wybrałyby tej samej drogi co one — myślę. — Chyba mimo wszystko literatki nie najgorzej radzą sobie z macierzyństwem”.

Ale nawet wtedy, gdy wypowiadam te słowa, zdaję sobie sprawę z istnienia kontrprzykładów, spraw, o których znacznie trudniej opowiadać. Kilka utalentowanych pisarek nie sprawdziło się w roli matki. Nie wiemy o nich wiele. Relacje, które z zewnątrz sprawiają wrażenie godnych pozazdroszczenia, za zamkniętymi drzwiami mogą wyglą-

dać zupełnie inaczej. Ładne zdjęcia i jasne fasady skrywają pokiereszowane serca, o których rzadko słyszymy.

Dobrze znany jest przypadek Muriel Spark.

Spark to bez wątpienia jedna z najbardziej wpływowych autorek minionego stulecia. Napisała ponad dwadzieścia powieści i dziesiątki innych dzieł, w tym książki dla dzieci, sztuki i zbiory opowiadań. Gdy w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat odeszła z tego świata, przyjaciele, krewni, wydawcy, redaktorzy, krytycy i dziennikarze przybyli na jej pogrzeb. Zabrakło tylko jednej osoby: jej pierworodnego, Robina.

Zastanawiające, co takiego się stało, że syn, jedyny syn, gdy dowiedział się o śmierci matki, odmówił udziału w jej pogrzebie. Ile było w tym bólu i cierpienia? Jak matka, która wiedziała o zbliżającej się śmierci, mogła poświęcić ostatnie dni życia na wykluczanie syna z testamentu? Jaki żal, jaka udręka mogły popchnąć ją do takiej decyzji?

Urodzona w Edynburgu, Spark zaraz po ślubie opuściła ojczyznę i przeprowadziła się do Rodezji (Zimbabwe), gdzie jej mężowi zaproponowano posadę nauczyciela.

W 1938 roku parze urodził się syn. Nie wiem, czy byli bardziej nieszczęśliwi od innych rodzin w okolicy, jednak nieco później Muriel Spark postanowiła wrócić do Wielkiej Brytanii. Sama. Czy kiedy opuszczała swojego sześciolatniego syna, czuła, że to najtrudniejszy moment w jej życiu, czy może z całego serca wierzyła, że niebawem wróci? Tak czy inaczej nigdy nie wróciła. Robina wychował ojciec z pomocą swojej matki.

W miarę upływu czasu zwiększał się dystans między Spark a jej synem, lecz strzępki łączących ich więzi zostały zerwane dopiero w dniu, gdy Robin, już jako dorosły mężczyzna, oświadczył, że przechodzi na judaizm. Spark, żarliwa katoliczka, z goryczą przyjęła wiadomość, że jej syn próbuje dowieść, iż jego babka (a zatem i matka) w rzeczywistości była Żydówką. Pisarka twierdziła, że jej syn łaknie sensacji i skandalu wyłącznie z chęci zemsty. Potem ich wzajemne stosunki były tak napięte, że na pytanie dziennikarza, czy spotyka się z synem, autorka odpowiedziała: „Jak długo trzyma się ode mnie z daleka, może robić, co mu się żywnie podoba”.

I tak już pozostali... rozdzieleni.

Na ulicy, za częściowo zaciągniętymi zasłonami, wiatr przybiera na sile, szeleści w liściach akacji w padającym z ukosa wieczornym świetle. Jednocześnie przyspiesza czas. Płynie tak szybko, że zdjęta paniką zaczynam podejrzewać, iż się spóźniłam, choć dokładnie nie wiem na co. Ile mam lat?

Trzydzieści pięć. Liczby zaczynają się kręcić niczym licznik na dystrybutorze paliwa. Trzydzieści sześć, trzydzieści siedem, trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć... Jak długo mogę jeszcze odkładać decyzję o dzieciach? Zegar na ścianie, zegar w mojej głowie, zegar w moim sercu, zegar w mojej macicy, wszystkie tykają jednocześnie. Nagle doznaję dziwnego uczucia — jakby te wszystkie zegary miały zadzwonić w jednej chwili: właśnie teraz.

Dokładnie w tym momencie miniaturowe kobiety zaczynają walić w moją pierś. Wszystkie chcą się wydostać.

Wszystkie pilnie domagają się spotkania.

Próbując sprawiać wrażenie pewnej i opanowanej osoby, zrywam się na równe nogi.

— Bardzo przepraszam, ale czy mogę skorzystać z toalety?

— Oczywiście, znajduje się po lewej stronie — mówi pani Agaoglu, wodząc ciemnobrązowymi oczami po mojej twarzy.

Ale ja nie mam czasu ani chęci, by cokolwiek tłumaczyć. Pędzę do łazienki, zamykam drzwi i odkręcam kurek, żeby szum wody zagłuszył moje słowa. Nie chcę, żeby pani Agaoglu słyszała, jak mówię do siebie.

— W porządku, możecie już wyjść — szepczę.

Głucha cisza. Na blacie przede mną stoi świeca zapachowa o aromacie zielonego jabłka. Podmuch powietrza wywołany moim ruchem wprawia płomień w drżenie.

— Halo? Wychodźcie w tej chwili! — Wiem, że krzyczę, ale nie mogę się opanować.

Wtedy rozlega się czysty, nieco ospały głos:

— Możesz przestać zachowywać się tak, jakby rozboleł cię brzuch?

Zastanawiam się, która z nich to powiedziała, ale wołę nie pytać.

— Czemu nie wychodzicie? Sądziłam, że chcecie odbyć pilną naradę. Przez was zamknęłam się w łazience w domu, w którym jestem tylko gościem.

— Zależało nam na spotkaniu, ale potem zdałyśmy sobie sprawę, że nadeszła pora kolacji. Udałyśmy się do siebie, żeby coś przekąsić, więc nie możemy teraz wyjść.

— Cudownie!

— Nie marudź. Może lepiej nas odwiedź, kochana. Co ty na to?

W przeciwieństwie do Alicji z Krainy Czarów nie muszę pić magicznego napoju ani kurczyć się do rozmiaru kciuka, by znaleźć się w innym wymiarze, bo to nie moje ciało, lecz jaźń udaje się w tę podróż. Mogę przybrać dowolny kształt albo nie mieć żadnego. Z tą świadomością biorę głęboki wdech, chwytam świecę i zaczynam schodzić po omszałych stopniach do lochów mojej duszy.

Nadszedł czas na poważną rozmowę z czterema miniaturowymi kobietami,

WEWNĘTRZNY HAREM

Na dole jest ciemno i mgliście. Z wijącymi się niczym labirynt ścieżkami i sekretnymi przejściami moja dusza przypomina scenerię gotyckiej powieści albo filmu o wampirach. Skręcam w lewo, później w prawo, i nagle zdaję sobie sprawę, że całkiem straciłam orientację. Tyle razy przemierzałam te ślepe zaułki i słabo oświetlone boczne ulice, a mimo to nadal się gubię.

W oddali widzę skrzyżowanie, od którego rozchodzą się cztery drogi. Mrugając raz za razem, unoszę świecę na wysokość oczu i wpatruję się w gęstą, niezbyt zachęcającą mgłę. Którędy pójść? Wyobrażam sobie gigantyczne, okrągłe urządzenie, coś pomiędzy kompasem a kołem Fortuny.

Wykonuję to ćwiczenie mentalne, ilekroć jestem niezdeterminowana, chociaż nie mam pewności, czy rzeczywiście pomaga. W wyobraźni obracam kołem tak szybko, jak tylko potrafię, a potem patrzę, jak zwalnia i zatrzymuje się przy literze Z. Szybko ustaliam, że mam kierować się na zachód, i posłusznie ruszam w wyznaczonym kierunku.

Właśnie tam, w mieście tak schludnym jak Bruksela, w eleganckim i nowoczesnym mieszkaniu umeblowanym w minimalistycznym stylu, mieszka Panienska Praktyczna. To ta część mnie, która kieruje się zdrowym rozsądkiem i jest niezwykle pragmatyczna. Naciskam dzwonek i po tym, jak kamera kieruje na mnie swoje oko, słyszę brzęczenie informujące, że mogę wejść. Dziarska, wysportowana gospodyni siedzi przy biurku. Na talerzu przed nią leży kanapka z pszennego pieczywa z kozim serem i wędzonym indykiem. Obok talerza stoi naparstek z dietetyczną colą. Kontroluje wagę, odkąd pamiętam.

Mierzy jedenaście i pół centymetra i waży ledwie trzysta sześćdziesiąt gramów. Jest ubrana w wygodny, luźny strój: jasnobeżową koszulę i brązowe, lniane spodnie z dużą liczbą kieszeni mieszczących wszystko, czego potrzebuję. Na nosie ma okulary w czerwonych, kościanych oprawkach, a na nogach skórzane sandały. Ciemne blond włosy strzyże tak krótko, że nie musi ich układać. Wystarczy szampon (z odżywką). Suszenie jest zbędne.

— Elo, moje duże ja — rzuca pogodnie. — Co ci się stało? Wyglądasz okropnie.

— Jasne, dzięki — burczę.

— Co jest grane? — pyta. Z powodu, który pozostaje dla mnie niezrozumiały, uwielbia strzelać zdaniem naszpikowanymi wyrażeniami slangowymi z prędkością karabinu maszynowego, niczym dzieci ulicy z Tucson.

— Och, Panienska Praktyczna, musisz mi pomóc — mówię.

— Nie ma problemu! Pomoc w drodze.

— Słyszałaś pytanie, które zadała mi pani Agaoglu? Nie wiem, jak na nie odpowiedzieć. Czy można być jednocześnie dobrą matką i dobrą pisarką? Czy ja chcę mieć dzieci? A jeśli nie, to dlaczego? A skoro tak, to kiedy, czemu, jak?

— Hej, wyluzuj, sestro — mówi, wycierając usta serwetką. — Nie rozmieniam się na drobne. Czemu nie miałabyś pogodzić bycia mamuszką z pisaniem? Przecież to możliwe. Wystarczy, że mi zaufasz.

— Naprawdę?

— Acha. Zrobimy tak: podzielimy twój czas równo między pisanie i opiekę nad dzieckiem. — Z psotnym uśmiechem na ustach w milczeniu ocenia moją reakcję.

— To znaczy, że będziesz musiała zacząć nosić zegarek.

— Wiesz, że nigdy go nie noszę — przypominam. — Zegarki, biel i wasabi to trzy rzeczy, od których wolę trzymać się z daleka.

— Może w takim razie zainteresuje cię coś innego — stwierdza tajemniczo. — Rozwiązanie twojego problemu.

— A jak ono brzmi?

— Przesiewanie! — Na widok osłupienia malującego

się na mojej twarzy wybucha śmiechem. — Oddzielanie ziarna od plew — wyjaśnia. — Właśnie to musisz zrobić. Ponownie robię bezmyślną minę, a ona znów uśmiecha się z pewnością kogoś, kto ma wszystko pod kontrolą.

— Pomyśl o tym w ten sposób, siostrzo: ludzki umysł przypomina komplet szuflad kuchennych. Sztućce znajdują się w jednej z nich, serwetki w innej i tak dalej. Użyj tego modelu za wzór. Podczas kamienia otwieraj część przeznaczoną dla macierzyństwa. Podczas pisania otwieraj tę zarezerwowaną dla powieściopisarki. Zamykaj jedną szufladę i korzystaj z innej. Żadnych nieporozumień. Żadnych sprzeczności. Żadnych zmartwień. A wszystko dzięki przesiewaniu.

— O rany, to wspaniałe, ale umknął ci pewien drobny szczegół. Kto będzie zajmował się dzieckiem, kiedy ja będę pisać?

— Żaden problem — prycha. — Halo! Żyjemy w erze globalizacji. Pstryknij palcami. Poszukaj niani, Filipinki, Mołdawianki, Bułgarki... Sama możesz wybrać jej narodowość.

Panienka Praktyczna wkłada rękę do jednej z kieszeni spodni i wyjmuje kartkę papieru.

— Posłuchaj, przygotowałam listę wszystkich niezbędnych informacji. Numery telefonów do agencji niań, opiekunek, żłobków, pediatrów. Powinnaś też rozejrzeć się za asystentką, która będzie odpowiadała na twoje maile. Ułatwisz sobie życie. Dzięki jej pomocy i dyktafonowi zapomnisz o pisaniu. Kumasz?

— Co masz na myśli? — pytam z ciężkim sercem.

— Chodzi mi o to, że zamiast spisywać historie, będziesz mogła je opowiadać. Dyktafon nagra każde twoje słowo. Później sekretarka przepisze cały tekst. Nie uważasz, że to niezwykle praktyczne? Dzięki temu nie będziesz musiała zostawiać dziecka podczas tworzenia.

— Tak z ciekawości — mówię tak spokojnie, jak tylko potrafię — jak opłacę nianię, asystentkę i sekretarkę?

— Och, masz złe podejście — odpowiada. — Ja proponuję praktyczne rozwiązania poważnych problemów, a ty widzisz tylko minusy.

— Ale pieniądze to poważny problem — oponuję łamiącym się głosem. Przez krótką chwilę żadna z nas nie odzywa się słowem. W milczeniu robimy marsowe i nadąsane miny.

— Poza tym nawet gdybym je miała — mówię — i tak nie mogłabym skorzystać z twojej rady. To się kłóci z moim poczuciem równości i wolności. Nie mogę zatrudnić tych wszystkich ludzi, żeby dla mnie pracowali, jakbym była jakimś radzą.

— Teraz gadasz bzdury — burczy Panienka Praktyczna. — Nie wiesz, że każda odnosząca sukcesy pisarka jest radzą?

— Jak możesz tak mówić?

— Jak możesz temu przeczyć? — odpowiada pytaniem na pytanie. — Przypomnij sobie tę wilczycę, którą tak uwielbiasz.

W momencie, gdy mam spytać o wspomnianą wilczy-

cę, oświeca mnie, że chodzi o Virginie Woolf.

— Naprawdę uważasz, że ta twoja paniusia miała tylko własny pokój? Nic podobnego. Miała także własną kucharkę, własną pokojówkę i własnego ogrodnika, nie wspominając o własnym lokaju! Jej dzienniki pełne są skarg na liczną służbę.

Kierowana ciekawością pytam:

— Od kiedy czytasz o losach powieściopisarek?

Dobór lektury Paniienki Praktycznej opiera się wyłącznie na dwóch kryteriach: skuteczności i funkcjonalności. Jak zdobywać przyjaciół i serca, Klucz do trwałego sukcesu, Dziesięć kroków do władzy, Sztuka poznawania ludzi, Rozbudź w sobie milionera, Tajemnica dobrego życia i tym podobne. Pochłania poradniki niczym popcorn, ale nigdy nie czyta powieści. Fikcja nie pełni jej zdaniem żadnej funkcji.

— Czytam to, z czego mogę mieć pożytek — mówi na swoją obronę.

— A jaki masz pożytek z wilczycy?

Posyła mi pogardliwe spojrzenie.

— Ta twoja paniusia miała w zwyczaju zapisywać na świstkach papieru polecenia dla służby. Które prace domowe wykonać, które naczynia przygotować, które suknie uprać... Notowała wszystko. Możesz to sobie wyobrazić? Mieszkali pod jednym dachem, ale zamiast z nimi rozmawiać, ona do nich pisała a...

— No cóż, nie znamy jej wersji historii — odpowiadam potulnie.

— To jest jej wersja. To ona była pisarką, sestro! Nie mam ochoty na kłótnię. Z linijką w ręce, kalkulatorem w kieszeni i planami w głowie Paniienka Praktyczna ma w zwyczaju wszystko mierzyć, liczyć i szykować. Biorę listę, którą dla mnie przygotowała, i wychodzę pospiesznie z uporczywym uczuciem niepokoju.

Kolejny raz kręcę kołem. Zatrzymuje się przy literze W.

Tym razem ruszam na wschód.

Tam, w mieście, w którym panuje tak uduchowiona atmosfera, jak na Górze Athos, siedzi Pani Derwisz — kontempluje ze spuszczoną głową i przesuwa w palcach bursztynowy różaniec. Na tacy przed nią stoi miska z zupą soczewicową i leży kromka chleba. Jej naparstek jest wypełniony wodą. Zawsze ogranicza się do minimum. Spod turbanu, który luźno zawiązała na głowie i spięła na przedzie dużym kamieniem, wysunęło się kilka kosmyków. Jest ubrana w jadeitową sukienkę do ziemi, ciemnozieloną kamizelkę i klapki w kolorze khaki.

Widzę, że jest w trakcie modlitwy, więc wkradam się do środka na palcach i nasłuchuję.

— Boże, który jesteś Miłością i Pięknością w czystej postaci, śpiewamy imię Twoje i odnajdujemy w Tobie odrodzenie. Nie pozwól, by czas spędzony na ziemi upłynął nam z zasłoniętymi oczami, zatkanymi uszami i sercem nieczułym na miłość.

Jej słowa wywołują u mnie uśmiech, który nie znika, gdy recytuje dalej:

— Proszę, otwórz trzecie oko Elif na Miłość i popraw

jej umiejętność dostrzegania Prawdy. Więzi to istota Twojego wszechświata, proszę, nie pozbaw jej Twojej miłosnej więzi.

— Amen — mówię.

Wzdryga się, gdy wrywam ją z zamyślenia. Na mój widok uśmiecha się szeroko, unosząc rękę do lewej piersi w geście powitania.

— Potrzebuję twojej pomocy — wyjaśniam. — Słyszałaś pytanie, które zadała mi pani Agaoglu? Nie wiem, jak na nie odpowiedzieć.

— Istotnie, słyszałam, i nie rozumiem, dlaczego tak bardzo panikujesz. Bóg mawia, że czasami przeprowadza nas przez „piękny test”. Tak nazywa liczne dylematy, z którymi mierzymy się w życiu. Piękny test. Nie ma potrzeby pędzić na złamanie karku po „rozwiązanie”, bo wszystkie rozwiązania są względne. To, które dla jednych jest właściwe, nie musi przysłużyć się pozostałym. Zamiast pytać ogólnie o macierzyństwo i pisarstwo, poproś Boga, by dał ci to, co jest dla ciebie dobre.

— Ale skąd mam wiedzieć, co jest dla mnie dobre? Ignoruje moje pytanie.

— Bez względu na to, czy wychowujesz dzieci, piszesz książki, sprzedajesz wypieki na ulicy, czy podpisujesz umowy biznesowe opiewające na miliony dolarów, liczy się tylko to, czy czujesz się szczęśliwa i spełniona. Czy tak właśnie się czujesz?

— Nie wiem — wyznaję.

Pani Derwiz bierze głęboki wdech.

— W takim razie pozwól, że zadam jeszcze jedno pytanie. Czy twoje powieści są naprawdę twoje? Czy ty je tworzysz?

— Oczywiście, że są moje. Pracuję nad nimi strona po stronie.

— Rumi napisał ponad osiemdziesiąt tysięcy wspaniałych wersów, a mimo to nigdy nie nazwał siebie twórcą. Nigdy nie uważał się również za poetę. Mawiał, że jest tylko instrumentem, przekaźnikiem twórczości Boga.

— Ale ja nie jestem Rumim — odpowiadam bardziej szorstko, niż zamierałam.

Nasze spojrzenia krzyżują się na sekundę, po czym skrępowana odwracam wzrok. Nie chcę przypisać autorstwa moich książek komuś innemu, nawet Bogu.

— Pozwól, że coś ci opowiem — proponuje Pani Derwiz. — Pewnej nocy kilka ciem spotkało się na półce i obserwowano płonącą świecę. Zaintrygowane istotą światła, wysłały jedną, by to sprawdziła. Ćma zwiadowca okrążyła świecę kilka razy i wróciła z taką informacją: światło jest jasne. Potem poleciała druga ćma. Ona także wróciła z własnym wnioskiem: światło jest gorące. W końcu zgłosiła się trzecia ohotniczka. Gdy zbliżyła się do świecy, nie zatrzymała się tak, jak jej towarzyski, ale wleciała prosto w płomień. Dopiero gdy spłonęła, poznała istotę światła.

— Chcesz, żebym się zabiła? — zapytałam zaniepokojona.

— Nie, moja droga. Chcę, żebyś zabiła swoje ego.

— Czy to nie to samo?

Pani Derwisz wzdycha i podejmuje kolejną próbę.

— Chcę, żebyś przestała myśleć. Skończ z roztrząsaniem, analizowaniem i zacznij doświadczać tego, co przeżywasz. Dopiero wtedy zrozumiesz, jak zachować równowagę pomiędzy byciem matką a byciem pisarką.

— Tak, ale jeśli...

— Zapomnij o wątpliwościach — przerywa mi. — Czyśma powiedziała „ale jeśli”?

— W porządku, ale ja nie jestem Rumim ani ćmą. Jestem istotą ludzką z umysłem i czterema miniaturowymi kobietami, które we mnie żyją. Bez wątpienia moja metoda radzenia sobie z różnymi sprawami jest bardziej skomplikowana.

— Mhm — mruży Pani Derwisz, przeżuwając kawałek chleba.

To uprzejme „mhm” może znaczyć tylko jedno: „Nie jesteś jeszcze gotowa. Niczym owoc, który potrzebuje więcej czasu, by dojrzeć, wciąż jesteś twarda w środku. Idź i pogłótkuj trochę, a potem znów porozmawiamy”.

Powłóczęgając nogami, wychodzę, po czym kieruję się na południe.

Tam, w mieście tak zatłoczonym jak Tokio, za drzwiami zamykanymi na trzy zasuw, mieszka nieustępliwa pracholiczka — Panna Ambicja Czechowska. Przy wzroście jedenastu i pół centymetra i wadze trzystu gramów to najbardziej koścista ze wszystkich miniaturowych kobiet. Nieustannie się zamartwia, więc to oczywiste, że nie tyje.

„Czas to nie pieniądz, czas to wszystko”, lubi mawiać.

By nie tracić czasu, zamiast ugotować kolację i nakryć do stołu, chrupie krakersy i chipsy i przyjmuje mnóstwo suplementów witaminowych. Nawet teraz ma przed sobą paczkę herbatników, drobniotkie kostki sera i maleńki karton soku pomarańczowo-marchwiowego. Na brzegu jej talerza leżą także witamina C i tabletkę z wyciągiem z miłorzębu japońskiego. To jej kolacja.

Ze wszystkich stwierdzeń wygłoszonych przez mężczyzn i kobiety od niepamiętnych czasów ona wybrała na swoje życiowe motto jedną z wypowiedzi Czechowa: „Ten, kto niczego nie pragnie, na nic nie liczy i niczego się nie boi, nie może być artystą”. Sprawdza się w roli Czechowskiej, bo wypełnia ją wiele pragnień, nadziei i obaw.

Dzisiaj Panna Ambicja Czechowska jest ubrana w spódnice w kolorze indygo, która sięga poniżej kolan, odpowiednio dobraną marynarkę i jedwabną bluzkę w kolorze kości słoniowej, a z jej szyi zwisają dwa sznury pereł. Nałożyła cienką warstwę podkładu na śnieżnobiałą twarz i pomalowała usta ciemnoczerwoną szminką. Kasztanowe włosy związała w kok tak ciasny, że nie wystaje z niego ani jeden kosmyk.

Jak zawsze wypielęgnowana, wychuchana i wypolerowana w każdym calu. Jej porcelanowe zęby lśnią w równych rzędach niczym drogie perły. Jest stanowcza, rezolutna i pracowita — ponad miarę.

—Panno Ambicjo Czechowska, proszę mi pomóc — zwracam się do niej. — Słyszałaś, o co zapytała mnie pani Agaoglu? Jaka jest twoja odpowiedź?

— Jak w ogóle możesz o to pytać? — Marszczy czoło, ściągając wyskubane, cienkie brwi. — Oczywiście, jestem przeciwna dziecku. Z tym wszystkim, co nas jeszcze czeka, nie ma czasu na dzieci!

Robię do niej maślane oczy.

— Ale minutę temu odwiedziłam Panią Derwisz, która powiedziała, że nie ma sensu gnać w amoku przez całe życie.

— Zapomnij o tej szalonej kobiecie. Co ona wie? Czy w ogóle rozumie doczesne pragnienia? — rzuca bezceremonialnie. — Jej mózg zagubił się gdzieś między paciorkami tego jej różańca.

Wrzuca do ust herbatnik, potem witaminę i popija wszystko sokiem.

— Posłuchaj, moja droga, pozwól, że jeszcze raz streszczę ci swoją filozofię życia. Czy prosiliśmy się na ten świat? Nie. Nikt nie pytał nas o zdanie w tej sprawie. Zwyczajnie trafiliśmy do łon naszych matek, przeżyliśmy znoje porodu i voilà, jesteśmy. Skoro pojawiajemy się w tak przypadkowych okolicznościach, czy istnieje coś wznioślejszego od pragnienia, by pozostawić po sobie wartościową, trwałą spuściznę?

Przylapuję się na tym, że potakuję z zapalem, chociaż im dłużej ona mówi, tym bardziej jestem zagubiona.

— Niestety zbyt wiele istnień obróciło się w pył w monotonnej rutynie. Jaka szkoda! Trzeba dążyć do wyjątkowości. Musimy zadbać o własną nieśmiertelność jeszcze za życia. Musisz pisać lepsze powieści i rozwijać swoje umiejętności. „Musisz pracować nieustannie dniem i nocą, czytać bez końca, studiować, ćwiczyć siłę woli... Każda godzina jest bezcenna”.

— Czyżby znowu Czechow? — pytam podejrzliwie.

— To Anton Pawłowicz Czechow — odpowiada, marszcząc czoło. By nie pozostawić żadnych wątpliwości, powtarza jego imiona i nazwisko po rosyjsku: — Анто́н Па́влович Че́хов.

— Jasne. — Wzdycham.

— Posłuchaj, wszystko policzyłam. Jeśli co roku będziesz wydawać nową powieść, co miesiąc dawać wykład, a do tego uczestniczyć we wszystkich ważniejszych festiwalach literackich w Europie i promować swoje dzieła na całym świecie, to w ciągu ośmiu lat i dwóch miesięcy zdołasz się wspiąć na kolejny szczybel kariery.

— Możesz dać mi spokój? — pytam zdesperowana.

— Tobie się wydaje, że tworzenie literatury przypomina wyścigi konne? Masz mnie za robota?

— A co w tym złego? — rzuca nonszalancko. — Lepiej być robotem niż warzywem! Zamiast wegetować niczym przywędły pęczek pietruszki, bez życia i energii, lepiej żyć z werwą i zapalem sprawnej maszyny.

— A co z macierzyństwem?

— Macierzyństwo... macierzyństwo... — powtarza gniewnie, jakby to słowo zostawiało na języku nieprzyjemny posmak. — Pozwól wychowywać dzieci kobietom stworzonym do roli matki. Obie wiemy, że ty do nich nie należysz. Macierzyństwo zrujnowałoby wszystkie mo-

je plany na przyszłość. Obiecuj mi. Powiedz, że tego nie zrobisz!

Spoglądam tęsknie na horyzont: chcę znaleźć się w innym miejscu. W ciszy, która zapanowała, Panna Ambicja Czechowska podnosi się wolno, podchodzi do swojej torebki i wyciąga kartkę papieru.

— Co to takiego? — pytam, gdy mi ją podaje.

— Adres — wyjaśnia Panna Ambicja Czechowska.

— Adres doskonałego ginekologa. Wiesz co?! Już zapisałam cię na wizytę. Lekarz przyjmie cię o szóstej trzydzieści we wtorek.

— Ale po co?

Oczy Panny Ambicji Czechowskiej lśnią, a jej głos staje się upiornie łagodny, gdy wyjaśnia:

— Bo chcemy rozwiązać ten problem raz na zawsze.

Jedna operacja usunie w cień wszystkie pytania egzystencjalne, które zaśmiecają ci głowę. Postanowiłam, że się wysterylizujesz.

— A co ja jestem, bezpański kot?! — oburzam się, czerwona z wściekłości.

Niezadowolona wrusza ramionami, po czym się odwraca.

— Jak sobie chcesz.

Wiem, że powinnam panować nad emocjami, ale nie potrafię. Gderając, zostawiam ją z jej weterynaryjną kampanią i ruszam na północ.

*

Na miejscu, za zdobionymi, żelaznymi drzwiami, w mieście wypełnionym pomysłami w równym stopniu co Nowy Jork, mieszka Panna Intelktualistka Cyniczna. Jej okna giną za bordowymi, aksamitnymi zasłonami i cienkimi pajęczynami, a na ścianach wiszą plakaty Che Guevary i Marlona Brando.

Ubrana jest niechlujnie, w hipisowskie sukienki do ziemi i indyjskie kamizelki ozdobione szkiełkami. Jasne fulary ozdabiają jej szyję, a na nadgarstkach pobrzękują różnokolorowe bransolety sięgające łokci. Gdy tylko nachodzi ją ochota, robi sobie tatuaż albo kolejny piercing. Ma włosy do ramion i w zależności od dnia zostawia je rozpuszczone albo wiąże w niedbały kok. Ćwiczy radża jogę i zaawansowane reiki. Chociaż wszystkie sesje akupunktury, na które uczęszczała, nie pomogły jej na razie rzucić palenia. Jeśli nie ćmi papierosa albo cygaretki, żuje tytoń.

Jej torebki przypominają wypchane wory; upycha w nich po kilka książek, notesy i najróżniejsze bibeloty. Zwykle się nie maluje, nie dlatego że jest temu przeciwna, ale dlatego że ilekroć włoży do torebki tusz do rzęs albo szminkę, później nigdy nie może ich znaleźć.

Panna Intelktualistka Cyniczna stosuje ostatnio dietę alternatywną. Na talerzu przed nią leżą: szpinak organiczny, cukinia organiczna i jakiś bukiet jarzyn z szafranem. Jest zagorzałą wegetarianką na najlepszej drodze do weganizmu. Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni włożyła do ust czerwone mięso, drób czy ryby. Twierdzi, że gdy zjemy zwierzę, pochłaniamy także jego strach przed śmier-

cią. I najwyraźniej właśnie dlatego chorujemy. W związku z tym powinniśmy zrezygnować z mięsa na rzecz niegroźnych warzyw, takich jak szpinak, sałata, jarmuż czy rukola.

— Witaj, Panno Intelktualistko Cyniczna — mówię.

— Pokój z tobą, siostró — odpowiada, machając nonszalancko ręką.

— Potrzebuję twoich szarych komórek do rozpatrzenia ważnej kwestii — tłumaczę.

— W takim razie jesteś we właściwym miejscu. Mam mnóstwo szarych komórek.

— OK. Co myślisz o macierzyństwie?

— Jaki cel ma zadawanie pytań retorycznych, skoro powszechnie wiadomo, że każdy słyszy tylko to, co chce?

— mówi. — Wittgenstein nie bez powodu napisał o granicach języka. Powinnaś przeczytać Tractatus.

— Nie mam na to czasu — wyjaśniam. — Pani Agaoglu nadal czeka w salonie na moją odpowiedź. Musisz mi natychmiast pomóc.

— W takim razie nalegam, żebyś pomyślała o słowie „zazdrość”.

— Słucham?

— Przypominam, że zazdrość nie jest zwykłym uczuciem, lecz głębokim dylematem filozoficznym. Właściwie jest tak ważna, że nadaje kształt historii świata. Jean-Paul Sartre powiedział, że wszystkie rodzaje rasizmu i ksenofobii wzięły się z zazdrości.

— Obawiam się, że nie rozumiem ani słowa. Mogłabyś wyrażać się jaśniej?

— W porządku, ujmę to w ten sposób: zawsze jest lepiej tam, gdzie nas nie ma.

— Czyli?

— Jeśli będziesz miała dziecko, zawsze będziesz zazdrościła bezdzietnym kobietom, które mogą w pełni poświęcić się karierze. Jednak jeśli skoncentrujesz się na pracy, zawsze będziesz zazdrościła matkom. Bez względu na to, którą drogę wybierzesz, twoim umysłem zawładnie obsesyjna myśl o tej możliwości, którą odrzuciłaś.

— Nie istnieje rozwiązanie tego dylematu? — pytam. Ze smutkiem kręci głową.

— Zazdrość leży u podstaw lęków egzystencjalnych. Przyjrzyj się historii ludzkości, wszystkim konfliktom zbrojnym i zniszczeniu. Wiesz, co mówiono o pierwszej wojnie światowej? Że położy kres wszelkim wojnom! Oczywiście tak się nie stało. Nadal dochodzi do starć, bo brakuje równości i sprawiedliwości. Mamy za to zaburzoną równowagę między władzą a wpływami, walki etniczne i religijne... A to wszystko łączy się ze sobą i prowadzi do nowych konfliktów.

Biorę długi, głęboki wdech.

— Wpędzasz mnie w depresję.

— Powinnaś mieć depresję — stwierdza, grożąc mi palcem tuż przed twarzą. — Życie znaczy być objuczonym melancholią. Nie przez przypadek Paul Klee namalował anioła historii takiego samotnego i bezsilnego. Przypomnij sobie minę Angelusa Novusa. Gorąco zachęcam cię do

przeczytania pracy Waltera Benjamina o...

— Wpędzasz mnie w taaaaaką depresję — przerywam. Spogląda na mnie tak, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu.

— Ach, rozumiem. W epoce Internetu i multimediów nikt nie ma już czasu ani cierpliwości, żeby zgłębiać wiedzę. W porządku, przejdę do rzeczy.

— Jeśli możesz.

— Chodzi mi o to, że którąkolwiek z kobiet się staniiesz, zawsze będziesz chciała być tą Inną. Według wielkiego francuskiego filozofa, Emmanuela Levinasa, kwintesencją etyki jest punkt, w którym stajesz twarzą w twarz ze swoim Innym. Oczywiście, z fenomenologicznego punktu widzenia możemy mówić o Innym wewnątrz Ja.

— Rety! — stękam.

— Przeczytaj Heideggera, żeby przekonać się, że istoty ludzkiej, żadnej istoty ludzkiej, nie można postrzegać bez odniesienia do otaczającego ją świata, w którym decydujące znaczenie ma bycie Dasein, bycie-w-świecie. — Otwiera szeroko ciemnozielone oczy, wpatrując się we mnie.

— A zatem odpowiedź na twoje banalne pytanie brzmi: to nie ma żadnego znaczenia.

— Co przez to rozumiesz? — pytam, próbując ukryć frustrację.

— Nieważne, czy nie masz dzieci, czy masz ich tuzin — odpowiada z typową dla siebie pewnością. — Ostatecznie wszystko sprowadza się do zazdrości Innego i ogromnego niezadowolenia egzystencjalnego. Ludzie nie potrafią odczuwać satysfakcji. Jak powiedział Cioran, wszyscy jesteśmy skazani na zapadanie się do wewnątrz i życie w nieszczęściu.

Lodowaty wiatr wpada przez otwarte okno. Płomień świecy w mojej dłoni migoce smętnie, a ja drżę. Głos Panny Intelktualistki Cynicznej, przesiąknięty zadowoleniem i przekonaniem o własnej racji, drażni moje uszy.

— Hej, dokąd się wybierasz? Wracaj. Jeszcze nie skończyłam.

— Nigdy nie skończysz — rzucam. — Na razie. Robi się późno, a rozmowa z Panną Intelktualistką Cyniczną zniechęciła mnie do tego stopnia, że nie zniosę ani słowa więcej na dany temat. Wspinam się po schodach mojego świata wewnętrznego, pokonując po dwa stopnie naraz i dysząc ciężko, po czym wracam do łazienki pani Agaoglu. Zamierzam umyć twarz, ale płynąca woda jest za gorąca, a wyregulowanie temperatury wymaga energii, której chyba nie potrafię teraz z siebie wyrzesać. Dlatego zakręcam kurek i robię, co mogę, żeby przywołać spokój i opanowanie. Wracam do salonu.

Wszystko wygląda identycznie jak w chwili, gdy stąd wyszłam. Obrazy na ścianach, książki na półkach, porcelanowe filiżanki z herbatą na stole, ciasteczka na talerzach, tykający zegar są takie same, a w domu panuje ta sama uroczysta cisza. Pani Agaoglu spokojnie czeka na swoim miejscu. Pytanie, które zadała mi jakiś czas temu, nadal wiśnie w powietrzu. Ale ja nie znam odpowiedzi. Jeszcze nie.

— Mhm... bardzo dziękuję za gościnę — mówię — ale

na mnie już czas.

— No cóż, miło mi się z panią rozmawiało — odpowiada — jak kobiecie z kobietą, pisarce z pisarką.

*

Gdy wychodzę na ulicę, dostrzegam dwie Cyganki w tym samym miejscu co przedtem. Sądząc po ich rozpalonych twarzach, ekscytują się tematem rozmowy, którą prowadzą. Jednak na mój widok milkną.

— Hej, ty — odzywa się nagle jedna z nich. — Czemu wyglądasz, jakbyś miała chandrę?

— Pewnie dlatego, że ją mam — przyznaję.

Kobieta się śmieje.

— Chodź, podaj mi rękę, a znajdę wyjście z sytuacji.

— Zapomnij o przepowiadaniu przyszłości — oświadczam. — Potrzebuję papierosa, więc lepiej razem zapalmy. Reagują tak, jakbym zaproponowała napad na bank.

Poważnieją i nagle stają się podejrzliwe. Nieufnie mierzą mnie wzrokiem, ale ja ignoruję ich spojrzenia, siadam obok na chodniku i wyjmuję z torebki paczkę papierosów.

Wtedy uśmiech zakwita na ustach Cyganki, która jeszcze przed chwilą chciała czytać mi z dłoni. Przysuwa się do mnie. Kilka sekund później dołącza do nas jej koleżanka.

Gdy zapada zmierzch, słychać jedynie odgłosy kroków w salonie pani Agaoglu, a cygańskie kwiaciarki i ja siedzimy po turecku na chodniku i kurzymy. Nad nami rozpościera się leniwie postrzępiona chmura dymu. Przez moment świat wydaje się słodkim i spokojnym miejscem, jakby nie było w nim żadnych zmartwień, a żadne pytania nie nękały mojego umysłu.

KSIĘŻYCOWA KOBIETA

W 1862 roku Lew Tołstoj ożenił się z kobietą o szesnaście lat młodszą od niego: z Zofią Andriejewną Bers. Choć ten związek miał zapisać się w historii literatury jako jeden z najniezwyklejszych, małżonków mogła łączyć ogromna miłość i namiętność — przynajmniej w pierwszych latach. Były chwile, gdy razem się śmiali; on niczym dziki koń galopujący ile sił w kopytach, ona niczym klacz cwałująca po padoku, nieśmiała, lecz podekscytowana. Z tego związku powstało trzynaścioro dzieci (według niektórych dziesięćnaścioro). Pięcioro z nich zmarło w bardzo młodym wieku. Zofia wychowała pozostałą ósemkę (albo czternastkę, dla ścisłości). Przez większość życia była ciężarną albo karmiącą młodą kobietą.

Przypominała księżyc w kolejnych fazach, lśniący na gwiazdzistym niebie. Jej ciało zmieniało się z każdą minutą dnia, każdego tygodnia i każdego miesiąca, wypełniało się i zaokrąglało, a potem chudło jedynie po to, by znów nabrać pełniejszych kształtów. Zofia była Księżycową Kobieta.

Podczas gdy Tołstoj pisał w swoim pokoju przy świetle lampy naftowej, Sonia — bo tak brzmi rosyjskie zdrobnienie imienia Zofia — zajmowała się dziećmi, żeby nie przeszkadzały ojcu. Jej dzienniki świadczą o wielkim oddaniu. Gdy Tołstoj poprosił żonę, by nie suszyła mu głowy, że nie pisze, wyraziła w dzienniku swoje ogromne zaskoczenie ty-

mi słowami: „Ale jakże mogłabym mu suszyć głowę? Jakie mam do tego prawo?”. Noc po nocy, rok po roku ciężko pracowała, by stworzyć mu jak najlepsze warunki do pisania. A w tych godzinach, których nie poświęcała dzieciom, pełniła funkcję sekretarki męża. Nie tylko prowadziła notatki do Wojny i pokoju, ale także przepisała cały rękopis siedem razy z rzędu. Pewnego dnia, gdy poważnie zaniemogła po poronieniu, zamartwiała się, że przez jej chorobę on nie będzie mógł tworzyć. Inspirowała go, dogadzała mu i pomagała, o czym trudno pamiętać w obliczu wielkiej nienawiści, która pojawiła się między nimi w późniejszych latach. Potem Tołstoj napisał cudowną Annę Kareninę — powieść, którą rozpoczyna jedno z najczęściej cytowanych zdań w świecie literatury: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”*. Jedno z pytań, które historycy i biografowie lubią zadawać, dotyczy tego, w jakim stopniu prawdziwe życie Tołstoja wpłynęło na tematykę powieści. Ile obaw związanych z własną żoną i własnym małżeństwem Tołstoj zawarł w Annie Kareninie? Być może sławny, wówczas czterdziestoczteroletni, pisarz pokierował akcją na wzburzone wody cudzołóstwa, by ostrzec Zofię, która miała wtedy zaledwie dwadzieścia osiem lat. Być może opisał katastrofalne konsekwencje niewierności, które mogły przysporzyć cierpień damie z socjety, zwyczajnie po to, by ostrzec żonę.

* [Lew Tołstoj, Anna Karenina, tłum. K. Iłakiewiczówna, Warszawa 1986, s. 1 \(przyp. tłum.\)](#).

Bo choć rozwiązłość mężatki jest wystarczająco nieczna, gdy kochankowie żyją w odosobnieniu wysoko w górach, w centrum cywilizowanego świata grzech staje się jeszcze cięższy. Podczas pierwszej poważnej rozmowy z żoną Aleksiej Aleksandrowicz wyraźnie stwierdza: „Chcę cię ostrzec, że przez nieopatrność i lekkomyślność możesz dać powód do plotek w towarzystwie”*. Sprawy wymykają się spod kontroli nie w momencie, gdy kobieta żywi uczucia do mężczyzny innego niż jej mąż, ale gdy przestaje to być tajemnicą. Istnieje także możliwość, że za pośrednictwem powieści Tołstoj nie tylko przekazał wiadomość swojej żonie, ale także dał lekcję moralności swoim córkom w różnym wieku. Dziwnym zrzędzeniem losu efekt był taki, że powieść w większym stopniu wpłynęła na niego niż na wspomniane kobiety. Cierpiał moralne katusze, pierwsze z wielu, które miały utorować drogę wszelkim innym kryzysom egzystencjalnym — i uderzyć w sam trzon jego małżeństwa. Bez względu na interpretację kolejnych wydarzeń prawda przedstawia się mniej więcej tak: Zofia nigdy nie traktowała Anny jako wzoru do naśladowania, pozytywnego czy negatywnego. Postać fikcyjna, która nosiła ciemnoniłowe stroje, marzyła o życiu szczęśliwej bohaterki angielskiej powieści, pracowała nad książką dla dzieci i paliła opium — chociaż w pewnym stopniu przypominała Zofię, zdecydowanie nią nie była. W przeciwieństwie do Anny pani Tołstoj pozostała związana — może nawet za bardzo

— z mężem i rodziną, co zaprowadziło ją na skraj przepaści. Co roku rodziła kolejne dziecko i stawała się coraz bardziej drażliwa, a jej małżeństwo otrzymywało kolejny cios.

* *Tamże, s. 152 (przyp. tłum.).*

Nie było dnia, żeby w domu nie wybuchła kłótnia. Mąż i żona tracili energię na błahe sprzeczki, nie większe od pyłku kurzu. I tak oto przez kolejne lata Tołstoj przedzierał się przez gęstą mgłę małżeństwa. Nadal łączył ich erotyzm, ale gdy zaczęło brakować także tego — bardziej jemu niż jej — a mgła się przerzedziła, Tołstoj nie mógł znieść widoku tego, co dawniej skrywała.

Gdy zajrzał w głąb duszy Zofii, ujrzał młodość, pożądanie i ambicję i nie spodobało mu się to, co odkrył. A gdy ona zajrzała w głąb jego duszy, ujrzała egocentryzm połączony z odrobinkami altruizmu i nie wyczuli, jak bardzo zmieni to ich życie w przyszłości. On wpatrywał się w nią i zastanawiał, jak to możliwe, że ta dobrze sytuowana i dobrze wychowana kobieta nadal mogła mieć światowe aspiracje. Ona wpatrywała się w niego i zastanawiała, jak to możliwe, że ten wychuchany i poważany mężczyzna mógł kochać cokolwiek bardziej od niej, nawet jeśli by to miało być pisarstwo albo Bóg.

Tak jak dr Frankenstein, który usiłował pozbyć się kreatury, którą wymyślił i stworzył, tak Tołstoj z młodej dziewczyny, którą poślubił wiele lat wcześniej, uczynił nieszczęśliwą, kłótniową żonę.

Przez pewien czas próbował ją tolerować, ale szybko stracił cierpliwość. W liście, który napisał do swojej córki, Aleksandry Lwowny, narzekał na Zofię, którą obwinił za wieczne szpiegowanie, podsłuchiwanie, nieustające narzekanie, dyrygowanie, ilekroć najdzie ją ochota... Jednym tchem powiedział, że chce się od niej uwolnić. Nagle, w sposób nieprzyjemny i nieodwracalny, zdystansował się do żony i do wszystkiego, co miało z nią związek.

A potem pewnego dnia po prostu odszedł.

Tamtego popołudnia pierwszy raz od dawna poczuł wolność u swojego boku, nie jako pojęcie abstrakcyjne ani tezę do obrony — była blisko, solidna i namacalna. Szedł. Podrygiwał i skakał. Na całe gardło śpiewał piosenki, których nikt nigdy wcześniej nie słyszał. Chłopi pracujący na pobliskich polach z powagą obserwowali, jak najbardziej poważany powieściopisarz w Rosji wyczynia jedno szaleństwo za drugim, i nikomu o tym nie opowiedzieli. Jakby w reakcji na ich nieme wsparcie, jeszcze tego samego dnia wieczorem Tołstoj postanowił oddać swój dobytek biednym. Mężczyzna z arystokratycznego rodu, który zawsze żył pod kłosem, postanowił zrezygnować z przywilejów, które zapewniała mu jego pozycja.

Gdy dowiedziała się o tym Zofia, matka rodu, wpadła w szał. Była przekonana, że jedynie głupiec mógłby roztrwonić swoje bogactwo w ten sposób — jedynie głupiec bez żony i dzieci, o które musi dbać. Wkrótce, ku jej rozgoryczeniu, Tołstoj obwieścił publicznie, że umywa ręce od świata materialnego. Oddał wszystkie pieniądze i całą

ziemię. Gdy zrezygnował z bankietów, które tak uwielbiał, wyrzekł się jedzenia mięsa, polowań i picia alkoholu. Zamiast tego wybrał życie wiejskiego rzemieślnika. Zofia z przerażeniem przyglądała się tej transformacji. Arystokrata, za którego wyszła za mąż, pisarz, którego uwielbiała, i mąż, któremu rodziła dzieci, odszedł. Jego miejsce zajął źle ubrany, zapchlony chłop. Taka zniewaga ugodziła ją prosto w serce.

Nazwała nowe nawyki Tołstoja mrocznymi, jakby chodziło o śmiertelną chorobę albo plagę, która spadła na jej domostwo. Jej usta spierzchły od wiecznego ich przygryzania i wykrzywiła je zgryzota, a twarz — kobiety znacznie starszej, niż wskazywał na to jej wiek — nosiła ślady kolejnych załamań nerwowych. Pewnego dnia syn Lew zapytał Zofię, czy jest szczęśliwa. Trochę to trwało, nim zdołała udzielić odpowiedzi na tak proste i jednocześnie tak prowokacyjne pytanie. W końcu odparła twierdząco. Syn skomentował wtedy: „Dlaczego zatem wyglądasz jak męczennica?”

Ich miłość, być może dawniej niezwykle silna, nie mogła się dopasować do kobiety i mężczyzny, którymi się stali — pełnych wzajemnej złości i urazy, sączących się z ich pokiereszowanych dusz.

Ostatecznie jesienią 1910 roku, kilka miesięcy po tym, jak w tajemnicy wykreślił żonę z testamentu i przekazał prawa do publikacji swoich powieści swojemu wydawcy, Tołstoj zachorował na zapalenie płuc. Gdy umierał, na przemian tracił i odzyskiwał przytomność, tak jak przez dziesięciolecia pojawiał się w życiu swojej żony i z niego znikał. Zmarł na stacji kolejowej, na którą czmychnął z domu po kolejnej kłótni. Jakże to symboliczne, że pisarz, który na początku kariery literackiej twierdził, że prawdziwe szczęście można odnaleźć na łonie rodziny, zakończył życie z dala od niej, w samotności.

Przez długi czas Zofia była postrzegana wyłącznie jako matka i żona. Jej ogromny wkład w literackie dziedzictwo Tołstoja był ignorowany bądź deprecjonowany. Dopiero od niedawna zaczynamy dostrzegać jej inne oblicze — autorki dzienników, intelektualistki i kobiety interesu. Możemy doceniać ją jako utalentowaną, bezinteresowną kobietę o wielu zdolnościach i niespełnionych marzeniach.

CZĘŚĆ DRUGA ZAPOWIEDŹ ZMIAN

CO WIEDZĄ CI, KTÓRZY ŁOWIĄ RYBY

Dwa miesiące później spaceruję brzegiem morza o szóstej rano w niedzielę. Jestem rannym ptaszkiem i to wcale nie dlatego, że nie lubię spać; chociaż rzeczywiście za tym nie przepadam. Po prostu, gdy budzę się po wschodzie słońca, irytuje mnie, że cały świat od dawna szaleje, a ja docieram jedynie na koniec imprezy.

A więc jestem na nogach i idę przed siebie. O tej porze jedynymi żywymi istotami, które także nie śpią, są mewy,

bezpieńskie koty i stambulscy amatorzy wędkarstwa. Ze słuchawkami od iPod'a w uszach (Amy Winehouse) i popcornem w kieszeniach (dość powiedzieć, że moim zdaniem w lepszym świecie popcorn znajdowałby się w śniadaniowym menu) maszeruję żwawym krokiem, rozmyślając o życiu Zofii Tołstoj.

Powietrze jest krystalicznie czyste, a nad moją głową rozciąga się niebo w kolorze indygo, poprzecinane żółtymi chmurami, które przesuwają się w kierunku odległych wzgórz. Stambuł sprawia wrażenie odmłodzonego i czystego; przypomina pannę młodą zaraz po wyjściu z hamamu. Można ulec złudzeniu, że to nie to samo miasto, które dzień po dniu doprowadza swoich mieszkańców do szaleństwa. Teraz wygląda malowniczo i urzekająco, niczym skąpane w miodzie. Podejrzewam, że Stambuł wygląda najładniej, gdy nas, stambulczyków, nie ma w pobliżu — a to kolejny powód, by wcześniej wstawać.

Wzdłuż wybrzeża w stronę Bebek stoi od dwudziestu do trzydziestu wędkarzy — od nastolatków po starszków z laskami. Zwróceniu ku morzu tworzą idealną linię — niczym paciorki nawleczone na nić. Ramię przy ramieniu, z plastikowymi wiadrami i słoikami pełnymi wijących się robaków, nie odrywają oczu od horyzontu, mocno zaciskając palce na wędkach. Nie rozmawiają ani nie żartują. Po prostu cierpliwie czekają, aż ryba podpłynie i złapie przynętę.

Godzinę później wschodzi słońce. Dostrzegam, że ma towarzystwo. Nadal widać księżyc — do pełni został dzień lub dwa. Moją uwagę pochłania nieboskłon. Czy księżyc nie wie, że znajduje się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze? Obserwując jego słabą poświatę, ponownie rozmyślam o Zofii.

„Czy zostałaaby pisarką, gdyby Lew Tołstoj wspierał ją tak samo jak ona jego?“, zastanawiam się. „Czy przepisywałby kolejne wersje dzieła swojej żony? Czy zabierałby dzieci na spacer i zaspokajał ich codzienne potrzeby, by zapewnić Zofii kilka dodatkowych godzin ciszy i spokoju, podczas których mogłaby skupić się na pisaniu?“

Zmagając się z takimi pytaniami, idę w stronę parku usytuowanego w samym środku dzielnicy. Plac zabaw, który za dnia pełen jest matek, dzieci i niemowląt, teraz świeci pustkami. Siedzę na ławce, obserwując kilka gołębi drepczących dookoła i wydziubujących okruchy chleba ze szczelin.

Nagle powietrze przesywa krzyk, przenikliwy i głośny, a po nim rozlega się huk, jakby ktoś coś upuścił albo kogoś uderzył. Dźwięki dochodzą zza krzewu morwy, który rośnie kilka metrów dalej. Bardziej zaciekawiona niż przeczona, zmierzam w tamtym kierunku.

— Poomoocy!

Skądś znam ten kobiecy głos, ale nie wiem skąd.

— Zamknij się! LEPIEJ MI POMÓŻ!

Tym razem krzyczy inna osoba. Czyżby napadnięto dwie kobiety?

— Czy nikt nie wybawi mnie od tej sekutnicy? — wrzeszczy pierwsza kobieta.

A może to dwie panie okradają się nawzajem?

— Przecież to ty mnie nękaś — warczy druga. — Mam dość tego, że ciągle wchodzisz mi w drogę. Czemu nie pojedziesz na wakacje? Kup sobie bilet do Disneylandu.

— Dlaczego to ja mam wyjechać? Ty powinnaś to zrobić. Nie mogę już słuchać, jak macisz Elif w głowie swoimi idiotycznymi pomysłami!

Na dźwięk swojego imienia zamieram i wyjęzam słuch.

— Robisz to, bo chcesz wpłynąć na Elif, ale ja nigdy na to nie pozwolę. Po moim trupie, słyszysz?

Wystarczy tego podsłuchiwania. Rozsuwam gałęzie krzewu i moim oczom ukazują się dwie charakterystyczne sylwetki miniaturowych kobiet. Stoją na pniu drzewa. Każda z nich zaciska palce na szyi tej drugiej.

— Elo, moje duże ja. Jak leci? — odzywa się jedna z nich z wymuszonym uśmiechem.

Druga kobieta wypuszcza przeciwniczkę i wykonuje znak pokoju.

— Dobrze cię widzieć, siostró.

Marszcząc czoło, przenoszę wzrok z jednej na drugą.

— Panienska Praktyczna! Panna Intelktualistka Cyniczna! Co wy tutaj robicie?

Te dwie draż koty, odkąd pamiętam. Na pierwszy rzut oka obie zdają się miłować rozsądek i racjonalność. Jednak na tym kończą się podobieństwa między nimi. Podczas gdy Panienska Praktyczna chce mierzyć się z każdym wyzwaniem w pragmatyczny sposób, Panny Intelktualistki Cynicznej nie interesują proste rozwiązania. Pierwsza z nich chce załatwiać sprawy możliwie jak najszybciej, podczas gdy druga opowiada się za wymagającym większej precyzji, bardziej skomplikowanym podejściem filozoficznym. Podczas gdy jedna skłania się ku klarowności i zwięzłości, druga stawia na niejednoznaczność i abstrakcję. Jedna lubi odpowiedzi, druga woli pytania.

Bez słowa chwytam je i sadzam sobie na ramionach. Tak obładowana wracam w kierunku Bosforu. Wkrótce naszym oczom ukazuje się kolejny szereg amatorów wędkarstwa.

— Popatrz na tych, którzy łowią... — mówi Panienska Praktyczna, wyciągając szyję ze swojego miejsca na moim ramieniu. — Są do kitu. Ile ryb zamierzają złapać w ten sposób? Stoją tak godzinami i wracają do domu z kilkoma małymi skorpenami w swoich wiaderkach. Czas, który tu spędzają, mogliby przeznaczyć na pracę i zarabianie prawdziwej kasy. Mogliby kupić ogromnego łososa!

— Co ty możesz wiedzieć — prycha Panna Intelktualistka Cyniczna z mojego prawego ramienia. — Co pragmatyczka może wiedzieć o filozofii, sztuce i literaturze oraz o rzeczach, dla których warto żyć?

— A co wędkarze mają z tym wspólnego? — docieka Panienska Praktyczna.

— Bardzo wiele — pada odpowiedź. — Łowienie ryb to idealny sposób na kontemplację niezliczonych tajemnic wszechświata.

Potakuję na znak zgody, ale w rzeczywistości sama nie rozumiem wędkarzy. Jak to jest, gdy nic człowieka nie gna i nie goni, i jakiego to wymaga stanu umysłu? Ile trzeba

pokory, by czerpać zadowolenie z tego, co się ma, i cieszyć się z dwóch niewielkich ryb niesionych w plastikowym wiadrze do domu pod koniec długiego dnia?

Spośród wszystkich proroków to Hiob jest tym, z którym pod pewnymi względami nie potrafię się utożsamić. Według Koranu zaś jest symbolem cierpliwości, pokory i pokojowej uległości. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego nie wpada w złość ani nawet się nie gniewa w obliczu ciężkich prób, na które wystawia go Bóg, i zawsze pozostaje wdzięczny, zawsze pogodzony z losem.

Nieświadoma moich rozmyślań, Panna Intelktualistka Cyniczna kontynuuje swój wywód.

— W wielu książkach głównym bohaterem jest rybak.

— Niby w jakich? — wtrąca Panienska Praktyczna. W jej olbrzymiej kolekcji poradników nie ma słowa o rozbudzeniu w sobie pasji do łowienia.

— Scire tuum nihil est, nisi te scire hoc sciat alter!

— A co to do diabła znaczy?

Panna Intelktualistka Cyniczna podnosi głos, by nie zginąć w narastającym szumie miasta.

— Powiedziałaś, że twoja wiedza jest niczym, gdy prócz ciebie nie posiada jej nikt inny.

— Pozerka! — syczy Panienska Praktyczna.

— Zmierzam do tego, że nie da się śledzić przygód Melville'a o Izmaelu i kapitanie Ahabie bez rozważań o naszym miejscu we wszechświecie. A co z epicką walką woli u Hemingwaya między starym rybakim a gigantyczną rybą, którą pragnie złapać? Weź na przykład Fisherman of the Inland Sea Ursuli Le Guin, a dwa razy zastanowisz się nad rolą dobra i zła. Widzisz, jak rybołówstwo łączy się z filozofią?

— Już dobrze, dobrze, łapię, w czym rzecz. Skoro już w tym siedzisz, może szepniesz tym filozofom słówko o produktywności — mówi Panienska Praktyczna. — Musi ich być ze trzydziestu. Czemu, dajmy na to, nie wynajmą razem kutra rybackiego? Gdyby wypłynęli w morze i zarzucili sieci, ich zysk wzrósłby dziesięciokrotnie.

Panna Intelktualistka Cyniczna wzdycha.

— Łowienie ryb to głębszy temat. Zawiera w sobie mądrość. Nigdy tego nie zrozumiesz, skoro interesuje cię wyłącznie produktywność. Po co w ogóle strzępię sobie język? Żadna filozofia ani sztuka nigdy nie wyłoni się z tak płytkich wód jak te, w których pływasz.

— Mądrala! Zawsze gadasz o głębi — burczy Panienska Praktyczna. — Co ty jesteś, nurek?

— Drogie panie, proszę — wtrącam. Wiem, że muszę interweniować z taką delikatnością, na jaką tylko mnie stać. — Nie kłóćmy się w taki piękny poranek.

— A co jest złego w kłótni? — oponuje Panna Intelktualistka Cyniczna. — Niemiecki filozof, Ernst Bloch, używał pojęcia noch nicht — „to, co jeszcze nie istnieje”. Zamiast próbować stworzyć całość, powinniśmy skłonić się ku idei istnienia bez początku i końca. Mówię o stanie nieustającej regeneracji. I dlatego pytania powinny pozostawać bez odpowiedzi. Należy je zgłębiać kolejnymi pytaniami.

— Dawno nie słyszałam podobnej bzdury! — dobiega gderliwy głos zza rogu.

Odwracamy głowy i tuż przed nami dostrzegamy Pannę Ambicję Czechowską, stojącą między stopami wędkarzy. Ogarnia mnie strach, że ktoś nadeptnie na nią przez przypadek, ale ona najwyraźniej wcale się tym nie przejmuje.

— Pogłębiać dylematy kolejnymi pytaniami? A co później? Czy wiesz, ile czasu ten głupi niedzielny spacer kosztował już naszą karierę? Elif, powinnaś teraz pisać, zamiast trwonić czas w ten sposób!

Zerkam w lewo i w prawo. Mężczyźni łowiący ryby są zajęci wpatrywaniem się w wodę. Zastanawiam się, czy ktoś poza mną widzi Pannę Ambicję Czechowską.

Ściszam głos do groźnego szeptu.

— Co ty wyprawiasz?

— No cóż, miałam nadzieję, że przemyślałaś to, o czym rozmawialiśmy kilka tygodni temu — rzuca nonszalancko.

— Mam na myśli histerektoię.

— Zwariowałaś — odpowiadam, a dwie miniaturowe kobiety na moich ramionach wyrażają aprobatę oklaskami.

— W porządku, jeśli chcesz zostać Księżycową Kobietą, nie zamierzam cię powstrzymywać — oświadcza Panna Ambicja Czechowska. — Proszę bardzo, zajdź w ciążę, przytyj i zamartwiaj się karmieniem piersią, wychowywaniem dziecka, posłaniem go do szkoły i college'u. Zanim się zorientujesz, zapomnisz o literaturze i pisaniu.

Chcę zaprotestować, ale ona nie daje mi szansy.

— Nawet nie waż się mówić, że w świecie literatów nie ma konkurencji, a ty nie musisz się spieszyć ani przeć do przodu, bo to czyste brednie. Nawet jeśli nie ścigasz się z innymi pisarzami, bierzesz udział w wyścigu z samą sobą i z własną śmiertelnością.

Kolejny raz otwieram usta, ale ona kolejny raz nie daje mi dojść do słowa.

— I nie zapominaj, że to Lew Tołstoj był pisarzem, a nie jego Księżycowa Kobieta Zofia.

— Jakie to ma teraz znaczenie? — pytam.

— Takie, jakie ma. Pamiętasz dziewczynę z parowca? Tę, która miała dwadzieścia pięć lat, ale wyglądała na czterdzieści. Tę samą, która gromadziła dodatkowe kilogramy i urazy niczym darmowe ciastka. Chcesz się nią stać?

— Mówisz tak, jakby ona jedyna na całym świecie była nieszczęśliwa — mówi Panna Intelktualistka Cyniczna. — Tymczasem cała ludzkość jest w podobnej sytuacji. Melancholia ma decydujące znaczenie dla każdej istoty ludzkiej. Ignorujemy ją.

— Hej, kobiety mogą jednocześnie sprawdzać się w roli matki i realizować zawodowo. I mogą być szczęśliwe... To proste. Kluczem do sukcesu jest zarządzanie czasem. — To słowa Paniienki Praktycznej.

Panna Ambicja Czechowska prycha.

— Oczywiście, istnieją takie kobiety. Nazywam je cyrkowymi żonglerkami. Wysłać dziecko rano do szkoły, usmażyć dla męża doskonały omlet z dwóch jajek i łyżki masła, ubrać się w pośpiechu, wyszykować do pracy, wieczorem

pędem wrócić do domu, nakryć do stołu, nakarmić dziecko, a potem zemdleć na kanapie przed telewizorem... Tak, takie kobiety istnieją naprawdę. Ale nigdy nie piszą powieści.

— Jesteś Królową Hiperboli — karczę ją.

Ciemne oczy Panny Ambicji Czechowskiej płoną ze wzburzenia, gdy posyła mi niewyraźny uśmiech.

— Chodzi o to, moja droga, że żonglerki potrafią uchwycić moment. To wszystko. Mogą godzić macierzyństwo z pracą. To prawda. Jednak pozostaje pytanie, jak wiele mogą osiągnąć w życiu zawodowym.

— Literatura i tworzenie to coś więcej niż kariera — odpowiadam.

— Otóż to — przyznaje. — To styl życia. To życiowa namiętność. Artysta musi być ambitny i pełen pasji. Nie pracujesz od dziewiątej do siedemnastej. Oddychasz swoją sztuką dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Dlatego powinnaś rozważyć histerektoię. Pół godziny później jesteśmy z powrotem w parku. Siedzimy na innej ławce — wszystkie cztery ponure, niemal ospałe. Typowe zakończenie spotkania więcej niż dwóch miniaturowych kobiet. Taka dawka kłótni męczy każdą z nas, wyczerpuje, a mimo to Calineczki nie potrafią rozwiązywać konfliktów.

— Witam wszystkich! Mogę się przysiąc? — Pani Derwisz niespodziewanie pojawia się na ławce niczym suficka wersja Hudiniego.

Paraduje w prostej sukience w siwym kolorze i w długim płaszczu tej samej barwy, spiętym perłową broszką. Brzeg jej sukienki łopocze delikatnie na wietrze. Na szyi nosi naszyjnik z imieniem Hu* zapisanym w języku osmańskim.

— Miło cię widzieć, droga sufi — mówię. — Chodź i usiądź z nami.

* W sufizmie Hu to imię Allaha i jest używane w połączeniu ze słowem Allah. Allah Hu co znaczy Bóg Prawdziwy.

— Dziękuję — odpowiada. — Czuję się mile widziana, ale chciałabym, żebyś ty też się tak czuła. Tylko spójrz na siebie. Zawsze oceniasz, zawsze pędzisz. Czasami próbujesz robić pięć rzeczy naraz, a potem padasz z wyczerpania. Skup się na jednej sprawie. Po co pośpiech? Poddaj się chwili. Jest tylko tu i teraz. Chociaż Siedmiu Śpiących, o których mowa w Koranie, przespało w jaskini trzysta lat, po przebudzeniu miało wrażenie, że minęło ledwie kilka godzin.

— Chcesz, żebym zapadła w sen? — Ściągam brwi.

— Chcę, żebyś przestała ścigać się z czasem.

Próbuję cieszyć się chwilą, ale zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co to znaczy.

— Pani Derwisz...

— Hm?

— Myślisz... to znaczy, czy gdybym miała to zrobić, nie żebym chciała, oczywiście, ale to tylko pytanie, gdybym pewnego dnia... mówię czysto teoretycznie... — Robię głęboki oddech i podejmuję kolejną próbę. — Myślisz, że mogłabym być dobrą matką?

Szeroko otwiera ciemnozielone oczy, a w kącikach pojawiają się zmarszczki.

— Jeśli spełnisz trzy warunki, będziesz wspaniałą matką.

— Jakie warunki?

— Przede wszystkim Bóg musi tego chcieć, więc w twojej księdze musi pojawić się nowy rozdział — mówi.

— Po drugie, oczywiście ty musisz tego chcieć, z głębi serca, podobnie jak twój partner.

— A jaki jest trzeci warunek?

— Trzeci warunek ma związek z łowieniem ryb — wyjaśnia. — Musisz nauczyć się tego, co wiedzą rybacy i wędkarze.

— Znowu oni! — prychna Panienska Praktyczna, wznosząc ręce do nieba.

Rozglądam się z niedowierzaniem. Co ci faceci z wędkami mogą mieć wspólnego z macierzyństwem? Co takiego mogą wiedzieć, czego nie wiem ja?

— Droga Elif — zaczyna Pani Derwisz, jakby pisała do mnie list.

— Tak?

— Czy kiedykolwiek widziałaś rybaka biegnącego w stronę morza? Nie mogłaś tego widzieć, bo ten, kogo można nazwać rybakiem, nie rzuca się w pogoń za rybą. Czeką, aż ona przyplynie do niego.

— To znaczy?...

Pani Derwisz przygląda mi się przez sekundę, zanim odpowiada:

— To znaczy: przestań gonić fale. Pozwól morzu przypląć do ciebie.

W tym momencie mija nas młoda matka pchająca wózek; natychmiast odzyskuję zdrowy rozum. Mimowolnie spoglądam na dziecko — jego różowe paluszki, cienkie włoski, policzki z dołeczkami — i odkrywam, że się uśmiecham.

— Daj spokój, chodźmy stąd. Na co czekamy? — pyta Panna Ambicja Czechowska, ciągnąc mnie za ramię.

— Czas to pieniądz.

— Chodźmy i poczytajmy trochę — proponuje Panna Intelktualistka Cyniczna.

Nagle tracę ochotę na rozmowę z miniaturowymi kobietami, przynajmniej chwilowo.

— Proszę bardzo — mówię spokojnie, lecz stanowczo.

— Ja zostaję.

Na szczęście po kilku protestach odchodzą wszystkie cztery. Klóćąc się o to, którą wybrać drogę, oddalają się na krótkich nóżkach. Ich głosy stają się niewyraźne.

Nieopodal dostrzegam grubego, płowego kocura. Odprowadza je wzrokiem. Czy zwierzę je widzi? Ta myśl najpierw mnie ekscytuje, a potem przeraża. A jeśli czworonóg pomyli je z myszami albo ptakami i spróbuje pożreć? Nawet jeśli widzi miniaturowe kobiety, zamyka oczy i zapada w sen, a ja oddycham z ulgą. Może uznał, że zjedzenie Calineczek przyprawiłoby go o niestrawność.

Nabieram bardzo dużo powietrza w płuca i obserwuję, jak małe kobietki opuszczają park. Co ja mam z nimi zrobić? Wciąż wszystko mi utrudniają, a mimo to je kocham.

Przez dłuższą chwilę ja też chcę łowić ryby.

O POETACH I DZIECIACH

Była dziewczyną, która chciała zostać Bogiem, by stworzyć cały wszechświat od początku. Pragnęła prawdziwej bliskości, której nie potrafiła dopasować do swojego ciała ani życia. W młodości przez pewien czas uczyła, jednak bardzo szybko zrozumiała, że nie nadaje się do takiej pracy. Jej powołaniem było tworzenie literatury. Zdeternowana, by zarabiać pisaniem, wiecznie niezadowolona z tego, co stało jej na drodze, przepychała się i rozpychała łokciami. Cierpliwe czekanie na to, co przyniesie kolejny dzień, zwyczajnie do niej nie pasowało. Nie byłaby dobrym rybakiem.

Przyjaciele nazywali ją Syl, członkowie rodziny — Sivi. Dla reszty świata była Sivią Plath.

Jej małżeństwo z Tedem Hughesem było tematem niejednej zażartej dyskusji zarówno wśród uczonych, feministek, jak i nie-feministek. Wielu stało po stronie Sivi lub Teda, ale prawda musi leżeć gdzieś pośrodku. Poświęcone jej eseje i książki — nawet po tylu latach — najczęściej są tak naładowane emocjonalnie jak dawniej ona sama. Być może wszyscy jej biografowie koniec końców się w niej zakochiwali.

Rozchwiane małżeństwo Sivi powodowało wiele bólu. Mimo to, tak jak wiele innych związków z podobnym finałem, zaczęło się od niekontrolowanego magnetyzmu serc. Dwoje zakochanych poetów: Sylvia Plath i Ted Hughes. Wspólne metafory, sprzeczne subiektywności, silne charaktery. Czy na dłuższą metę dwoje poetów może darzyć się miłością bez cienia rywalizacji? Oczywiście, jest to możliwe, ale trudne. Byli młodzi, krnąbrni i wolni. Mieli sobie wiele do powiedzenia i wspólnie chcieli zmieniać świat. Zapalali do siebie wielkim uczuciem, walczyli ze sobą w nieskończoność, kochali się namiętnie i niecierpliwie, robili i mówili rzeczy, których później gorzko żalowali, przebaczaali sobie nawzajem i samym sobie, a to wszystko za pośrednictwem słów. To ze słów byli szczególnie dumni.

Sylvia napisała wiersz zatytułowany Chcę, chcę. Centralną postacią tego utworu jest przypominające Boga dziecko, które ma się wkrótce urodzić. Ogromne, łyse, z otwartą buzią, w niczym nie przypomina uroczonego aniołka, lecz potężny żywioł, który chce przyjść na ten świat i domaga się tego, co jemu się należy. To dziecko, które pragnie być. Poetka z wulkanu uczyniła symbol kobiecej płodności — tej, która nosi kielkujące życie, pęcznieje i wydaje je na świat. Jednak wulkan to także niebezpieczna i niszczycielska siła. Nawet gdy pozostaje uspiony, nie można mieć pewności, że nie wybuchnie zniecka. Nie można go powstrzymać. Nie można przewidzieć jego zachowań.

Przez całe życie Sivię Plath dręczyły najróżniejsze obawy związane z kobiecością i macierzyństwem. Najpierw obawiała się, że jest bezpłodna i nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Potem spędziła wiele bezsennych nocy zdjęta

lękiem na myśl o cierpieniu podczas porodu. Zastanawiała się, czy ból jest nieznośny, czy go wytrzyma. A gdy już miała dzieci, przerażał ją świat zewnętrzny wraz z jego okrucieństwem.

Jednocześnie żywiła przekonanie, że bycie matką wzbogaci jej życie i twórczość. Po porodzie miała stać się inną kobietą — taką, którą będzie mogła zaprezentować w swoich wierszach jako istotę o nadludzkich mocach, magiczną śmiertelniczkę, którą przemienił sam dotyk różowiułkiego kciuka dziecka. W swoich dziennikach napisała: „Najpierw muszę podbić moje pisarstwo i doświadczenie, potem zasłużę sobie na to, by podbić macierzyństwo”*. Innym razem stwierdziła: „Będę pisać, dopóki nie zacznę czerpać z głębin swojej duszy, potem urodzę dzieci i sięgnę jeszcze głębiej”**. Może mimo wszystko miała rację. Swoje największe dzieło, *Ariel*, napisała już po tym, jak została matką. Powiła córkę, a szesnaście miesięcy później syna. Plath postanowiła zostać w domu, żeby zająć się dziećmi, choć ta decyzja zaważyła na jej losie. Odtąd dbała o dom i rodzinę oraz pisała wiersze i opowiadania. Czasami wszystko to nakładało się na siebie; przyłapywała się wtedy na zapewnianiu kolejnych stron notatkami o zmienianiu pieluch i wypiekaniu ciasteczek czekoladowych.

Gdy pochłonęły ją obowiązki domowe, z boku obserwowała wydarzenia w literackim świecie. Jej uwadze nie uszła żadna nowa praca, która ukazała się drukiem, ani wschodzące gwiazdy literatury, które czczono, w szcze-

* *Sylvia Plath, Dzienniki 1950-1962, tłum. J. Urban i P. Stachura, Warszawa 2000, s. 388 (przyp. tłum.).*

** *Tamże, s. 276 (przyp. tłum.).*

gólności kobiety. Zazdrość nie była jej obca, podobnie jak złość, zgrzyzota i autodestrukcja. I być może właśnie to sprawiło, że poetka wydaje się tak prawdziwa, a jej obecność tak namacalna, nawet wiele lat po jej śmierci. Plath otwarcie i bezwstydnie pisała o pokładach mrocznej życiowej energii, którą wszyscy znamy, choć często udajemy, że jest inaczej. W monotonnym rytmie codzienności matczyne obowiązki wprawiały ją w stan euforii i jednocześnie frustrowały. Tymczasem jej mąż nie przepuszczał żadnego z wydarzeń literackich, w których kiedyś uczestniczyli razem. Prowadził dawne życie, pisał poezję, zawierał nowe znajomości, umacniał swoją pozycję. Być może ojcostwo nie zakłócało życia mężczyzny w takim stopniu, jak macierzyństwo życia kobiety. A może tak działa się tylko u nich, jak przypuszczała Plath.

O ile dzieci były potężnymi metaforami w jej wierszach, o tyle wiersze były dla Sylwii Plath niczym dzieci. Gdy opowiadała o swoich nieukończonych jeszcze dziełach, nazywała je „nienarodzonymi dziećmi”. Opisała nawet, jak jej wiersze się do niej uśmiechają, jak „ich małe czółka napinają się w skupieniu” i jak zmieniają się każdego dnia, poruszając drobnymi palcami u rąk i nóg. Była matką nie tylko dwojga dzieci, ale także tysięcy poematów. Zdarzało się, że wszystkie były głodne i płakały jednocześnie, doma-

gając się jej uwagi i współczucia, i bez względu na to, jak bardzo się starała, nie potrafiła ich uszczęśliwić. Rozstanie z mężem było głównym punktem zwrotnym w jej życiu. Po załamaniu nerwowym postanowiła wziąć się w garść, stworzyć siebie na nowo, stać się zupełnie inną, bardziej nieugiętą kobietą. Była ambitna. Była utalentowana. Była samotna. Często zaczynała dzień o czwartej rano — najbardziej ceniła sobie tę jedną czy dwie godziny przed przebudzeniem dzieci. Wiersze, które napisała w tych miesiącach, są bodaj najbardziej optymistyczne — Meduza, Tatuś czy Lady Łazarz, w którym szokowała czytelników słowami: „Umieranie / Jest sztuką tak jak wszystko / Jestem w niej mistrzem”*. Przy stole kuchennym, w łazience albo w łóżku pod kołdrą — pisała wszędzie, gdzie mogła, i kiedy tylko mogła. Bazgrała z furją, bardzo starannie, choć z niezwykłą prędkością — jakby ścigała się z Bogiem przeciwko mężczyźnie, którego pokochała i przestała kochać, przeciwko swoim licznym wadom, którymi gardziła. Jest taki wiersz zatytułowany Do syna bez ojca. Opowiada o mężczyźnie, który porzucił dom, żonę i dzieci. Wyraża więcej smutku niż urazy, więcej uległości niż buntu. Można wyczuć, że coś się w poetce zmieniło. Nie kierowały nią bowiem gniew ani chęć walki, lecz nieustający smutek. Mówiła o „pustce”, która zawitała do życia jej dzieci po odejściu ojca, o „nieobecności rozrastającej się (...) jak drzewo”**, z którą będą musiały nauczyć się żyć. Na tym etapie życia pragnęła odgrywać wiele ról naraz i w każdej z nich wybijać się w równym stopniu. Matka, gospodyni, pisarka, poetka. Pragnęła, by wszystko miało błyskawiczny i idealny przebieg. Być może była zakochana także w swoich dziełach. Uparcie wierzyła, że może być idealną matką i doskonałą poetką: perfekcyjną poetką matką. To nie było łatwe połączenie, zwłaszcza w atmosferze lat pięćdziesiątych XX wieku, gdy wszyscy uważali, że kobieta musi dokonać wyboru. Ona się temu sprzeciwiała.

* *W tłumaczeniu E. Fiszer (przyp. tłum.).*

** *W tłumaczeniu E. Fiszer (przyp. tłum.).*

Niemniej wysiłek, by zostać superkobietą, wycieńczył Syla Plath. Wkrótce zauważyła, że zbyt wiele od siebie wymaga. Gdy osiągała jeden cel, odkrywała, że zapomniała o innym; gdy zdołała naprawić jedną rzecz, rozsypywała się druga. Powoli zyskiwała przekonanie, że nie może być idealna. Dlatego jej wiersz zatytułowany Monachijskie manekiny zaczyna się od słów: „Doskonałość jest straszna / Nie ma potomstwa”*. Pieniężmi zdobytymi dzięki nagrodom literackim i stypendiom opłacała nianię. Gdy pisała pierwszą i zarazem ostatnią powieść, Szklany klosz, umyślnie podsyciała własne lęki, by stworzyć silniejszą więź ze swoją przeszłością i duszą. A bała się wielu rzeczy: z jednej strony tego, że jest normalna, a z drugiej — taka sama jak tysiące innych ludzi, niepoczytalna, tak całkowicie inna, że nie istnieje dla niej nadzieja na asymilację ze społeczeństwem. Ze szczegółami opisała załamanie nerwowe, terapię elek-

trowstrząsową i duszącą monotonię współczesnego życia. „Dla człowieka siedzącego pod szklanym kloszem, znieczulonego na wszystko, zatrzymanego w rozwoju jak embrion w spirytusie, całe życie jest jednym wielkim, złym snem”^{***}. W styczniu 1963 roku książka ukazała się drukiem. Opinie czytelników były podzielone, a recenzje krytyków sprawiły, że Plath pograżyła się w rozpacz.

Gdy opadła z sił i nie mogła już sprostać wysokim wymaganiom, które sobie stawiała, Plath uznała, że woli umrzeć, niż żyć tak, jak nakazują inni. Jako kreatywna osoba z niepokromioną pasją chciała mieć wszystko albo

* W tłumaczeniu T. Truskowskiej (przyp. tłum.).

** W tłumaczeniu M. Michałowskiej (przyp. tłum.).

nic. Już wcześniej, w wieku dwudziestu lat, próbowała popełnić samobójstwo: przedawkowała tabletki nasenne. Jednak wówczas pragnęła śmierci z własnych rąk, a jednocześnie ocalenia. Tym razem zależało jej wyłącznie na tym pierwszym.

Był zimny poranek 11 lutego 1963 roku — taki, który załatuje nudą i rodzi uczucie izolacji. Plath zajrzała do dwojki dzieci leżących w łóżkach i zostawiła mleko oraz chleb na ich stolikach nocnych, po czym zamknęła drzwi i uszczelniła szpary. Zeszła do kuchni, odkręciła kurki kuchenki i połknęła tuzin tabletek nasennych, jedną po drugiej. Potem włożyła głowę do piecyka i gdy gaz lizał jej lico, zapadła w wieczny sen. Miała zaledwie trzydzieści lat. Do dzisiaj legendarna spuścizna literacka Plath nie ma sobie równych. W Turcji poznałam na studiach wiele koleżanek, które podziwiała jej twórczość do tego stopnia, że organizowały na kampusie wieczorki literackie poświęcone właśnie tej poetce. W Ameryce istnieje barwny, intrygujący blog o nazwie „Playgroup with Sylvia Plath”^{**}. W Niemczech rozmawiałam raz z pewną Filipinką, która nazwała swoją córkę Ariel — na cześć Plath. We Francji, w międzynarodowej organizacji kobiet, poznałam elegancką kobietę interesu, która poprosiła, by wznieść toast za Sylwią. O żadnym innym samobójstwie w środowisku literackim nie rozmawiano ani nie pisano tak wiele. Żadna inna pisarka nie została po śmierci tak ponadczasową, międzynarodową ikoną.

* „Przedszkole z Sylwią Plath” (przyp. tłum.).

ZAMACH STANU O PÓŁNOCY

Pewnej nocy pod koniec lata słyszę przez sen różne hałasy. Trzaski otwieranych i zamykanych drzwi gdzieś w domu, kroki na schodach, szepty w ciemności. Przekonana, że śni mi się koszmar, kręcę się i wiercę w łóżku. Nagle ktoś szturcha mnie w ramię, krzyząc:

— Hej, pobudka!

Próbuję zignorować ten głos, z nadzieją, że ta chwila minie, podobnie jak wszystkie inne. Jednak rozlega się drugi rozkaz, tym razem głośniejszy:

— Wstawaj! Obudź się w tej chwili!

Otwieram oczy i widzę Pannę Ambicję Czechowską, dosłownie tuż przed swoim nosem. Wspięła się po moim ramieniu i podczołgała aż do twarzy, a teraz stoi na mojej brodzie na szeroko rozstawionych nogach, podpartszy się pod boki. Spogląda na mnie z wyrazem triumfu, który w tej chwili bardziej mnie zdumiewa, niż niepokoi. Jak zwykle ma idealnie wykonany makijaż i staranny, ciasny kok; nawet o tej godzinie jest wymuskana. Ale dopiero po upływie kolejnej sekundy dostrzegam, że założyła mundur wojskowy z oznaczeniem rangi na ramieniu. Zanim zyskuję szansę, żeby zapytać, po co się tak ubrała, przemawia do mnie tonem, który ledwie rozpoznaję:

— Jest sprawa wielkiej wagi. Lepiej wstań!

— A czy to nie może poczekać do rana? — burczę.

— Spałam, jeśli nie zauważyłaś.

— Nie, to nie może czekać — odpowiada. — Najlepsza pora na zbrojne przejęcie władzy wypada tuż przed świtem, gdy wszyscy śpią i można spodziewać się niewielkiego oporu.

Siadam na łóżku i spoglądam na nią zdumiona, niczym zwierzę w świetle reflektorów.

— Co powiedziałaś?

Moje oszołomienie kwituje lodowatym spojrzeniem.

Chociaż znamy się tyle lat, nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

— Przeprowadzamy zamach stanu — mówi. — Odtąd w tym domu będzie panował inny ustrój.

Co ona wygaduje? Włosy stają mi dęba, niepokój ścisza mnie za gardło, gdy próbuję zrozumieć, co się dzieje.

— Za dwie minuty spodziewamy się ciebie w salonie.

Nie spóźnij się, komitet tego nie lubi — oświadcza Panna Ambicja Czechowska, po czym wychodzi.

Wciąż zaspana, zarzucam szal, myję twarz i schodzę na dół. W salonie moim oczom ukazuje się zaskakująca scena.

Są tam wszystkie członkinie Chóru Niewspółbrzmiących Głosów. Mają marsowe miny. Napięcie w pokoju jest niemal namacalne. Z głośników stojącego w rogu odtwarzacza CD płynie rozdzierająca uszy muzyka, której nigdy nie słyszałam pod tym dachem. Dźwięki brzmią niepokojąco agresywnie, niczym hymn kraju, który wypowiedział wojnę wszystkim swoim sąsiadom i wszystkim sąsiadom swoich sąsiadów.

Najpierw dostrzegam Pannę Intelktualistkę Cyniczną. Siedzi wśród owoców w misce na stole, machając nogami i paląc papierosa. Zwykle nie pozwalałam miniaturowym kobietom palić w domu, ale coś mi mówi, że to nie jest odpowiedni moment, by o tym przypominać. W jej oczach dostrzegam niezwykle blask, dziwną tajemniczość, której nie potrafię dokładnie określić. Na hippisowską sukienkę narzuciła marynarkę w wojskowym stylu — ten ekscentryczny zestaw wprawia mnie w osłupienie.

Za nią Panienska Praktyczna opiera się o pudełko chusteczek. Jest ubrana w parkę, czarne buciory i bojówki oraz odpowiednio dobrany zielony top z kapturem. Krzyżuje ręce na piersi, marszczy brwi i głośno wzdycha. Z niezna-nej mi przyczyny wpatruje się w ścianę, wyraźnie unikając jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego.

Obok petunii w doniczce pod oknem, z kolanami przy-
ciągniętymi do piersi, siedzi Pani Derwisz. Pukiel czerwo-
nawych włosów wysunął się spod turbanu i rzuca cię
na jej twarz. Ale dopiero gdy przyglądam się jej uważnie,
zauważam, że jest przypięta kajdankami do kaloryfera.

— Co się tutaj dzieje? — pytam. W moim głosie po-
brzmiewa panika.

— Gdy spałaś, zwołałyśmy spotkanie nadzwyczajne —
wyjaśnia Panna Ambicja Czechowska. — Doszliśmy do
wniosku, że nadszedł czas na zmianę rozkładu sił. Odtąd
należy się do mnie zwracać Milady Ambicja Czechowska
i jako taka przejmuję kontrolę nad Chórem Niewspółbr-
miących Głosów.

Nagle Panna Intelktualistka Cyniczna kaszle.

— Przepraszam bardzo, my przejmujemy kontrolę
— poprawia się Milady Ambicja Czechowska. — To znaczy
Panna Intelktualistka Cyniczna i ja. Razem przeprowadzi-
liśmy zamach stanu.

To musi być jakiś żart, ale wszystkie miniaturowe ko-
biety mają tak poważne i napięte twarze, że boję się nawet
uśmiechnąć.

— Jako przewodnicząca Komitetu Wykonawczego —
dodaje Panna Intelktualistka Cyniczna — mam przyjem-
ność ogłosić, że wkrótce wprowadzona zostanie nowa
konstytucja, która uniemożliwi obalenie naszych rządów
przez kolejne trzydzieści pięć lat. Potem panowanie prze-
jmą nasze dzieci.

— Hej, to nie ma nic wspólnego z demokracją — pro-
testuję.

Ale Panna Intelktualistka Cyniczna udaje, że tego
nie słyszy. Tej nocy jest niezwykle poruszona i próbuje to
ukryć, co tylko jeszcze bardziej uwydatnia jej niepokój.
Można odnieść wrażenie, że zażyła amfetaminę.

— Z dumą oświadczam — mówi — że jako nowy rząd
w pierwszej kolejności umocniłyśmy pokój i porządek w tym
domu.

— Nie widzę żadnych zmian — mruczę pod nosem.

— Teraz, gdy pokój i porządek zostały umocnione —
kontynuuje Milady Ambicja Czechowska — zamierzamy
odesłać cię z tego miasta.

— Co... Dlaczego... Dokąd mam jechać? — pytam osłu-
piała.

— Do Ameryki! — ryczy Milady Ambicja Czechowska,
rozkoszując się nowo odkrytą władzą. — Jedziemy do No-
wego Świata, wszystkie razem.

— W porządku, dziewczyny, wystarczy — mówię.

— Nigdzie się nie ruszam, dopóki mi nie wyjaśnicie jasno
i wyraźnie, dlaczego chcecie mnie wysłać do Stanów.

Milkną na moment, jakby nie spodziewały się takiej
reakcji. Naprawdę wierzą, że są generałami w wojsku i nikt
nie może kwestionować ich rozkazów?

— Nie chodzi o Amerykę, ale o ciebie. Możesz wybrać
każde inne miejsce, Australię albo Japonię — wyjaśnia
Milady Ambicja Czechowska. — Chodzi o to, że natych-
miast musisz opuścić Stambuł.

Panna Intelktualistka Cyniczna cmoka na znak apro-

baty.

— Jedziemy do Ameryki, bo tak się składa, że wypełniłyśmy za ciebie podanie o stypendium. Gratulacje! Otrzymałaś je. A teraz idź się spakować!

Czuję skurcz żołądka, gdy dociera do mnie, że nie żartują.

— Podjęłyśmy decyzję, że powinnaś wybrać się w tę podróż, by dojrzeć jako pisarka — dodaje Panna Intelktualistka Cyniczna. — Zyskasz możliwość wyrwania się stąd na jakiś czas. Robimy to dla twojego dobra.

— Dla mojego dobra — powtarzam.

Nawet jeśli słyszy szyderstwo w moim głosie, Milady Ambicja Czechowska nie wydaje się tym przejmować.

— Będę z tobą szczerą — mówi. — Planowałyśmy zamach stanu od jakiegoś czasu. Ale to ty, z tym swoim irracjonalnym zachowaniem, przyspieszyłaś ten proces.

— O jakie irracjonalne zachowanie ci chodzi? — pytam tak spokojnie, jak tylko potrafię.

— Ostatnio nie było najlepiej z twoją głową — stwierdza Milady Ambicja Czechowska głosem drżącym z emocji.

— Przez te wszystkie lata harowałyśmy jak woły, żebyś ty mogła zaistnieć jako powieściopisarka. Nigdy nie odpuszczaliśmy, nigdy się nie objaliśmy. Ludziom może się wydawać, że powieści same układają się w całość, ale to nieprawda. Każda książka wymaga mozolnej pracy, potu i bólu.

— No dobrze — przyznaję. — Ale po co o tym wspominasz?

Milady Ambicja Czechowska unosi brodę i prostuje plecy niczym bohaterski żołnierz.

— Czy robiłyśmy to wszystko na marne? Jak śmiesz w jednej sekundzie przekreślać lata harówki?

— Chwileczkę, niczego nie przekreślam — protestuję. — Skąd te wnioski?

— Z twojego zachowania oczywiście. Obserwuję cię od pewnego czasu. Niech ci się nie wydaje, że niczego nie zauważyłam!

— A niby co jest nie tak? — Nie jestem już spokojna i nawet się nie staram.

— Przecież widzę, że zastanawiasz się nad dzieckiem.

— O mój Boże, a więc stąd to całe zamieszanie?

— Tak jest — odpowiada. — Zastanawiasz się: „Czy mogę zostać matką? Jaką będę matką? Starzeję się. Mój zegar biologiczny tyka”. Te wszystkie szkodliwe myśli zaśmiecają ci umysł! Moim zdaniem do niczego dobrego nie doprowadzą. Sądzisz, że nie zauważyłam, jak patrzyłaś na tamto dziecko?

— Niby jak? — pytam podejrzliwie.

— Błyszczącymi oczami...

— A co w tym złego, że... — próbuję się bronić, ale Milady Ambicja Czechowska natychmiast mi przerywa.

— Tylko w dwóch sytuacjach kobiecie tak świecą się oczy na widok potomstwa innej kobiety: albo tęskni za czasami dzieciństwa, albo chce zostać matką. Obawiam się, że w twoim przypadku chodzi o to drugie.

Do rozmowy włącza się Panna Intelktualistka Cyniczna.

— Jeśli tutaj zostaniesz, zbczysz z właściwego kursu.

— Z jakiego właściwego kursu? — pytam z niedowierzaniem.

— Z literackiego, oczywiście! — wykrzykują jednocześnie Panna Intelektualistka Cyniczna i Milady Ambicja Czechowska. — Jesteś pisarką i intelektualistką... Twoim przeznaczeniem jest pisać i czytać.

Ich pokaz solidarności zdumiewa mnie bardziej niż teorie, które głoszą. Kiedy te dwie tak się zakolegowały? Spoglądam na Pannę Intelektualistkę Cyniczną, siląc się na uśmiech.

— Sądziłam, że nie jesteś przeciwna macierzyństwu. Powiedziałaś, że to bez znaczenia. Stwierdziłaś, że tak czy inaczej wszyscy jesteśmy skazani na życie w nieszczęściu.

— Właśnie — potakuje. — Właśnie teraz uznałam, że lepiej być nieszczęśliwą pisarką niż nieszczęśliwą pisarką, gospodynią, żoną i matką.

Zaczyna mi się kręcić w głowie. „A co z Panią Praktyczną?”, zastanawiam się. Jest zaskakująco milcząca. Pod wpływem mojego intensywnego spojrzenia ze skruszoną miną zaczyna bawić się suwakiem parki.

— A co ty z tego masz? — pytam. — Sądziłam, że popierasz liberalną demokrację i wolny rynek.

— To prawda, junta to nie moja działka — przyznaje.

— Ale okoliczności łagodzące skłaniają mnie do opowiedzenia się za.

— Jakie okoliczności łagodzące?

— No cóż, na początku nie byłam zachwycona zamachem. Jednak później dostrzegłam korzyści. Życie w Ameryce jest znacznie stabilniejsze i bardziej uporządkowane. Lepiej odpowiada moim potrzebom. Pomyśl, jakie to pragmatyczne!

— To się nazywa oportunizm, a nie pragmatyzm — odpowiadam.

— Nie ma sensu się złościć — przemawia Panna Intelektualistka Cyniczna. — Jeśli poświęcimy czas na przeczytanie teorii działania komunikacyjnego Habermasa, zrozumiemy, że wszystkie możemy koegzystować. Skoro racjonalność systemu i racjonalność działania to dwie różne rzeczy, jako autonomiczne miniaturowe jednostki możemy porozumieć się na płaszczyźnie komunikacyjnej i osiągnąć konsensus.

— Hej, nie mam pojęcia, co ona wygaduje, ale nie ujęłabym tego lepiej — wtrąca Panią Praktyczną.

Nie mogę uwierzyć własnym uszom. Zawsze myślałam, że członkinie Chóru Niewspółbrzmiących Głosów nie potrafią odnaleźć harmonii, ale najwyraźniej połączył je przewrót wojskowy.

Wtedy spoglądam na Panią Derwisz, która nadal siedzi na podłodze z ponurą miną i oczami pełnymi troski. Tylko ona nie jest ubrana na wojskową modłę.

— A co z nią? — szepczę.

To pytanie wywołuje zaniepokojenie wśród moich dręczycielek. Po chwili krępującego milczenia Milady Ambicja Czechowska udziela odpowiedzi:

— Niestety, Pani Derwisz nie popiera naszego nocnego

zamachu stanu. Chociaż robiłyśmy co w naszej mocy, nie zdołałyśmy nakłonić jej do zmiany zdania. Powiedziała, że nie będzie z nami walczyć ani wchodzić nam w drogę, ale w żadnym wypadku nas nie wesprze.

— To dlaczego jest skuta? — dociekam.

— Sama jest sobie winna. Próbowła rozpocząć protest pokojowy. Usadowiła się u naszych stóp w tym swoim turbanie, jak jakiś Gandhi. Nie zostawiła nam wyboru. Musiałyśmy ją aresztować.

— Teraz jest więźniem politycznym — dodaje Panna Intelktualistka Cyniczna.

Nie wierzę własnym uszom. Moje miniaturowe kobiety zwariowały, a ja nie wiem, jak nad nimi zapanować. Właściwie to nigdy nie wiedziałam. Chcę porozmawiać z Panią Derwisz na osobności, ale muszę poczekać na odpowiedni moment.

Całun ciszy spowija pokój: militarystki krążą niespokojnie, skuta pacyfistka siedzi na ziemi, a ja wbijam wzrok w podłogę. W końcu Panienska Praktyczna podchodzi do mnie z kopertą.

— Co to jest? — pytam.

— Bilet na samolot. Lecisz jutro. Najlepiej zacznij się pakować. Przygotowałam listę rzeczy, które będą ci potrzebne.

— Tak szybko? Ale dokąd lecę? Jakie otrzymałam stypendium? Nic nie wiem!

Odpowiedzi udziela Milady Ambicja Czechowska.

— Dziewięćdziesiąt minut od Bostonu znajduje się piękny college Mount Holyoke. Właśnie tam pojedziesz. To żeński kampus!

Panna Intelktualistka Cyniczna dodaje z dumą:

— Otrzymałaś stypendium przyznawane niewielu artystkom, pisarkom i pracowniczkom naukowym z całego świata. To tętniący życiem ośrodek intelektualny, sama zobaczysz.

Potem nie mogę zasnąć. Instynkt nakazuje mi zmykać gdzie pieprz rośnie z nastaniem poranka, ale jak daleko zdołałabym uciec od tych wewnętrznych głosów? Moja odwaga topi się jak wosk, gdy siedzę, spięta i niespokojna, obserwując wschód słońca. W ostrym świetle wszystko wokół zdaje się szybko niknąć — noc, nazwy, miejsca.

W tej chwili czuję, w kościach i w duszy, że lato dobiegło końca. Nie przemijało stopniowo ani powoli, lecz odeszło w jednej chwili, w okamgnieniu.

Być może tak dzieje się zawsze. Lato trwa i trwa, spokojnie i leniwie, a potem, gdy przywykamy do spowolnionego rytmu, raptownie znika i zostawia nas zupełnie nieprzygotowanych na nadejście zimnej jesieni.

A ja wiem tylko tyle, że nastaje nowy czas.

CZĘŚĆ TRZECIA
UMYŚŁ KONTRA CIAŁO
TAM,
GDZIE MIESZKAJĄ
WRÓŻKI

Godzinę później, gdy trzy kobiety w mundurach idą pakować swoje walizki, spieszę na ratunek ich więźniarce politycznej. Czuję się jak bohaterka filmu wojennego Na odsiecz szeregowej Pani Derwiz, gdy podkradam się do jeńca, ostrożnie, tak aby nie narobić hałasu. Rozkuwam ją przy pomocy pęsety. Pociera wyswobodzone z kajdanek nadgarstki, posyłając mi zmęczony uśmiech.

— Dziękuję ci, moja droga — mruczy.

Na koniec „operacji wyzwolenie” ukradkiem czmychamy z domu. Ja idę, a miniaturowa kobieta, która wczłogała się wcześniej do mojej torby, co pewien czas wystawia głowę, żeby się rozejrzeć. W chwili, gdy docieramy na ulicę, zaczynam narzekać.

— Nie mogę uwierzyć, że mi to robią. Czy one powariowały? Tym razem przekroczyły granicę.

Pani Derwiz słucha z uniesionymi brwiami, ale nic nie mówi.

— A teraz chcę, żebym poleciała do Stanów. Tak po prostu, bez namysłu — kontynuuję. — Wiesz co? Może powinniśmy obie chwycić za broń, zorganizować podziemny ruch oporu i obalić ich rządy. Nieźle byśmy je wkurzyły.

— Jestem pacyfistką. Nie walczę — odpowiada Pani Derwiz. — W konfrontacji z wrogiem pokonaj go miłością, tak naucza Gandhi.

— Z całym szacunkiem, nie zapominajmy, że pan Gandhi nie poznał Milady Ambicji Czechowskiej — mówię.

— Niemniej słoń nie połknie jeża.

— To znowu Gandhi?

— To slogan z czasów praskiej wiosny — wyjaśnia Pani Derwiz. — Z 1968 roku. Skoro inni mogli skandować tak przeciwko sowieckim czołgom, ty możesz powiedzieć każdej miniaturowej kobiecie wszystko, co zechcesz. Nigdy nie przestaje mnie zaskakiwać ta moja sufi.

— Rozejrzyj się dookoła, Elif. Co widzisz? — pyta Pani Derwiz.

Przechodnie spieszą ulicą w jedną i w drugą stronę, dojeżdżający do pracy stoją w autobusach publicznych, ściśnięci niczym sardynki w puszkach, handlarze uliczni sprzedają podróbki toreb projektantów, dzieci ulicy myją przednie szyby luksusowych aut, które zatrzymują się na czerwonym świetle, reklamy na billboardach kuszą szybkim zarobkiem i efektownym stylem życia — miasto niezliczonych sprzeczności. To widzę, gdy rozglądam się po Stambule.

— No dobrze, a teraz spójrz na siebie — prosi Pani Derwiz. — Co widzisz?

Kobietę rozdartą wewnątrz, częściowo skierowaną na Wschód, a częściowo na Zachód. Kobietę, która kocha świat wyobraźni bardziej od rzeczywistego; która rok po roku traciła energię na bezsensowne paradoksy, nieodpowiednie związki, uczucia błędnie brane za miłość; która wciąż nie uporała się z cierpieniem towarzyszącym dorastaniu bez ojca; która boi się, że Bogu może wcale na niej nie zależeć i która jest szczęśliwa i spełniona tylko wtedy, gdy pisze powieść. Jednym słowem, gdy na siebie patrzę, widzę „postać, która dopiero nabiera kształtów”. Ale mój

język nie chce współpracować, żebym mogła wyznać to głośno.

Pani Derwisz przerywa krępującą ciszę.

— Musisz uznać wszechświat za otwartą księgę, która czeka na czytelnika. Każdego dnia trzeba ją czytać strona po stronie.

Jej głos brzmi tak spokojnie i kojąco, że czuję się zażenowana własnym wybuchem sprzed minuty.

— Powiedz mi, jak mam rozumieć to, co się dzisiaj wydarzyło?

— Przygoda puka do twoich drzwi — przemawia Pani Derwisz, jakby trzymała w ręku niewidzialną filiżankę i wróżyła z fusów. — Jeśli nie wyjedziesz ze Stambułu, te trzy miniaturowe kobiety nie dadzą ci żyć. Od rana do nocy będą ci wiercić dziurę w brzuchu.

— Co ty nie powiesz? — odpowiadam, głośno wypuszczając powietrze.

— Uważam, że pewnego dnia powinnaś zawrzeć pokój z nami wszystkimi — stwierdza Pani Derwisz. — Miniaturowe kobiety kłócą się ze sobą tak bardzo, bo ty sama nie potrafisz się z nimi porozumieć. Uważasz, że niektórzy z nas są więcej warte od pozostałych. Chociaż w rzeczywistości wszystkie jesteśmy twoimi odbiciami. Wszystkie razem tworzymy całość.

— Chcesz, żebym zapomniała o różnicach między tobą a Miladą Ambicją Czechowską? Ależ wy jesteście całkiem inne!

— Nie musimy być identyczne. Łączy nas sedno. Gdybyś tylko mogła to zrozumieć. Dopóki nie pojmiesz, że każdy twój wewnętrzny głos jest częścią jednego kręgu, będziesz czuła się podzielona. Uczyni z nas wszystkich Jedność.

— Radzisz, bym je wszystkie przygarnęła, gdy tymczasem te łotrzyce przeprowadziły zamach stanu, na litość boską. Tylko pacyfistka ufa despotom. Nigdy na odwrót! Pani Derwisz kiwa głową, a jej ciepły uśmiech działa niczym pieścizna.

— Być może.

Spoglądam na nią, oczekując wyjaśnienia. A ona opowiada mi historię.

„Dawno temu żył pewien derwisz, który niewiele mówił. Pewnego dnia uciekł mu koń. Na wieść o tym przyszli do niego wszyscy sąsiedzi.

— To straszne — twierdzili.

— Być może — odpowiadał derwisz.

Następnego dnia znaleźli konia w towarzystwie wspaniałego ogiera. Wszyscy gratulowali derwiszowi i twierdzili, że to wspaniała wiadomość. Także i tym razem odpowiadał:

— Być może.

Tydzień później, gdy syn derwisza próbował dosiąść ogiera, spadł i złamał nogę. Przyszli sąsiedzi, żeby wyrazić żal.

— To potworne — wykrzyknęli unisono.

Na to derwisz odrzekł:

— Być może.

Następnego dnia w wiosce pojawili się urzędnicy państwowi i odkomenderowali młodych mężczyzn do strefy działań wojennych. Poszli wszyscy chłopcy z wyjątkiem syna derwisha, który leżał w łóżku ze złamaną nogą".

— Rozumiesz, co mam na myśli? — pyta Pani Derwisz.

— Chyba tak — odpowiadam.

— Chcę, żebyś potraktowała stypendium w Massachusetts nie jako coś, co zostało ci narzucone, ale jako szansę. Nie ma znaczenia, czy będziesz w Uncji, czy w Stanach Zjednoczonych. Ważna jest tylko podróż wewnętrzna. Nie będziesz podróżowała do Ameryki, ale w głąb siebie. Pomyśl o tym w ten sposób.

Podoba mi się jej niewzruszony spokój. Może rzeczywiście ma rację. Muszę nauczyć się przeżywać każdy dzień z moimi wewnętrznymi głosami spokojniej i pełniej. Mam dość nieustającego wojowania z nimi.

W nagłym przyływie zapału i chęci macham na przejeżdżającą taksówkę.

— W takim razie jedziemy — mówię, otwierając drzwi wozu.

— Dokąd?

— Na dworzec kolejowy — oświadczam, promieniejąc.

— Postanowiłaś pojechać do Ameryki koleją? — pyta Pani Derwisz, chichocząc pod nosem.

Potrząsam głową.

— Chcę tylko poczuć zapach pociągów...

*

Chcę spędzić trochę czasu na dworcu — wciągnąć w nozdrza jego dziwny, silny aromat, zapach ludzi pędzących w różne strony, ostrą woń nędzarzy śniących o dostatku, a potem orzeźwiający powiew nowych miejsc przeznaczenia. Zawsze gdy ogarnia mnie potrzeba kontemplowania tajemnicy albo obserwowania świata, zawsze gdy budzi się we mnie koczownicza, odwiedzam to miejsce.

Lotniska są sterylne, za czyste i zbyt dobrze strzeżone w porównaniu do stacji kolejowych, gdzie nadal biją serca tych, których życie nie rozpieszcza.

Budynek dworca Haydarpaşa, stary i majestatyczny, mieści zbyt wiele wspomnień. I podobnie jak wiele innych starych, majestatycznych budynków daje schronienie dziwnom i wróżkom. Przysiadają na wysokich oknach i przyglądają się pasażerom w dole. Obserwują, jak rozstają się pary, spotykają kochankowie, jednoczą rodziny, żegnają przyjaciół. Są świadkami tysięcy i jednej kłopotliwej sytuacji z udziałem synów Adama i córek Ewy, a mimo to nadal pozostajemy dla nich zagadkowi.

Jeśli kiedykolwiek się tam udasz i znajdziesz się na środku dworca, a potem staniesz nieruchomo w zgiełku, zamkniesz oczy i nastawisz uszu, usłyszysz szepty dworcowych dzinów i wrózek, wypowiadających dziwne słowniczym poezję w dawno zapomnianym języku.

Być może powtarzają za greckim poetą Konstandinosem Kawafisem:

Nowych nie znajdziesz krain ani innego morza.

To miasto pójdzie za tobą.

Zawsze w tych samych dzielnicach będziesz krążyć*.

* *W tłumaczeniu Z. Kubiaka (przyp. tłum.).*

KOBIETY,
KTÓRE
NAZWAŁY SIĘ
NA NOWO

Miałam osiemnaście lat, gdy postanowiłam zmienić nazwisko. Ogólnie byłam zadowolona ze swojego imienia: Elif, które jest dość popularne w Turcji i oznacza „wysoka i gibka” niczym pierwsza litera alfabetu otomańskiego, alef. Słowo to występuje w językach: arabskim, perskim, hebrajskim i tureckim, chociaż z tego, co wiem, tylko w tym ostatnim funkcjonuje jako imię żeńskie. Tamtego roku przeczytałam zbiór opowiadań Borgesa zatytułowany Alef i poznałam jego definicję tego słowa: praktycznie niewykrywalny punkt w przestrzeni zawierający wszystkie punkty. „Całkiem niezłe”, pomyślałam. Kipiąc próżnością właściwą dla młodego wieku, rozkoszowałam się myślą o przyporządkowaniu do litery, chociaż wołałabym zostać połączona z całym alfabetem.

Jednak moje nazwisko to coś zupełnie innego. Denerwowało mnie, że od kobiet oczekuje się przyjęcia nazwiska najpierw rodziny ojca, a potem męża. Gdy dorastałam bez ojca, za nic nie mogłam zrozumieć, dlaczego mam nazywać się tak jak on. Skoro uparcie trwałam w przekonaniu, że nigdy nie wezmę ślubu i nie przyjmę nazwiska małżonka, uznałam, że zasada utożsamiania się z mężczyznami mnie nie dotyczy.

Już jakiś czas rozmyślałam nad tym paradoksem, gdy zapadła decyzja o opublikowaniu opowiadania mojego autorstwa na łamach prestiżowego magazynu literackiego. Redaktor, czterdziestokilkuletni intelektualista, zadzwonił, by mi pogratulować i powitać w literackiej zagrodzie, która jego zdaniem „nie różni się od dżungli pełnej dzikich ego”. Przed zakończeniem rozmowy poprosił, żebym poinformowała o wprowadzeniu ewentualnych zmian, nim magazyn pójdzie do druku.

— Właśnie — powiedziałam pospiesznie. — Moje nazwisko, zmieniam je.

— Wychodzisz za męża? Gratulacje — powiedział.

— Nie. Nie o to chodzi — odparłam. — Postanowiłam nazwać się na nowo.

Zachichotał, tak jak mają w zwyczaju ludzie, którzy nie wiedzą, co powiedzieć. A potem bardzo wolno i głośno, jakby rozmawiał z dzieckiem z ubytkiem słuchu, wyartykułował:

— Dobrze, więc jak mamy podpisać twoje opowiadanie?

— Jeszcze nie wiem — przyznałam. — To bardzo ważna decyzja. Muszę się zastanowić.

Zapanowała krępująca cisza w słuchawce, a potem redaktor znów się zaśmiał.

— No tak, oczywiście, zrób to. Co w tym złego? Ale jako kobieta nie powinnaś zbyt często się tym przejmować.

Nawet jeśli wybierzesz najbardziej poetyckie nazwisko, skończysz z tym, które nosi twój przyszły mąż.

— Proszę dać mi jeden dzień — odparłam. Znajdę nazwisko, które zachowam na zawsze, bez względu na to, czy wezmę ślub, czy nie.

Każda nazwa to magiczne zaklęcie. Litery tańczą razem, a każda wiruje i rozłącza urok po swojemu, każda równie nieznaną jak kolejna; razem tworzą tajemnicę, którą skrywa nazwa. Niczym spowita mrokiem czarownica, litera po literze, składnik po składniku, częśćka języka, z którą jesteśmy utożsamiani, rzuca na nas zaklęcie. Istnieją nazwy, które pozwalają nam szybować wysoko na niebie, i takie, które ciężą i podstępnie ściągają nas w dół.

Mężczyźni nie odczuwają potrzeby zmiany nazwiska rodowego. Otrzymują tożsamość w chwili narodzin, ustaloną i stałą. Dziedziczą nazwisko po swoich ojcach i dziadach, a potem przekazują je dzieciom i wnukom.

A kobiety, bez względu na to, czy zdają sobie z tego sprawę, czy też nie, prowadzą w świecie nazwisk koczowniczy tryb życia. Jednego dnia otrzymują godność, innego ją tracą. Przez całe życie na różne sposoby wypełniają urzędowe formularze, składają wnioski o nowe paszporty i projektują kilka podpisów. Jako małe dziewczynki noszą nazwiska swoich ojców, a po zawarciu małżeństwa — swoich mężów. Po rozwodzie wracają do nazwiska panieńskiego — chociaż czasami zachowują miano rodowe męża, żeby ułatwić sobie życie, co niekoniecznie wychodzi im na zdrowie — a jeśli ponownie staną na ślubnym kobiercu, kolejny raz są poddawane przemianom.

Mężczyźni mają jeden stały podpis. Kiedy tylko znajdą taki, który im odpowiada, mogą zachować go aż do śmierci bez zmiany choćby jednej kreski. Z kolei kobiety mają co najmniej jeden „stary” i jeden „nowy podpis”, które czasem mylą. Podpis panny, podpis mężatki, podpis rozwódki — i tak w nieskończoność.

Także pisarki wielokrotnie nazywały się na nowo. Pod koniec XIX wieku turecka pisarka Fatma Aliye pisała powieści i nowele najczęściej w tajemnicy, ponieważ nie chciała denerwować męża ani rodziny swoją „niezależnością”. Pewnego dnia przestała używać swojego imienia i nazwiska, a kolejne dzieło wydała pod pseudonimem Kobieta. Bo właśnie nią była: kobietą. Wszystkimi kobietami. Pozbycie się nazwiska przypominało zrzucenie ciężkiej cumy mocującej ją przy brzegu. Gdy tylko przestała być panią Fatmą Aliye i została po prostu kobietą, mogła swobodnie wypłynąć na szerokie wody.

W latach pięćdziesiątych XX wieku w Turcji drukiem ukazała się powieść zatytułowana Genę Kizlar* autorstwa niejakiego Vincenta Ewinga. Książka szybko zyskała status krajowego bestsellera i spotkała się z ciepłym przyjęciem w mediach. Co dziwne, nikt nie znał pisarza. Żadnemu dziennikarzowi nie udało się przeprowadzić z nim wywiadu. Wiedzano, że był Amerykaninem, chrześcijaninem i mężczyzną. Turcy, którzy czytali jego książkę, mieli w pamięci właśnie te trzy fakty.

Mijały kolejne lata. Aż pewnego dnia podano do wia-

domości publicznej, że autor Genę Kizlar to w rzeczywistości młoda turecka muzułmanka. Nazywała się Nihal Yeginobali.

Gdy zapytałam, dlaczego postanowiła ukryć swoją tożsamość, usłyszałam intrygującą odpowiedź:

„Gdy napisałam Genę Kizlar, sama byłam jedną z nich. Powieść zawierała taką dawkę erotyzmu, jaka była uważana za niestosowną dla kobiety w moim wieku. Dlatego też zde-

* *Młode dziewczęta (przyp. tłum.).*

cydowałam się na męski pseudonim. W tamtych czasach książki tłumaczone z języków obcych cieszyły się większą popularnością. Postanowiłam więc, że twórcą mojej powieści powinien zostać Amerykanin. A mój wydawca udawał, że wydał przekład z angielskiego”.

Męski pseudonim, taki jak Vincent Ewing, czy określenie gatunkowe, takie jak Kobieta, funkcjonują niczym zbroja. Potrzebujemy większej ochrony, gdy piszemy o seksualności, kobiecości i ciele. Nie znam żadnego pisarza, który zadręczałby się strachem przed gniewem matki (albo babki, albo ciotek, albo sąsiadek, albo dalekich krewnych), gdy przyjdzie mu ochota napisać powieść przesyconą erotyzmem i obrazowo opisującą seks. Jeśli w ogóle tacy istnieją, z pewnością można policzyć ich na palcach jednej ręki. Tymczasem to zwykle kobiety zamartwiają się, czy otrzymają zgodę na opowiedzenie historii — osobistej albo rodzinnej. Z tym problemem borykają się pisarki na całym świecie. O tej niemej presji Margaret Atwood pisze w intrygującym eseju poświęconym jej stryjecznym babkom. „Kobiety najsilniej odczuwają nacisk rodziny, tym większy, im silniejszą tworzy ona grupę”, twierdzi. Od Turcji po Kanadę, od społeczeństwa uprzemysłowionego po postindustrialne, kobiety, które chwytają za pióra, przekraczają kilka niewidzialnych granic w małżeństwie, rodzinie, grupie i społeczeństwie. Za każdą z nich mogą kryć się bodźce popychające do zmiany nazwiska i ukrycia powiązanej z nim informacji o płci.

Nie bez powodu inna sławna autorka, być może najwspanialsza powieściopisarka epoki wiktoriańskiej, wybrała męski pseudonim — zdeterminowana, sprytna, wytrwała Mary Ann Evans, znana jako George Eliot. W Wielkiej Brytanii na początku XIX wieku kobiety miały głos w świecie literatury — przy czym większość z nich pisała o romansach, miłości i złamanym sercu, czyli o sprawach uważanych za stosowne dla kobiet. Tymczasem George Eliot otwarcie wyrażała niechęć do takiej beletrystyki. Pragnęła tworzyć na równych zasadach z kolegami po fachu. Chciała pisać „jak mężczyzna”, a nie „jak kobieta”.

Niechęć George Eliot do literatury kobiecej była tak wielka i nieposkromiona, że w 1856 roku napisała artykuł zatytułowany Silly Novels by Lady Novelists. Książki pióra tychże kobiet, w zależności od stopnia głupoty, zaliczyła do czterech grup, które opatrzyła nagłówkami: bezwartościowe, nużące, świętoszkowate i pedantyczne. Lubię ten niezwykle interesujący fragment, nie tylko dlatego że daje

mi wgląd w tradycję literacką zachodniego świata, ale ponieważ pokazuje, w jaki okrutny sposób pisarka może się wyrażać o przedstawicielkach własnej płci.

Niemniej Eliot miała wprawę w wyróżnianiu się z tłumu kobiet. W liście do Herberta Spencera, biologa i filozofa, zuchwale rzuciła wyzwanie konwencjonalnemu społeczeństwu i podkreśliła swoją odmienną względem pozostałych niewiast: „Przypuszczam, że jak dotąd żadna kobieta nie napisała takiego listu, ale nie wstydę się tego, ponieważ mam świadomość, że w świetle rozsądku i prawdziwej wytworności zasługuję na Pana szacunek i wrażliwość bez względu na to, co myślą o mnie ordynarni mężczyźni i prostackie kobiety”.

Podobnie siostry Bronte czuły potrzebę zmian. Dopasowały pseudonimy do swoich prawdziwych inicjałów. I tak Charlotte została Currerem Bellem, Anne przyjęła pseudonim Acton Bell, a Emily zamieniła się w Ellisa Bella. Łatwiej było ignorować uprzedzenia wobec kobiet, gdy nosiło się androgeniczne imiona. Siostry grały w tę szelmowską grę tak długo, jak mogły, musiały jedynie zwozić miejscowego listonosza, gdy przynosił im paczki. Rozwiązanie problemu pojawiło się wraz z dyspozycją, by całą korespondencję kierować do pana „Currera Bella, opiekuna panny Bronte”. Inną pisarką, która zdecydowała się na imienny transwestytyzm, była George Sand, chociaż czasami można odnieść wrażenie, że zwyczajnie chciała pozbyć się balastu swojego przydługiego tytułu: Amantine-Aurore-Lucile Dupin, baronowa Dudevant.

George Sand wyszła za mąż za barona M. Casimira Dudevanta w 1822 roku. Mieli dwoje dzieci. Jednak na długo, zanim para się rozstała, Sand z radością dostrzegła w niezależnieniu się od małżonka sposób na zerwanie więzi społecznych. Status rozwódki, samotnej i bogatej, pozwalał jej na znacznie więcej, niż wolno było innym kobietom; mogła podejmować działania, o których tamte mogły tylko marzyć.

Ponadto Sand zaczęła nosić męskie ubrania, a plotkarze z radością wzięli ją za to na języki. Jako arystokratka miała obowiązek wyglądać jak spod igły, przykładając wielką wagę do aparycji, sposobu mówienia i manier, ona zaś postąpiła dokładnie na odwrót, gdy wybrała wygodne i praktyczne męskie stroje. Jej słabość do palenia fajki wywołała jeszcze większy skandal. W czasach, gdy od kobiet oczekiwano wyłącznie tego, by były miłymi, towarzyskimi damami, ona paradowała ubrana jak mężczyzna, z fajką w zębach i radykalnymi poglądami w głowie. Niczym wysokie drzewo, które ściąga błyskawice, skupiała na sobie uwagę i gniew. W końcu odebrano jej tytuł arystokratyczny. Jednak nikt

nie mógł skonfiskować imienia i nazwiska, które dla siebie wybrała. Była i do dzisiaj pozostała George Sand.

Jak powiedział o niej kiedyś Iwan Turgieniew: „życiwa kobieta i dzielny mężczyzna!”.

Jane Austen pewnego razu się zakochała. Sama krytykowała kobiety, które wychodziły za mąż, by zdobyć bogactwo, pozycję albo poczucie bezpieczeństwa, i uparcie wierzyła, że

ślub można wziąć jedynie z miłości. Lecz chociaż kochała i była kochana, do zalegalizowania związku nie mogło dojść z powodu różnic klasowych. On nazywał się Tom Lefroy. Był młodym mężczyzną, który poza nazwiskiem nie miał nic, choć pewnego dnia miał zostać przewodniczącym Sądu Najwyższego Irlandii. W liście ze stycznia 1796 roku, zaadresowanym do swojej siostry Cassandry, Austen wyznała, że Tom jest miłością jej życia. Jednak szybko dodała: „Gdy otrzymasz ten list, będzie już po wszystkim. Łzy płyną mi z oczu, gdy piszę te smutne słowa”*. Ze złamanym sercem wycofała się do swojego narożnika, do swojego pisarstwa. „Sądzę, w całej swej próżności, że mogę poszczycić się tytułem najbardziej niedouczonej i najgorzej poinformowanej ze wszystkich autorek”, powiedziała. Oczywiście, minęła się z prawdą i dobrze o tym wiedziała. Austen posiadała rozległą wiedzę w wielu dziedzinach, jako że ojciec i bracia wyjątkowo zadbali o jej edukację, a później sama chłonęła wiedzę niczym gąbka. Miała cięty język i upodobanie do figlarności i sarkazmu.

* *Jane Austen, Listy wybrane, tłum. J. Kozak, Warszawa 1998, s. 27 (przyp. tłum.).*

Wiele lat później ponownie zaproponowano jej zamążpójście. Tym razem o rękę poprosił ją bardzo zamożny mężczyzna. Chociaż lubiła „samotną elegancję”, jak zwykła nazywać swoje staropanieństwo, przystała na jego propozycję. W końcu miała zostać żoną, założyć rodzinę i stworzyć własny dom. Z takimi myślami i nadziejami wcześniej położyła się spać. Następnego dnia po przebudzeniu od razu wysłała do swojego zalotnika liścik z przeprosinami. Postanowiła, że nie wyjdzie za niego za mąż. Często się zastanawiam, co wydarzyło się tamtej nocy. Jakie nierzeczywiste miejsce odwiedziła Jane Austen w swoich snach, że zmieniła zdanie? Czy miała koszmary? Czy wyobraziła sobie siebie, jak szoruje klatkę schodową stupiętrowego papierowego domu z wiadrem atramentu u boku i obserwuje, jak rozpada się każdy stopień, gdy ona czyści i czyści? Czy właśnie dlatego postanowiła zawrócić z obranego kursu?

Spośród wszystkich amerykańskich pisarek minionych pokoleń jedna zajmuje wyjątkowe miejsce w moim sercu: Carson McCullers. Być może dlatego, że natknęłam się na jej twórczość w okresie, gdy odkrywałam świat i siebie. Jej słowa bardzo mną wstrząsnęły. W ostatniej klasie liceum przeczytałam *Serce to samotny myśliwy*, chociaż bardziej od nazwiska autorki zainteresował mnie tytuł. Rok wcześniej, gdy przyjechałam do Ankary z Madrytu, gdzie spędziłam swoje nastoletnie lata, cieszyłam się w szkole sporą popularnością, nawet jeśli tylko przez kilka tygodni. Dzieciaki z mojej klasy z zachwytem przyjęły wiadomość, że nie tylko znam hiszpański, ale także widziałam walki byków. Jednak wkrótce do głosu doszła moja wewnętrzna introwertyczka i życzliwa ciekawość w oczach moich rówieśników wkrótce ustąpiła miejsca absolutnej obojętności, a później krytycznej rezerwie. Dziewczyny uważały mnie za odludka,

a chłopcy sądzili, że jestem dziwna, nauczyciele mieli mnie za małomówną, a ja ufałam wyłącznie książkom. I wtedy poznałam Carson McCullers.

Byłam turecką nastolatką, która nigdy nie odwiedziła Ameryki, a mimo to historie o samotnych ludziach Południa poruszyły mnie do żywego. Jednak to nie wszystko. Po dwudziestu stronach po prostu musiałam lepiej poznać kobietę, która potrafiła tak pisać.

Przyszła na świat jako Lula Carson Smith. Skracając imię do Carson, nie tylko chciała zwrócić na siebie uwagę, ale także wyjść naprzeciw dwuznaczności, przez którą czytelnikom trudno było określić jej płeć. Nawiązywanie znajomości z rówieśnikami nie przychodziło jej łatwo i czasami potrafiła być naprawdę nieprzyjemna. Zamiast nosić pończochy, buty na wysokich obcasach i wąskie spódnice w stylu lat trzydziestych XX wieku, wołała paradować w podkolanówkach i tenisówkach, z radością wprawiając w zaskoczenie swoich kolegów i koleżanki. To interesujące, że ta obojętna na określone kanony piękna kobieta, gdy poznała miłość swego życia, Reevesa McCullersa, w pierwszej kolejności zwróciła uwagę na jego wygląd.

„Przeżyłam wstrząs, wstrząs wywołany czystym pięknem, gdy ujrzałam go po raz pierwszy”. Choć ich związek nie był pozbawiony wątpliwości (w pewnym momencie się rozwiedli, a potem pobrali ponownie), pozostali nierozłączni przez prawie dwadzieścia lat, aż do dnia jego śmierci. A zatem światowa historia literatury pełna jest kobiet, które zmieniły zdanie, swoje przeznaczenie, a także imię i nazwisko.

Następnego dnia rano zadzwoniłam do redaktora.

— Cześć, Elif... miło cię słyszeć — powiedział pośpiesznie, po czym zamilkł. — A może zmieniłaś imię? Mam zwracać się do ciebie inaczej?

— Dzwonię właśnie w tej sprawie — wyjaśniłam.

— Wiem, jak chcę się nazywać. I chcę, żeby właśnie tak podpisano moje opowiadanie.

— Dobrze — odparł, kolejny raz bardzo wolno i głośno. Do tej pory zdążyłam pojąć, że przemawiał tak, ilekroć nie wiedział, dokąd zmierza rozmowa. — Jak to jest odrzucić dawną tożsamość?

— To akurat łatwe — odparłam. — Trudno natomiast znaleźć nową.

— Mhm... — mruknął ze współczuciem.

— Zbierałam informacje o życiu pisarek, przeglądałam słowniki, czytałam anegdoty literackie, szukałam niezwykłych imion i nazwisk. To znaczy nie chciałam dorównać kreatywnością Davidowi Bowie, który nazwał dziecko Zowie, ani Frankowi Zappie, który dla swojego potomka wybrał określenie Moon Unit*. Choć może łatwiej nadać imię noworodkowi, który ma nieskończony potencjał, a przed nim mnóstwo niewiadomych, niż swojemu staremu, dobrze znanemu, ograniczonemu ja.

— David Bowie nazwał dziecko Zowie Bowie? — zapytał.

— Dokładnie — potwierdziłam.

— Rozumiem. Kontynuuj.

* *Jednostka Księżycowa (przyp. tłum.).*

— Miałam kiedyś chłopaka, który chciał, żeby wszyscy zwracali się do niego Do Połowy Pełna Szklanka, bo twierdził, że to jego filozofia życia. Podpisał tak nawet dokumenty egzaminacyjne, czym wywołał śmieszne reakcje profesorów. A po zakończeniu nauki wstąpił do wojska. Po odbyciu służby nie chciał mieć nic wspólnego z Do Połowy Pełną Szklanką. Wrócił do dawnego imienia: Kaya, czyli skała.

— OK — odparł redaktor.

— Tak czy inaczej, uznałam, że nie muszę posuwać się do tego stopnia. Właściwie nie musiałam szukać daleko. Lepiej przyrzeć się temu, co się ma — powiedziałam.

— Postanowiłam zrezygnować z nazwiska ojca na rzecz imienia matki.

— Nie jestem pewien, czy nadażam — przyznał.

— Świt — odparłam. — Safak to imię mojej matki. Odtąd ja będę nosić takie nazwisko.

Miesiąc później wydano magazyn i po raz pierwszy ujrzałam swoją nową godność wydrukowaną na papierze. Nie czułam się dziwnie. Nie czułam się źle. Miałam wrażenie, że wszystko wróciło na swoje miejsce, jakbyśmy w tym świecie niezliczonych cieni i ech ja i moje nazwisko w końcu się odnaleźli.

ZBIEGŁA PASAŻERKA

Pierwszego dnia września 2002 roku samolot tureckich linii lotniczych ze mną na pokładzie startuje ze Stambułu w kierunku Nowego Jorku. Maszyna jest wypchana studentami, biznesmenami i kobietami interesu, wykwalifikowanymi specjalistami, dziennikarzami, nauczycielami akademickimi, turystami i nowożeńcami w podróży poślubnej. Poza Turkami i Amerykanami są tam także Hindusi, Rosjanie, Bułgarzy, Arabowie i Japończycy, którzy przesiedli się z innych lotów. To będzie moja pierwsza wizyta w Ameryce. Myślę o Anais Nin, która przybyła do Stanów Zjednoczonych w 1914 roku z futerałem na skrzypce swojego brata w jednej ręce i nie zapisanym jeszcze pamiętnikiem w drugiej. Uśmiecham się do ciekawskiej dziewczynki, którą widzę oczyma wyobraźni, gdy nagle moją uwagę przykuwa coś, przez co poważnieję.

Młody, tyczkowaty mężczyzna dwa rzędy przede mną uśmiecha się do mnie z zakłopotaniem. Sądzi, że mój uśmiech jest skierowany do niego. Nie mam możliwości wytłumaczyć mu, że chodzi o Anais Nin. Dlatego żeby uniknąć dalszych nieporozumień, zsuwam się niżej na swoim fotelu i ukrywam twarz za książką *In Favor of the Sensitive Man and Other Essays*.

Wkrótce po posiłku ruszam do toalety. Kątem oka sprawdzam, co czytają inni pasażerowie, zapuszczam żurawia w prawo i w lewo, by rozszyfrować tytuły trzymany przez nich książek. Zauważam, że kilku mieszkańców Zachodu wybrało tytuły traktujące o Turcji i Stambule (w tym

powieść mojego autorstwa), co mnie intryguje, ponieważ większość turystów zbiera informacje przed pobytem w obcym kraju, a ledwie garstka nie ustaje w wysiłkach także po.

Dwie toalety są wolne. Jak tylko otwieram drzwi pierwszej z nich i wchodzę do środka, zastygam w bezruchu. Właśnie tam, tuż obok dozownika z mydłem przy umywalce, stoi miniaturowa kobieta. Już mam powiedzieć „przepraszam” i wyjść, gdy słyszę jej głos.

— Nie, zostań, proszę... Chcę z tobą porozmawiać. Posyłam nieznajomej pytające spojrzenie. Trochę przypomina pozostałe członkinie Chóru Niewspółbrzmiających Głosów. Nie jest wyższa od nich, ale najwyraźniej waży nieco więcej. Ma dobrotliwą, okrągłą, piegowałą twarz, szpiczasty podbródek, włosy w kolorze kawy po turecku i niezwykle niebieskie, hipnotyzujące oczy. Nie jest umalowana, jeśli nie liczyć kresiek wokół oczu i chyba odrobiny tuszu na długich rzęsach, chociaż nie mam pewności. Wygląda na trzydzieści kilka, najwyżej trzydzieści pięć lat. Jestem pewna, że nie widziałam jej nigdy wcześniej.

— Kim jesteś?

— Nie poznajesz mnie? — odzywa się kolejny raz. Jej głos zdradza, że czuje się urażona.

Lustruję ją wzrokiem od czubka głowy po koniuszki palców u stóp. Jest ubrana w niebieskozieloną sukienkę do kolan. Czerwone buty na płaskich podszewkach, pasek w tym samym kolorze, beżowe pończochy z nylonu. Pofalowane włosy zebrała w kucyk skromną gumką. Pucułowate policzki zawdzięcza dodatkowym kilogramom, ale sprawia wrażenie pogodzonej z własnym ciałem. Jej twarz nie wyraża napięcia typowego dla Paniienki Praktycznej, która wciąż liczy kalorie.

— Jestem jednym z twoich wewnętrznych głosów — wyjaśnia w końcu.

— Naprawdę? Nigdy wcześniej cię nie widziałam. Dopiero się pojawiłaś?

— Właściwie dotrzymuję ci towarzystwa, odkąd jako mała dziewczynka bawiłaś się domkami dla lalek — odpowiada.

Zdezorientowana i ogłupiała pytam ją o imię.

— Mówią na mnie Mamcia Pudding Ryżowy.

Wybucham śmiechem, ale na widok jej niezadowolonej miny tłumię chichot i przywołuję powagę.

— Rozumiem, że bawi cię moje imię — stwierdza oziębło.

— Przepraszam, nie chciałam cię urazić — odpowiadam.

Gdy milczę skruszona, uśmiecha się.

— Boli mnie, że imiona pozostałych nie wydają ci się ani trochę zabawne — informuje. — Nie śmiejesz się z Milady Ambicji Czechowskiej ani Panny Intelktualistki Cynicznej. Mam rację?

Nie mogę temu zaprzeczyć i nie mam nic na swoją obronę.

— Nazywam się tak, jak się nazywam, bo wyobraź so-

bie, że jestem osobą z wielkim sercem i silnie rozwiniętym instynktem macierzyńskim — kontynuuję, wyrzucając ręce w górę, by zwrócić na siebie uwagę.

— Naprawdę? — mruczę pod nosem.

— Tak. Lubię wieszać na werandzie bambusowe dzwonki wietrzne, uprawiać begonie w ślicznych małych doniczkach, marynować warzywa latem, robić marmoladę z różowych grejpfrutów... No wiesz, podsycać płomień domowego ogniska. Wiem, jak wywabić plamy atramentu z dywanów, co zrobić, gdy wylejesz oliwę z oliwek na swoją najlepszą spódnicę, jak doczyścić zardzewiały dzbanek na herbatę. Znam mnóstwo przydatnych sztuczek. Piekę ciasta i robię desery. W tym miesiącu jeden z moich przepisów ukazał się w programie kulinarnym. Nazwali go Niebiański pudding ryżowy Mamci.

Milczę przez prawie minutę. Jestem pewna, że musiało zajść nieporozumienie, i zastanawiam się, jak ją o tym uprzejmie poinformować. Nie ma mowy, żeby ta miniaturowa kobieta była jednym z moich wewnętrznych głosów. Nie potrafię nawet rozbić jajek na omelet ani nie mam cierpliwości, by zagotować wodę na herbatę. Nienawidzę prac domowych i tym podobnych obowiązków i unikam ich, jak tylko mogę. Moi przyjaciele nie muszą o tym wiedzieć, ale mogłabym mieszkać w pokoju, który nie byłby sprzątny całymi dniami, a nawet tygodniami, a gdyby zaczął wyglądać naprawdę paskudnie, wołałabym go przemeblować, niż doprowadzić do porządku. A gdyby cały dom zarósł brudem, wołałabym przenieść się do nowego, niż odkurzać, szorować i polerować. Mam do tego taki sam stosunek jak gość hotelowy — niefrasobliwy i powściągliwy: lubię zasypiać ze świadomością, że następnego dnia nie będę musiała pracować i prasować prześcieradeł.

Mamcia Pudding Ryżowy sznuruje wargi, po czym je wydyma, jakby znała moje myśli.

— Nigdy nie pozwoliłaś mi dojść do głosu, ani razu! Umieściłaś mnie w schowku swojej osobowości, a potem o mnie zapomniałaś. Przez tyle lat czekałam, aż zaakceptujesz i pokochasz mnie taką, jaką jestem.

W tej chwili odzywają się we mnie wyrzuty sumienia, głośniejsze niż do tej pory. Czuję się jak staroświecki, konserwatywny rodzic, który wyrzekł się syna homoseksualisty i udaje, że nie wie o jego istnieniu. Czy właśnie tak postąpiłam z tą częścią mnie, która jest odpowiedzialna za macierzyństwo?

— A co z innymi miniaturowymi kobietami? — pytam.

— Wiedzą o tobie?

— Oczywiście — odpowiada Mamcia Pudding Ryżowy.

— Ale wolą ci nie mówić o mnie ani o tej drugiej panience.

— Kogo masz na myśli?

Ignoruje moje pytanie.

— Tak jak wiele młodych kobiet chcę wyjść za mąż, założyć suknię ślubną, wsunąć na palec pierścienek z brylantem, wychowywać dzieci i krążyć po supermarketach w poszukiwaniu okazji cenowych. Ale ty stłumiłaś wszystkie moje pragnienia. Tak bardzo nimi gardziłaś, że nie mogłam nawet o nich wspominać. Milczałam, stłamszona

i odrzucona.

Kolejny raz myślę o Anais Nin — energicznej kobiecie, która powiedziała kiedyś, że zwykle życie jej nie interesuje; która wierzyła, że krytyczna pisarka, taka jak ona, nigdy nie sprawdzi się w roli gospodyni. Bywała niesforna, najczęściej prowadziła niezorganizowane życie i miała u swego boku więcej niż jednego kochanka. „Życie kurczy się lub rozwija proporcjonalnie do czyjejś odwagi”, mawiała.

— O czym myślisz? — pyta Mamcia Pudding Ryżowy.

— O Anais Nin... — mruczę, chociaż nie spodziewam się, by moja rozmówczyni знаła tę autorkę.

Ale ona mnie zaskakuje.

— Ci podminowani awangardowi pisarze! — wyrzuca z siebie. — Wiesz, na czym polega twój problem? Za dużo czytasz.

— Chwileczkę, co to w ogóle ma znaczyć?

Ale ona dalej grzmi o okropnym wpływie książek na moją duszę, coraz bardziej ulegając emocjom.

— Przekonałaś siebie, że nie możesz być normalną kobietą. Dlaczego krzywo patrzysz na zwyczajność? Widzę, że ta rozmowa zaczyna mieć podtekst polityczny, próbuję więc rozegrać to po swojemu tak delikatnie, jak tylko potrafię.

— Hmm... Panna Intelktualistka Cyniczna zawsze powtarza, że wszelkie nieszczęścia, które spotkały ludzkość, zostały wywołane przez zwykłych śmiertelników. Cytuje genialną żydowską filozofkę, Hannah Arendt, która dowodzi, że faszyzm trwał i rósł w siłę nie dzięki złym ludziom o niegodziwych zamiarach, ale dzięki tym z w y - czajnym, z dobrymi intencjami.

— O mój Boże — mówi, wywracając oczami. — Nie widzisz, co ty sobie robisz? Ja mówię o małżeństwie, macierzyństwie i ciasteczkach, a ty nawiązujesz do Hitlera i nazistów.

Zdumiona gapię się na nią szeroko otwartymi oczami.

— Zapomnij o pozostałych miniaturowych kobietach

— kontynuuje. — Przez lata cię osłabiały. Nie lekceważ piękna prozy życia, szukania prostych przyjemności. Ty i ja możemy się doskonale razem bawić.

— Naprawdę? Niby jak?

Uśmiecha się promiennie.

— Co tydzień możemy jeździć na targ kupować organiczne cukinie. O świcie możemy wystawać przed sklepami z termosami w rękach i wpadać do środka w tej samej sekundzie, w której otworzą się drzwi, żeby złapać wszystkie przecenione produkty przed całą resztą. Możemy ozdobić twój dom pachnącymi świecami i kwiatami w odpowiednich kolorach od piwnicy aż po dach. Uwierz mi, że to pokochasz. Czy kiedykolwiek przygotowałaś pięknie zastawiony stół do kolacji? Czy wiesz, jakie to przyjemne, gdy rodzina i znajomi komplementują twoje umiejętności kulinarne?

Zanim mam szansę udzielić oczywistej odpowiedzi, nagle rozlega się hałas przy drzwiach. Uchylam je nieco i zerkam na zewnątrz.

Ku mojemu zaskoczeniu okazuje się, że przed toaletą czeka kolejka z Milady Ambicją Czechowską w ciemnoniebieskim mundurze generalskim na czele. Tupiąc wojskowymi butami i wierząc się nerwowo, sprawia wrażenie osoby, która koniecznie musi skorzystać z toalety.

Cień paniki przesuwa się po twarzy Mamci Pudding Ryżowy.

— O nie! Tylko nie ten potwór!

— Co mam zrobić? — pytam.

— Proszę, nie mów im, że tutaj jestem. Te wiedźmy rozerwą mnie na strzępy!

Ma rację. Milady Ambicja Czechowska ze swoją zawziętością, Panna Intelktualistka Cyniczna ze swoim pesymizmem i Panienska Praktyczna ze swoją nietolerancją wobec wszystkiego, czego przygotowanie zajmuje więcej niż dziesięć minut, rozszarpałyby Mamcię Pudding Ryżowy. Muszę obronić ją przed siostrami.

— Nie martw się, przy mnie nic ci nie grozi. Nie wydam cię.

Uśmiechając się ciepło, delikatnie ścisną moją dłoń. Jej dłonie nie są tak wypielęgnowane ani zadbane jak dłonie Panienski Praktycznej; nie nosi pierścionków jak Milady Ambicja Czechowska ani nie obgryza paznokci jak Panna Intelktualistka Cyniczna. Ma różowe, pulchne palce, szorstkie od ciężkiej pracy. Zdumiewa mnie uczucie, które do niej żywię. Skoro przemawia przez nią moja matczyzna natura, czy to nie dziwne, że chcę jej matkować?

— Chwileczkę. Jak zamierzasz przekroczyć amerykańską granicę? — pytam nagle. — Masz wizę?

— Nie mam — odpowiada. — Na lotniskach nikt nawet nie przeszukuje takich miniaturowych kobiet jak ja. Rozumiem dlaczego. W najmniejszym stopniu nie przypomina terrorystki.

— Nie przejmuję się światem zewnętrznym — wyjaśniam. — Po prostu trzymaj ten sabat miniaturowych czarownic z dala ode mnie, a nic mi nie będzie.

— W porządku.

— Obiecuję, proszę, że nie pozwolisz im znowu mnie stłamsić.

Gdy rozmyślałam, jak ominąć to żądanie i wydostać się z toalety bez zwrócenia uwagi Calineczek czekających na zewnątrz, samolot wpada w turbulencje. Pilot prosi wszystkich o powrót na miejsca i zapięcie pasów.

Kilka sekund później otwieram drzwi. Kolejka zniknęła, a Milady Ambicja Czechowska siedzi już na swoim fotelu.

— Czysto na horyzoncie — zwracam się do Mamci Pudding Ryżowy. — Możesz ruszać.

— Już idę — odpowiada z napięciem w głosie. — Ale nie złożyłaś mi jeszcze obietnicy.

To jeden z tych momentów, w których powinnam zachować całkowitą szczerłość i wyznać prawdę, ale czy to z grzeczności, czy zwykłego tchórzostwa po prostu nie mogę. Zamiast tego mówię jej to, co chce usłyszeć, chociaż dobrze wiem, że nie dotrzymam słowa.

— Przysięgam, że nie pozwolę pozostałym Calinecz-

kom cię uciszyć.

Szeroki uśmiech rozjaśnia jej twarz.

— Dzięki. Wiem, że mogę ci zaufać.

— A tak przy okazji, kim jest ta druga babka, o której wspomniałaś? — słyszę własne pytanie.

— Poznasz ją w stosownym momencie.

— Ale czemu się ukrywa?

— Ona się nie ukrywa. Żadna z nas tego nie robi. To ty ignorujesz nasze istnienie. Przez lata poświęcałaś całą uwagę Paniencie Praktycznej, Pannie Intelektualistce Cynicznej, Milady Ambicji Czechowskiej i Pani Derwisz.

— Rozumiem — odpowiadam, chociaż nie mam absolutnej jasności.

— No dobrze, na nas już czas.

— Miło było cię poznać.

— Wzajemnie — odpowiada, czerwieniąc się. — Pewnie niedługo się spotkamy.

Z uśmiechem wymyka się za drzwi, a ja zostaję w toalecie jeszcze przez kilka sekund. Trochę drzę, chociaż nie wiem, czy to z powodu turbulencji, czy mętluku, który mam w głowie.

Dociera do mnie, że nie znam siebie zbyt dobrze.

Przez całe dorosłe życie faworyzowałam niektóre swoje wewnętrzne głosy kosztem innych. A ilu jeszcze nie poznałam?

Wracam na miejsce.

Do chwili, gdy koła samolotu dotykają lotniska w Nowym Jorku, myślę tylko o tym.

UROCZYSTE PRZYJĘCIE

Simone de Beauvoir nawet ponad pięćdziesiąt lat po śmierci wciąż pozostaje diwą historii ruchu feministycznego. Na jej pogrzebie w 1956 roku tysiące żałobników usłyszały niezapomniane zdanie: „Kobiety, zawdzięczacie jej wszystko” — zdanie mówiące wiele o jej charyzmie i legendarnym spadku, który po sobie zostawiła. Nie trzeba zgadzać się ze wszystkimi jej poglądami ani darzyć jej sympatią, ale nie można zignorować jej twórczości ani spuścizny intelektualnej.

„Nie rodzimy się kobietami, stajemy się nimi” — to jej słynne zdanie. Przez wieki dziewczynki uczono, że ich najważniejsze życiowe role dotyczą seksualności, rodzenia dzieci i macierzyństwa. Młode kobiety mające do wykonania tak nieskomplikowane zadanie jak przedłużenie gatunku ludzkiego rzadko, jeśli w ogóle, zachęcano do kontynuowania nauki i rozwijania własnych talentów. W latach czterdziestych XX wieku we Francji macierzyństwo było niemal świętym obowiązkiem, niekwestionowanym i otoczonym najwyższą czcią. Simone de Beauvoir wiedziała, o czym mówi, gdyż jej matka była zagorzałą katoliczką. Prowadząc zawziętą wojnę przeciwko mieszczańskim normom, kwestionowała instytucje małżeństwa i macierzyństwa. Powiedziała, że wiele kobiet pragnie odnaleźć się na nowo w swoich dzieciach. Ona sama jednak nie miała tej „potrzeby psychologicznej”. Razem z Sartre'em tworzyli

oddaną sobie, choć swobodną parę — niezależną, samodzielną i samowystarczalną. Małżeńskie, mieszczańskie życie obfitowało w kłamstwa, oszustwa i nierealne przysięgi wierności. Zdeterminowani, by nie powielać błędów swoich rodziców, zawarli pakt: będą mówili sobie wszystko. Oboje byli otwarci na „doświadczanie przypadkowych romansów”. Poza tym ona wierzyła, że macierzyństwo klóci się z życiem pisarki i intelektualistki, które dla siebie wybrała. Potrzebowała czasu, skupienia i wolności, aby podążać za ideałami.

W Drugiej płci de Beauvoir stale powtarza sławne dictum Hegla, że narodziny dziecka często idą w parze ze śmiercią rodziców. A mimo to, wbrew zdecydowanym poglądom na małżeństwo i macierzyństwo, w twórczości de Beauvoir widać ślady innej prawdy: gdyby Sartre chciał mieć dzieci, ona zostałaby matką, żeby zrobić mu przyjemność. Uwielbiała go. W jej przekonaniu słońce nowego społeczeństwa wschodziło w jego oczach. Był jedynym mężczyzną, którego bardziej szanowała niż pożądała; mężczyzną, którego pracą, czasem i pomysłami musiała dzielić się z setkami innych ludzi, wśród których znajdowały się niekiedy kobiety znacznie piękniejsze i znacznie ambitniejsze od niej. Mimo to wiedziała, jak bardzo wyjątkowa jest dla niego. Od dnia, w którym skrzyżowały się ich ścieżki w 1929 roku, gdy oboje studiowali w École Normale Supérieure, był dla niej towarzyszem, kochankiem, ojcem, synem, bratem, nauczycielem, najlepszym przyjacielem i nieprawdopodobnym snem.

Niech nikogo nie zwiodą czułe słówka, których używała w adresowanych do niego listach: „mój maleńki” albo „moja droga istotko”. W jej oczach był olbrzymem — mężczyzną, do którego przez cały czas zwracała się oficjalnie per pan. Gdyby chciał założyć rodzinę, prawdopodobnie wysłałaby mu naprzeciw, chociaż nie miała wątpliwości, że macierzyństwo nie jest dla niej. Pomimo bólu, który sprawiała jej niewierność Sartre'a, wytrwale broniła zawartego przez nich paktu. Simone de Beauvoir była kobietą wzorowych analiz i niespodziewanych konfliktów.

Podczas gdy ogół społeczeństwa nie był gotowy na krytykę macierzyństwa, kręgi intelektualistów — z definicji postępowe i wolne od uprzedzeń, nie wspominając o tym, że w przeważającej części męskie — okazały się w równym stopniu nieprzygotowane. W świecie książek panowała cisza jak makieł zasiał, gdy chodziło o takie sprawy, jak zespół napięcia przedmiesiączkowego, depresja poporodowa czy menopauza. Również prawie nikt nie pisał o trójce bermudzkiej „idealnej żony, pracowitej gospodyni i bezinteresownej matki”, w którego wirze tak wiele kobiet traciło swoje twórcze talenty. W takim właśnie środowisku de Beauvoir stawiała czoło głęboko zakorzenionym uprzedzeniom i stereotypom. Z zapalem pisała i mówiła o tym, jak kobiety „zmusza się do wybierania” między umysłem a ciałem.

W równym stopniu krytykowała te, które posłusznie przyjmowały nierówności płci i uważały się za gorsze od mężczyzn. „Nawet najmniejszy z mężczyzn postrzega

siebie jako półboga w porównaniu z kobietą", zauważyła. Jej umysł był żrący, pióro ostre, a osobowość wielce kontrowersyjna. Powiedziała kiedyś, że nie dziwi ją wymierzona

w nią nienawiść wielu przedstawicieli klasy średniej. „Gdyby było inaczej, zaczęłabym w sobie wątpić”.

*

Nie tylko zachodnie feministki kwestionowały wyidealizowaną świętość macierzyństwa. Także na Wschodzie trwały gorące debaty. Japoński ruch feministyczny rozpoczął dyskusję na temat wyrażenia bosei — „wrodzony instynkt macierzyński”. Postawiono tezę, że rola matki jest bardziej uwarunkowana kulturowo niż naturalnie i biologicznie. Zakwestionowanie stereotypów dotyczących płci przez japońskie pisarki było niczym podmuch świeżego powietrza. W 1983 roku Yuko Tsushima wydała książkę pod tytułem Chdji*, w której opisała losy niezwykle kobiety — nieprzejednanej, nonkonformistycznej rozwódki — rozdartej między realiami własnego serca a społecznym ideałem kobiecości. Choć nie uważała siebie za pisarkę feministkę, w swoich dziełach Tsushima krytycznie potraktowała tematy płci i seksualności. Może łączyła ją duchowa więź z inną japońską autorką minionego wieku, Toshiko Tamurą — jedną z pierwszych w kraju najbardziej otwartych pisarek — której tantiemy po jej nagłej śmierci w 1945 roku wykorzystano do ustanowienia nagrody literackiej dla pisarek. W historii zatytułowanej Onna Saku-usha** Tamura prezentuje scenę, w której wściekły mąż, także pisarz, udziela reprimendy swojej żonie, usiłującej napisać akapit. Według niego kobiety nie są dobrymi autorkami, brakuje im pewności i w swoim niezdecydowaniu mamują setki stron na napisanie zaledwie dziesięciu. Je-

* *Dziecko szczęścia (przyp. tłum.)*.

** *Pisarka (przyp. tłum.)*.

go słowa potwierdzają przekonanie, że mężczyźni tworzą z poważniejszych i bardziej wysublimowanych powodów, a zatem są rzetelniejszymi pisarzami, podczas gdy kobiety traktują pisanie jak hobby.

W tureckiej literaturze zapisała się równie wpływowa pisarka, której wyjątkowy głos niesie się echem po dziś dzień. W nieprzyjaznym środowisku lat siedemdziesiątych XX wieku, gdy kraj był podzielony między lewicę a prawicę, Sevgi Soysal ze wszystkich stron kwestionowała patriarchalne precedensy w swojej mądrej, potocznej prozie. Była pisarką kobiet żyjących na krawędzi — pomiędzy zdrowiem psychicznym a szaleństwem, społecznością a jednostką, nakrywaniem do stołu a lekceważeniem takich obowiązków, niekończącymi się poświęceniami a impulsywnym egoizmem. Stworzyła kobiece postacie, które lawirowały między życiem za innych a podążaniem za głosem serca. Jedną z jej niezapomnianych bohaterek jest Tante Rosa: „Tante Rosa zostawiła list. Zostawiła troje dzieci, w tym jedno nieodstawione jeszcze od butelki, przepis na pieczoną gęś i szarlotkę oraz instrukcje, jak czyścić obrus, dla

pokojówki, którą wprowadziła także w tajniki układania na półkach. Zostawiła ogródek z nagietkami, dom z drewnianą klatką schodową, wysokimi sufitami i zegarem stojącym; męża, który w każdy niedzielny poranek chodził do kościoła, a w każde niedzielne popołudnie wpełzał do jej łóżka; sąsiadki, które miały duże kapelusze w jasnych kolorach, zadzierające nosy dzieci, własnych mężów i pieczone gęsi. Zostawiła lewą pierś, tę, która zasłaniała jej serce. I odeszła".

Żeńskie postacie Soysal są w istocie przeciwieństwem „kobiety idealnej” tureckiego społeczeństwa. Popołniają błędy, potykają się na swoich ścieżkach i ranią sobie kolana, a mimo to za każdym razem jakoś udaje im się pozbierać. W innej powieści pisze o kobiecie imieniem Oya, która czuje się zagubiona wśród swoich pragnień i obowiązków. „«Pójdę w stronę morza, nieważne którego». Przed oczami staje jej piękna sceneria przy drodze ciągnącej się wzdłuż linii brzegowej, która zaczyna się w Alanyi i wije aż do Morza Egejskiego. Niebieskie. Bezkresne. Morze. Skąły. Las. A co z jej mężem? A co z jej domem? A co z jej dziećmi? A co z jej zobowiązaniami? W tej chwili nie ma żadnego błękitu, żadnej wolności, żadnego lasu. Są tylko obowiązki, które podkradają się coraz bliżej".

*

W wyobraźni organizują przyjęcie w niebie. Długi stół przykryty śnieżnobiałym obrusem, eleganckie sztucze i srebrne świeczniki. Ogromny, mieniący się kryształowy żyrandol wisi w centralnym punkcie. Jest pieczona gęś, jest ryż z szafranem i są apetyczne desery na olbrzymich talerzach. Simone de Beauvoir siedzi na wysokim krześle na jednym końcu stołu. Chociaż sprawia wrażenie nadąsanej, tak naprawdę przepelnia ją szczęście. Miejsce po jej prawicy zajmuje Toshiko Tamura w eleganckich okularach; je smażony ryż pałeczkami, w zamyśleniu chwyta każde ziarno. Z jej lewej strony siedzi Sevgi Soysal, której nie dopisuje apetyt, choć dobry nastrój jak najbardziej. Nucąc wolną melodię, popija wino z kieliszka.

Czy Francuzka, Japonka i Turczynka — trzy stanowcze pisarki, trzy niezależne jednostki, które żyły w różnych światach, ale mówiły tym samym językiem — mogą w tej chwili jeść kolację przy wspólnym stole? Lubię myśleć, że tak.

W POSZUKIWANIU BOGINI MATKI

Drugiego dnia stycznia wysiadłam z autobusu, na którego bokach wypisano wielkimi literami w jaskrawych kolorach PIOTRUŚ PAN. Nazwa odpowiada mojemu nastrojowi: czuję się jak chłopiec, który nie chce dorosnąć, a to miejsce z obcym krajobrazem i kapryśną pogodą równie dobrze mogłoby być Nibylandią. Ciągnę dużą, niebieską walizkę na kółkach i niosę klatkę dla kota, z tym że nie mam w niej zwierzęcia, ale cztery miniaturowe kobiety. Chociaż nie skarżyły się podczas jedenastogodzinnego lotu ze Stambułu, w trakcie półtoragodzinnego jazdy autobusem z Bostonu nieustannie marudziły i wymiotowały.

Kiedy tylko stoję na chodniku, panująca na kampusie cisza uderza mnie z taką siłą, jakbym dostała w twarz. Moje uszy tak bardzo przywykły do ciągłego chaosu i szalonego rytmu Stambułu, że obawiam się ewentualnej utraty słuchu. Widzę ludzi, ale nikt nie krzyczy, nie wrzeszczy ani nie gwizdże. Nawet wiewiórki zdają się stąpać na palcach, żeby nie hałasować. Ten spokój wyprowadza mnie z równowagi.

Ale sam kampus wygląda urzekająco. Jest rozległy i zielony jak okiem sięgnąć. Porastają go wysokie drzewa o gęstych koronach skrywających splecione tajemnice. Słychać rozmowy w dziesiątkach języków — uniwersytet daje schronienie ponad dwóm tysiącom studentek z prawie siedemdziesięciu krajów. Jedna na trzy pochodzi z zagranicy, tak jak ja.

Imponujący, kosmopolityczny college to realizacja wizji pewnej kobiety. W 1837 roku Mary Lyon, nauczycielka i idealistka, zaczęła opowiadać się za prawami studentek i domagać dla nich takiego samego poziomu edukacji, jaki zapewniano mężczyznom. W czasach gdy kobiety nie mogły głosować, jej opinie były dość radykalne. Jednak Mary Lyon wytrwała i po wielu bitwach i paru komplikacjach zdołała zgromadzić fundusze potrzebne na budowę college'u. Od tamtej pory tysiące kobiet zdobyło wykształcenie w Mount Holyoke i być może każda nowa absolwentka raduje ducha Mary Lyon.

W Mount Holyoke i sąsiednim Smith College mieściły się centra dowodzenia amerykańskiego ruchu feministycznego w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. Gdy stawiam stopę na terenie kampusu, tradycja jest tu wciąż żywa. Prócz feministek, postfeministek i półowicznych feministek (tych, które doceniają feminizm, ale niekoniecznie lubią feministki) jest tutaj mnóstwo wiccanek* poszukujących duchowego połączenia z Boginią Matką i całkiem sporo biseksualnych oraz homoseksualnych aktywistek.

To wszystko — wiewiórki i lesbijki — opisuję w kolumnie powszechnie czytanej tureckiej gazety, która cieszy się

** Wyznawczyni religii neopogańskiej rozpowszechnionej w Europie i Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.).*

popularnością w gronie konserwatywnych czytelników. Co zrozumiałe, reakcje na moje artykuły są różne. Ogólnie rzecz biorąc, moich odbiorców w Turcji najwyraźniej bardziej zaskakuje fakt, że nikt nie łapie wiewiórek i ich nie gotuje (oczywiście, Turcy nie gustują w wiewiórkach, więc nie wiem, skąd wziął się ten pomysł) niż widok kobiet ostentacyjnie trzymających się za ręce. Biorę to za oznakę postępu. Pewien plakat przykuwa moją uwagę już pierwszego dnia — przedstawia robotnicę w niebieskich ogrodniczkach, czerwono-białej bandance na głowie i koszuli z jednym podwiniętym rękawem, spod którego wylania się napięty, okazały biceps, niczym u Popeye'a. Zdobrzy ściany na całym kampusie. „Odniesiesz sukces, dumna i silna będziesz trwać w tym męskim świecie”, głosi

slogan widoczny na każdym kroku.

Drugiego dnia odkrywam budynek, który będzie moim ulubionym miejscem przez cały pobyt w college'u: gigantyczną, pretensjonalną, gotycką bibliotekę. To miłość od pierwszego wejrzenia. Włóżę się między regałami pełnymi książek. Jest tu wszystko — od rękopisów po literaturę współczesną, od filozofii politycznej po nauki botaniczne. Dotykam ich, wdycham ich zapach.

Ale nikt nie docenia biblioteki bardziej niż Panna Intelektualistka Cyniczna. Kiedy tylko dostrzega budynek, który z oddali przypomina zamek Roszpunkki, podskakuje z radości i wrzeszczy tak głośno, że uszkadza sobie struny głosowe.

*

Powoli mija jesień i drzewa gubią pierwsze liście; cały kampus tonie w barwach bursztynu, czerwieni i brązu. Codziennie rano razem z Panienką Praktyczną uprawiamy jogging. Pewnego dnia w drodze powrotnej robimy postój przy bibliotece.

Znajdujemy Pannę Intelektualistkę Cyniczną siedzącą na półce i pochyloną nad otwartą książką. Żeby przedostać się z jednego stosu książek na drugi, bierze do ręki zatemperowany ołówek i wykonuje skok o tycze. Korzysta także z drabiny sznurkowej, po której wspina się na wyższe półki. Przy każdym ruchu podzwaniają jej kolczyki z pacyfami i bransoletki. Na jej czarnej koszulce, która opada na dżinsy, widnieje napis: „BEZ WOJNY, BEZ RASIZMU, BEZ NIENAWIŚCI”.

— Cześć, sestro — wita się ze mną i nieznacznie marszczy brwi na widok Paniarki Praktycznej. Od przybycia do Ameryki konflikt między miniaturowymi kobietami znów stał się odczuwalny, a tymczasowa koalicja szybko się rozpadła.

— Co czytasz? — pytam.

— Sens i bezsens buntu — odpowiada.

Paniarka Praktyczna zerka zdezorionowana przez moje ramię.

— Kolejna historia o rybaku?

— Książka francuskiej krytyczki, Julii Kristevy, i tak się składa, że także jednej z największych myślicielek naszych czasów — obwieszcza Panna Intelektualistka Cyniczna.

— Mądrała, no nie? — rzuca Paniarka Praktyczna.

— W kompleksie Edypa widzi drogę do zrozumienia kobiet — kontynuuje Panna Intelektualistka Praktyczna raczej wyniosłym niż poirytowanym tonem. — Młoda dziewczyna uwielbia swoją matkę i naśladuje ją we wszystkim. Jednak później odkrywa, że nie ma penisa, co rodzi w niej poczucie wadliwości i niekompletności. Czuje się jak eunuch. By zrekompensować tę ułomność, przywiązuje się do ojca. Matka, którą tak kochała i podziwiała, zostaje zepchnięta na boczny tor i jest odtąd traktowana jak rywalka. Na tym etapie niektóre młode kobiety rozbudzają w sobie nienawiść do własnych matek.

Paniarka Praktyczna i ja słuchamy w milczeniu, z zapartym tchem.

— Pisarki są dotknięte kompleksem Edypa bardziej, niż

ci się wydaje. Wiedziałaś na przykład, czemu Sevgi Soysal została powieściopisarką? Zaczęła tworzyć w wieku ośmiu lat, bo zazdrościła rodzicom łączących ich relacji. Matkę traktowała jak przeciwniczkę, a pisaniem i wyobraźnią chciała zdobyć przychylność ojca.

— Naprawdę? — mówię.

— O tak. Pisze o tym w swoich pamiętnikach — wyjaśnia Panna Intelktualistka Cyniczna, jak zwykle wszechwiedząca. — Każde dziecko chce ponownie połączyć się z ciałem matki. Oczywiście to życzenie niemożliwe do spełnienia. Ta „jedność” przepadła dawno temu i raz na zawsze, ale dziecko nie może przestać za nią tęsknić. „Symboliczny porządek”, reprezentowany przez ojca, czeka na jednostkę, która nie może ponownie połączyć się z matką.

— Słucham? — wtrąca Panienka Praktyczna.

Potok słów Panny Intelktualistki Cynicznej płynie nieprzerwanie.

— By przetrwać w tym porządku, tłamsimy wyobraźnię, powściągamy nasze pragnienia i uczymy się „znormalizowanych” zachowań. Ale nieważne, jak bardzo się staramy, wyobraźni nie da się poskromić. Daje o sobie znać w najbardziej nieodpowiednich miejscach i w najdziwniejszych momentach. Semiotyka matki powstaje przeciwko symbolicznemu porządkowi ojca.

— Jakie to zagmatwane! — wykrzykuje Panienka Praktyczna. — Po co tak bardzo komplikować sobie życie? Ci francuscy myśliciele nie mają za grosz zmysłu praktyczności. Nic dziwnego, że francuskie kino jest takie dołujące. Panna Intelktualistka Cyniczna wbija wzrok w drugą miniaturową kobietę z protekcyjną miną, ale nic nie mówi. Jednak zwraca się do mnie:

— Kristeva wymienia trzy możliwości stworzenia przez dziecko własnej tożsamości. Po pierwsze, identyfikacja z ojcem i symboliką. Po drugie, identyfikacja z matką i semiotyką. Po trzecie, znalezienie niestabilnej równowagi gdzieś pośrodku.

Udaję, że dociera do mnie sens jej słów, ale Panna Intelktualistka Cyniczna nie daje się nabrać.

— Nie rozumiesz? Jeśli wybierzesz trzecią opcję, będziesz mogła wykorzystać w swojej pracy symboliczny porządek ojca i semiotykę matki.

— Hmm... Czy kiedykolwiek dokonał tego jakiś twórca? — pytam.

— Tak, siostró. Pomyśl o Falach Virginii Woolf. Pisała w stanie owej niestabilnej równowagi.

Nie protestuję. To może być prawda, chociaż nie musi.

Tworzenie literatury przypomina walkę z silnym nurtem.

Gdy płyniesz z prądem, nie myślisz: „A teraz dodam nieco porządku symbolicznego i szczyptę semiotyki matki”. Nie zgłębiasz problemów podczas tworzenia powieści. Za bar-

dzo pochłania cię zakochiwanie się w swoich postaciach.

Właśnie tego nie rozumie Panna Intelktualistka Cy-

niczna. Powieściopisarze piszą bez zastanowienia. Dopiero potem, gdy krytycy literaccy i badacze roztrząsają każde zdanie, pojawiają się teorie. I dopiero po przeczytaniu takich teorii ludzie odnoszą wrażenie, że powieściopisarze

celowo opowiadają swoje historie w ten czy inny sposób, co nie jest prawdą.

— Czegoś tutaj nie łapię — mówi Panienska Praktyczna.

— Dlaczego mnie to nie dziwi? — drwi Panna Intelktualistka Cyniczna.

— Ta cała teoria o macierzyństwie zawróciła ci w głowie. Semiotyka, symbolika, bukolika... Ale gdyby przyszło co do czego, poniosłabyś porażkę; jestem o tym przekonana.

— Prowadziłaby mnie wiedza — odpowiada Panna Intelktualistka Cyniczna.

— Jasne, daj spokój, siostrze, nie potrafiłabyś nawet zmienić pieluchy. Może i nie znam zbyt dobrze twoich teorii, ale ogarnęłabym macierzyństwo szybciej, niż biega Speedy Gonzalez.

Kształt brwi Panny Intelktualistki Cynicznej wskazuje, że ta uwaga nie przypadła jej do gustu. Nie zamierzam uczestniczyć w ich kłótni, więc wychodzę z biblioteki.

*

Spaceruję po kampusie. Dzięki temu, że pozbyłam się miniaturowych kobiet — nawet jeśli tylko na chwilę — robi mi się lżej na sercu; natychmiast wraca dobry nastrój. Niczym chodząca gąbka wchłaniam każdy widziany szczegół, każdy słyszany dźwięk, każdy wdychany zapach i zachowuję to wszystko w środku. Tak się dzieje, gdy jesteś obcokrajowcem; zbierasz drobiazgi niczym muszle na brzegu.

W stołówce stoję w kolejce tuż za parą lesbijek. Jedna z kobiet jest niska i ma krótkie, marchewkowe włosy. Druga, dość wysoka, jest w zaawansowanej ciąży Posuwamy się do przodu, popychając nasze tace centymetr po centymetrze. Gdy docieramy do deserów, słyszę szczebiot niższej kobiety.

— Został tylko jeden kawałek. Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli to weźmiemy?

Wysoko na szklanej półce, którą wskazuje kobieta, znajduje się porcja ciasta malinowego. Cofam się.

— Nie ma sprawy, proszę bardzo.

— Wielkie dzięki! Shirley od rana marzy o malinach...

— wyjaśnia moja rozmówczyni, puszczając do mnie oko.

— Och — odpowiadam. — Spodziewacie się dziecka.

To cudowne.

— Tak — potwierdza Shirley, klepiąc się po brzuchu.

— Sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, szachista i mistrz amatorskiego tenisa, zawodowy artysta, iloraz inteligencji powyżej stu sześćdziesięciu, wielbiciel buddyzmu i filozofii Dalekiego Wschodu...

— Słucham?

— Ojciec — wyjaśnia. — Wybrałyśmy go z tysięcy kandydatów w banku spermy... To dziecko będzie wyjątkowe. Coś w tym drobiazgowym planowaniu przyprawia mnie o dreszcze. Może nikogo nie powinno dziwić, że kobiety szukają wysportowanych, charyzmatycznych, zdrowych i wpływowych dawców nasienia. Jednak jako człowieka wychowanego wyłącznie przez matkę, zastanawia mnie, jakie to ma znaczenie dla dziecka, które nigdy nie pozna swojego biologicznego ojca. Poza tym wszystko to, czego nam brakuje — na przykład niebieskie oczy, umięśnione

ciało czy elokwencja — może pomóc nam w rozwinięciu cech, które drzemią głęboko ukryte. Wiele talentów wyłania się z cienia, rodzi się z potrzeby chwili. W dążeniu do posiadania idealnych dzieci ignoruje się zaskakującą rolę osobliwości, przypadków albo braków w indywidualnym rozwoju każdego z nas.

Wieczorem wracam do domu. Pomieszczenie, które zajmuję, ma czterdzieści metrów kwadratowych. Znajduje się w nim najmniejszy blat kuchenny z możliwych i przynajmniej tak skromnych rozmiarów, że mieści się w nim tylko połowa ciała.

Przedemną mieszkala tutaj malarka z Indii — ściany nadal pachną farbą — a przed nią socjolożka z Zimbabwe. Ten pokój gościł dziesiątki kobiet z całego świata. Hinduska artystka zostawiła po sobie plamy farby i misternie wykonany wałek do ciasta. Stypendystka z Zimbabwe zostawiła na ścianie przerażającą maskę, która rzuca długie, wąskie, hebanowe cienie.

A co ja zostawię mojej następczyni? „Przedemną mieszkala tutaj turecka pisarka”, powie pewnego dnia. Nie znajduję nic prócz słów, które mogę jej przekazać. Może zostawię jedno z moich ulubionych tureckich określeń, które istnieje także w języku angielskim: *kismet**.

Leżę na łóżku. Samotność, która jeszcze po popołudniu sprawiała mi tyle przyjemności, teraz psuje mi humor. Co ja tutaj robię, tak daleko od Stambułu, od moich najbliższych, od miejsca, gdzie powstają moje powieści, od przyjaciół, matki i języka ojczystego? Rzucam się na głęboką wodę tylko po to, by sprawdzić, czy umiem pływać?

A jeśli nie umiem?

* *Kismet* (tur.) — *los, fatum* (przyp. tłum.).

Przypominam sobie wypowiedź mojej matki na temat tego, jak dobrze radzę sobie w pojedynkę. „Zachowujesz się tak, jakbyś nikogo nie potrzebowała — powiedziała. — A powinnaś mieć ochotę na towarzystwo. Zbyt duża niezależność nie jest dobra. Powinnaś być zależna, nawet jeśli tylko w niewielkim stopniu”.

Takie słowa z ust kobiety, która odrzuciła propozycję ponownego zamążpójścia, by pokazać społeczeństwu, że nie potrzebuje „mężczyzny, który by się nią opiekował”, naprawdę mnie zaskoczyły. Niemniej teraz rozważam je w innym świetle.

Kobiety w moim wieku mają mężów, dzieci i koszyki piknikowe. Nie wskakują do autobusów z napisem PIOTRUŚ PAN i nie wałęsają się po Nibylandii. Powinno się to robić po przekroczeniu dwudziestki, tuż po zakończeniu nauki, gdy tak naprawdę nie rozpoczęło się jeszcze życia. Ale coś podobnego nie przystoi trzydziestopięcioletce. Do tej pory powinnam była odnaleźć jakiś ład i stabilizację. Kobiety w moim wieku zjadają rano jajecznicę w rodzinnym gronie i mają rytuały towarzyskie, które lubią powtarzać. A mnie nadal porywa wiatr, niczym latawiec, który zerwał się ze sznurka.

Członkiniom Chóru Niewspółbrzmiących Głosów ewidentnie się tutaj podoba. Zajmują się własnymi sprawami. Panna Intelktualistka Cyniczna najwyraźniej nigdy nie opuszcza biblioteki. W wolnych chwilach bierze udział w warsztatach albo konferencjach. Panienska Praktyczna chodzi na zajęcia informatyczne. Power Point, Excel, Linux i tym podobne. Gdy ostatnio widziałam Panią Derwisz, medytowała w miejscu, gdzie natura zachwyca swoim pięknem. A Milady Ambicja Czechowska nie opuszcza Internetu — nieustannie coś pisze, składa wnioski o to i tamto, szuka różnych rzeczy

Każda z nich jest w swoim świecie. Ale gdzie podziła się Mamcia Pudding Ryzowy?

Nie widziałam jej od spotkania w samolocie. Może nie przekroczyła amerykańskiej granicy. Może nie zdołała przejść przez odprawę paszportową. A może zabłądziła gdzieś w Nowym Jorku. Nagle czuję ukłucie w sercu. Czy można tęsknić za tą cząstką siebie, której się nawet dobrze nie zna? Ja mogę.

Zasypiając, rozmyślam o Mamci Pudding Ryzowy. Chciałabym ją lepiej poznać.

NA ZEWNĄTRZ WSZYSTKO WYGLĄDA NORMALNIE

Courtney Love powiedziała kiedyś: „Chciałabym zachowywać się przez większość życia w bardzo normalny, godny sposób, nawet jeśli mój umysł trawia chore wizje pełne przemocy, przerażenia, seksu i śmierci”. Jesteśmy normalni, dopóki tacy wydajemy się z zewnątrz. Ale co jest normalne? I jaką kobietę można nazwać normalną? Które kobiece cechy są naturalne? A które kulturowe? Czy dziewczynki są genetycznie predestynowane do bycia opiekuńczymi i emocjonalnymi istotami z rozwiniętym instynktem macierzyńskim, czy stają się nimi pod wpływem rodziny i społeczeństwa? A może naturalne i kulturowe przymioty są tak misternie ze sobą splecione, że już nie da się stwierdzić, które atrybuty kształtują których ludzi?

Przymiotniki występują parami. Jeśli istnieje „piękny”, to także i „brzydki”. Może podczas przygotowań do Wielkiego Potopu przymiotniki, tak jak zwierzęta, parami wchodziły na pokład Arki Noego. Dlatego zawsze myślimy o wszystkim w dualny sposób. Jeśli istnieje definicja idealnej kobiecości, to bez wątpienia została opracowana na podstawie ugruntowanej definicji idealnej męskości. Obie definicje i oczekiwania, które z nich wynikają, mogą być równie dobrze udręką prawdziwych kobiet i mężczyzn.

Gdy dorastałam, poznawałam dwa różne rodzaje kobiecości. Z jednej strony miałam moją matkę — wykształconą, nowoczesną, świecką Turczynkę z naleciałościami zachodniej kultury. Zawsze racjonalną. Zawsze konkretną. Z drugiej strony była jej mama, a moja babcia, która także się mną zajmowała i była gorzej wykształcona, bardziej uduchowiona i zdecydowanie mniej racjonalna. Ta kobieta wróżyła z fusów i przetapiała ołów w tajemnicze

kształty, by odeprzeć ataki złego oka. Przychodziło do niej wielu ludzi, niektórzy z ostrym trądzikiem na twarzy albo brodawkami na rękach. Babcia wypowiadała kilka słów po arabsku, brała czerwone jabłko i wbijała w nie tyle kolców róż, ilu brodawek chciała się pozbyć. Czarnym atramentem kreśliła koło wokół każdego kolca.

Część najżywszych wspomnień z mojego dzieciństwa dotyczy właśnie czerwonych jabłek, kolców róż i ciemnych kręgów. Szczerze mówiąc, nie widziałam, żeby ktokolwiek spośród ludzi z problemami skórnymi, którzy odwiedzali moją babkę, wyszedł od niej nieszczęśliwy albo nieuleczony. Pytałam, jak się jej to udaje. Czy to moc modlitwy? Odpowiadała: „Tak, modlitwa pomaga, ale strzeż się mocy kręgów”. Od niej nauczyłam się między innymi jednej bardzo ważnej rzeczy: jeśli chcesz coś zniszczyć — czy to krostę, trądzik, czy ludzką duszę — wystarczy, że otoczysz to murem.

Wtedy zamamieje.

Otrzymałam od życia wiele „irracjonalnych” lekcji, takich, które dzisiaj ogromnie cenię. Logicznemu na wskroś człowiekowi mogą wydawać się czystym nonsensem, a nawet szaleństwem. Dzięki społeczeństwu i kulturze uczymy się, co dokładnie jest normalne i akceptowalne. Terapie mojej babki były powszechne dla wielu przedstawicieli klasy średniej w moim sąsiedztwie w Ankarze na początku lat siedemdziesiątych XX wieku, chociaż niektórym mieszkańcom Wiednia mogłyby wydawać się dość dziwaczne. Jednak także jednostki różnią się między sobą w postrzeganiu tego, co normalne i nienormalne. Moja mama nigdy nie wierzyła w przesady, które ceniła babcia. „Kawa jest do picia, nie do wróżenia”, mawiała. A ja miałam mocne podejrzenie, że życie i miłość pełne są okruczeństw magii, a ktoś, kto na pozór wygląda jak księżę z bajki, z łatwością może zamienić się w szkaradną ropuchę.

Gdy my, twórcy beletrystyki, wymyślamy historię, nie potrzebujemy ograniczeń logiki. Wręcz przeciwnie, możemy bez zastanowienia wskoczyć do bezdennej jeziora irracjonalności. Możemy pisać o przesadach, magii i wróżkach. W literaturze jest miejsce na wszystko. Chociaż na co dzień dostosowujemy się do innego zestawu zasad, poruszając się w solidnym, racjonalnym świecie.

Przez wiele wieków na całej kuli ziemskiej od dziewczynek i kobiet oczekiwano dopasowania do pewnego zbioru cech, podczas gdy chłopców i mężczyzn przymierzano do innego. Jeśli dochodziło do sytuacji, w której na atrybuty jednostki składały się elementy z obu zbiorów, życie znacznie się komplikowało. Nawet dziś kobieta, którą uważa się za męską, może napotkać mur negatywnych reakcji, podobnie jak kobieta mężczyzna. Im bardziej społeczeństwo jest konwencjonalne, tym mniejsze istnieje prawdopodobieństwo, że oba zestawy się zazębią — przynajmniej pozornie. Jednak ekskluzywistyczne podejście do relacji między przedstawicielami obu płci w żadnym wypadku nie jest zarezerwowane dla tradycyjnych społeczeństw. Chociaż nieustannie się zmienia, jest zdecydowanie uniwersalne. Od starożytnych mitów po współczesne

komiksy, od folkloru po reklamy, ten dualistyczny sposób myślenia przeniknął do wielu dziedzin naszego życia. Dziwne, że także kobiety są przyzwyczajone do myślenia o sobie w ten sposób. Relacje, które tworzymy z innymi, rozmowy, które się między nami toczą, i to, jak wychowujemy własne córki, pozostają pod wpływem dychotomii wzorców zachowań płci.

Ile z mojej kobiecości to czysta biologia, a ile nauka wyniesiona z lekcji socjologii? Co w chęci zostania matką jest wrodzone, a co narzucone? Czy to zwykły zbieg

MĘZCZYZNA

Męski
Śmiały
Dominujący
Kultura
Dzień
Racjonalny
Umysł
Zrozumiały
Pion
W ruchu
Poligamiczny (albo wiele partnerek)
Działanie
Obiektywny
Logos
KOBIEȒA
Żeński
Skromna
Bierna
Natura
Noc
Emocjonalna
Ciało
Wrażliwa
Poziom
W miejscu
Monogamiczna
Mówienie
Subiektywna
Pathos

okoliczności, że zaczęłam rozmyślać o macierzyństwie po przekroczeniu trzydziestego piątego roku życia? Czy stało się tak, ponieważ tyka mój zegar biologiczny? A może to społeczny chronometr, który nieustannie zmusza nas, kobiety, do oceniania siebie przez pryzmat innych i gna do przodu?

Gdy wszystko zawiera tak duży ładunek kulturowy, skąd mam wiedzieć, które fragmenty mojego życia uznać za naturalne, a które za środowiskowe?

SIEDZĄC NA KRAWĘDZI

Zelda Sayre Fitzgerald urodziła się 24 lipca 1900 roku w Alabamie. Była nieustraszonym, pełnym wigoru dziec-

kiem. Matka darzyła ją ogromną miłością, nie bacząc na to, że być może rozpieszcza córkę, natomiast wiecznie nieobecny ojciec, budzący grozę sędziego, okazywał Zeldzie znacznie mniej uczuć i nie poświęcał jej wiele uwagi. I tak przez całe dzieciństwo oscylowała między dwiema emocjonalnymi skrajnościami. Jej charakter barwnie ilustruje pewna kłopotliwa sytuacja, którą wywołała jako dziecko. Któregoś dnia rano na lokalnym posterunku policji odebrano telefon z informacją, że po dachu chodzi dziecko. Kiedy funkcjonariusze dotarli pod wskazany adres, znaleźli małą Zeldę siedzącą na szczycie budynku. Nie bez trudu zdołali w końcu ściągnąć ją na dół. Nieco później wyszło na jaw, że to sama Zelda zadzwoniła na policję. Najpierw wykonała telefon, a potem wspięła się na dach, podczołgała do krawędzi, usiadła i czekała na ratunek. Mniej więcej właśnie taki był jej modus vivendi, aż do śmierci. Jako dorosła kobieta nieustannie zbliżała się do krawędzi, a potem spokojnie obserwowała wybuch paniki, jaki w ten sposób wywoływała.

Eseje i książki poświęcone Zeldzie Fitzgerald prawie zawsze koncentrują się wokół trzech faktów z jej życia:

1. Była żoną i największą miłością F. Scotta Fitzgeralda.
2. Sama miała wielki talent.
3. Została poddana długotrwałej terapii, cierpiała z powodu depresji i zmarła w zakładzie opieki psychiatrycznej.

Zelda i Scott Fitzgeraldowie poznali się pod koniec pierwszej wojny światowej. Każde z nich inaczej zapamiętało ich pierwsze spotkanie. Mężczyzna uznał kobietę za atrakcyjną i bystrą, ale przeszkadzało mu, że nieustannie flirtowała z innymi. A zatem na początku miał mieszane uczucia. Z kolei kobieta dostrzegła olśniewający umysł tego charyzmatycznego i utalentowanego człowieka. Zelda była kobietą, która musiała najpierw pokochać umysł mężczyzny, żeby oddać mu swoje serce.

Niesieni wiatrem pożądania i namiętności, pobrali się w kwietniu 1920 roku. Zapytany przez dziennikarza o największą życiową ambicję, Scott Fitzgerald odparł, że chce napisać najlepszą powieść w dziejach ludzkości i do śmierci kochać swoją najdroższą żonę. Mimo to od samego początku małżonkowie widzieli w sobie potencjalnych rywali. Fakt, że oboje ochoczo chwytała za butelkę w chwilach nawet najmniejszego przygnębienia, nie pomagał ich związkowi. W miarę upływu czasu kłócili się coraz gwałtowniej i krzywdzili coraz bardziej.

Alkohol, papierosy, nocne rozrywki nie były im obce. Żyli na pełnych obrotach. Jednak ich największym nałogiem była miłość, którą siebie darzyli. Zelda i Scott uwielbiali się, walczyli ze sobą i niszczyli się nawzajem w związku przypominającym jazdę kolejką górską. Świadomi swoich słabości, wiedzieli, jak zadawać sobie ból. Potrafili w jednej chwili wydawać okrzyki wojenne, a w kolejnej wskakiwać do samochodu, żeby odbyć szaleńczą jazdę po krętych drogach. Uwielbiali rzucać losowi wyzwania. Jako kreatywna, sławna, ambitna, autodestrukcyjna para, przyciągali uwagę mediów. Oczywiście nie wszystko, co o nich pisano, było prawdą. Niewielu reporterów miało czas albo

chęci, żeby oddzielić fakty od kłamstw.

W kolejnych latach Scott Fitzgerald zyskiwał coraz większą sławę, bez przeszkód wspinając się po szklanych schodach literackiego panteonu. Co zdumiewające, postacie, o których pisał, i tematy, z którymi się mierzył, często były zainspirowane przez Zeldę. Niektórzy jego bohaterowie mówili dokładnie tak jak ona. Czy zatem kradł pomysły swojej żony? Czy przywłaszczał sobie fragmenty jej twórczości? Od czasu do czasu Zelda żartowała, że wpisy z jej pamiętników, które trzymała w domu, trafiają do powieści męża — czasami w całości. W recenzji Pięknych i przeklętych, napisanej dla „New York Tribune”, otwarcie insynuowała: „Odnoszę wrażenie, że na jednej ze stron rozpoznałam spory fragment ze swojego starego pamiętnika, który zaginął w tajemniczych okolicznościach tuż po moim ślubie, a także zbitki słów, które — choć w znacznej mierze zostały przeredagowane — brzmią dziwnie znajomo. Najwyraźniej pan Fitzgerald — ufam, że to poprawna pisownia jego nazwiska — sądzi, że plagiatorstwo zaczyna się w domu”^{*}.

Może każdy pisarz jest do pewnego stopnia kieszonkowcem, który wykrada natchnienie prawdziwemu ży-

** Dear Scott, Dearest Zelda, ed. J.R. Bryer, C.W. Barks, Londyn 2002, s. xxviii.*

ciu. Niczym sroki, które nie potrafią oprzeć się lśniąco przedmiotom, autorzy przemierzają bezkresne niebo w poszukiwaniu tematów do opisanego. A gdy już jakiś znajdują, chwytają go. Tak czy inaczej, do dzisiaj nie ustalono, w jakim zakresie „patent literacki” należy się Scottowi, a w jakim Zeldzie Fitzgerald.

Sława i uznanie nie dały wiele szczęścia Fitzgeraldowi. Otoczony przez kobiety, które go podziwiała, przyklaskujących mu krytyków i reporterów, którzy w każdym jego czynnie doszukali się sensacji, zaczął dużo pić. Kiedy nie myślał o kolejnej powieści, zamykał swój umysł przed światem; kiedy nie pisał, sięgał po alkohol. Bywało, że zasypiał w przypadkowych miejscach. Smutek Zeldy wcale nie był mniejszy. Małżonkowie nie potrafili dać sobie szczęścia, ale prawdopodobnie nie umieli także się rozstać. Niczym dwa latawce, których linki się splątały, wciąż kręcili się i obracali we własnych ramionach.

Przyjaźń, która połączyła w tym czasie Scotta Fitzgeralda i Ernesta Hemingwaya, oszałamia historyków literatury. Przez pewien czas tych dwoje nie odstępowało się na krok — pisarze cyganerii upijający się razem do nieprzytomności. Taka zażyłość nie odpowiadała Zeldzie. Uważała Hemingwaya za mężczyznę ze zbyt rozdętym ego, przesadnie demonstrowającego swoją męskość. Sądziła, że był nieodpowiednim towarzyszem dla jej męża. Przyjaźń pisarzy nie przetrwała próby czasu.

O zazdrości Zeldy krążyły legendy. W kolejnych napadach zawiści paliła swoje ubrania, niszczyła należące do niej przedmioty i siała spustoszenie. Podczas pewnego eleganckiego przyjęcia w tłumie ludzi zdjęła biżuterię, po czym

wrzuciła ją do wrzącej wody z zamiarem przyrządzenia „zupy klejnotowej”. Często zaślepiła ją złość. Innego wieczoru, po tym, jak zauważyła, że jej mąż poświęca mnóstwo uwagi sławnej Isadorze Duncan, urządziła scenę, rzucając się ze schodów. Gdy podniesiono ją z podłogi, krwawiła. Mieli jedną córkę, którą bardzo kochali, chociaż opiekę nad dziewczynką powierzyli niani. Scottie urodziła się w październiku 1921 roku. Tamtego dnia, gdy wciąż była częściowo pod wpływem narkozy, Zelda wymamrotała: „Mam nadzieję, że jest piękna i głupia — piękna idiotka”. Podobne życzenie wypowiada Daisy w Wielkim Gatsby, kiedy wspomina o własnej córce. Jak zawsze życie zainspirowało fikcję.

Po przyjściu Scottie na świat Zelda trzykrotnie poddała się aborcji. Chociaż bardzo kochała córkę, nie chciała mieć więcej dzieci, a przynajmniej nie w najbliższym czasie. Jednak nawet rodzicielstwo nie wprowadziło w życie Fitzgeraldów spokoju ani nie ostudziło ich temperamentów. Na kolejnych etapach małżeństwa Zelda zawsze szukała dla siebie czegoś, co wykraczałoby poza krąg zainteresowań jej męża. Przez pewien czas uczęszczała na lekcje baletu. Mąż szydził z jej hobby i twierdził, że to tylko strata czasu. Koniec końców balet nie uszczęśliwił Zeldy.

Właśnie wtedy odezwała się zazdrość — tym razem nie o inne kobiety, ale o twórczość męża. Coraz częściej Zelda próbowała go rozpraszać w godzinach, które poświęcał na pracę nad swoimi książkami. Dla wszystkich stało się jasne, że nie mogą dłużej mieszkać pod jednym dachem. Scott Fitzgerald chciał zatrzymać żonę w domu. Martwił się, że pozostawiona bez opieki będzie flirtowała albo wpadnie w ramiona innego mężczyzny — tylko po to, żeby się na nim odegrać i ulżyć swojemu zbolątemu sercu.

Rumi przyrównuje umysł do pensjonatu. Każdego dnia rano odwiedza nas nowy, niespodziewany gość — czasami pod postacią radości, czasami przebrany za smutek. W pensjonacie Zeldy Fitzgerald pojawiali się sami niemili goście: Pan Niepokój, Sir Atak Paniki, Pani Uraza, Panna Gorycz.

W końcu, w czerwcu 1930 roku, po miesiącach załamania nerwowego oraz halucynacji i po próbie samobójczej, zdiagnozowano u Zeldy schizofrenię i umieszczono ją w szpitalu. Ostatnie osiemnaście lat życia spędziła pod opieką psychiatryczną. Wkrótce napisała do Scotta list, który wiele mówi nie tylko o stanie jej umysłu w tamtym okresie, ale także o lotnym i porywczym stylu autorki: „...bez względu na to, co się wydarzy, ja i tak jestem przekonana w głębi serca, że to bezbożna, nieczysta gra: że miłość jest gorzka, podobnie jak wszystko, co z nią związane, a reszta pozostaje dla emocjonalnych nędzników tego świata”.

Niemniej pobyt w klinice zdawał się pobudzać jej twórczość. W tym okresie pisała nieustannie — pamiętniki, opowiadania, listy. Stworzyła nie tylko piękne obrazy, ale także powieść z elementami autobiograficznymi *Save Me the Waltz*. Niezwykle szczerze opowiedziała o kochającej zabawę, pomysłowej, lecz także ciężko pracującej piękności z Południa, którą była, oraz o wewnętrznej przemianie, jaka zaszła w niej po ślubie. Szczegółowo przedstawiła także

dwie ścierające się w niej osobowości: niezależną i beztroską oraz potrzebującą miłości i poczucia bezpieczeństwa. Zaraz po napisaniu powieści Zelda wysłała ją do wydawcy Scotta. Do tej pory jej mąż nie miał o niczym pojęcia, a gdy poznał prawdę, wpadł w szal. W tamtym czasie

* *Tamże.*

pracował nad książką *Czuła jest noc*. Ponieważ oboje wykorzystali podobny materiał (historię choroby psychicznej Zeldy i lata, które spędzili razem w Paryżu i na Riwierze), książki miały wiele wspólnych wątków. Małżonkowie stoczyli wielką walkę, która miała reperkusje zarówno dla ich związku, jak i twórczości. Ostatecznie Zelda zgodziła się zmodyfikować swój utwór. Po publikacji książka nie spotkała się z ciepłym przyjęciem krytyków literackich i nie sprzedawała się dobrze. Zniechęcona, Zelda nie wydała kolejnej powieści.

Jej mąż wynajmował domy w pobliżu różnych klinik, w których przebywała, żeby podczas pisania być blisko niej. Przez kolejne lata spotykali się tylko w godzinach odwiedzin, w przerwach między przyjmowaniem pigułek, konsultacjami lekarskimi i terapiami. On zmarł w 1940 roku na atak serca. Osiem lat później w zakładzie dla psychicznie chorych w Asheville w Karolinie Północnej wybuchł pożar. Wśród pacjentek, które straciły wtedy życie, była Zelda Fitzgerald.

Faulkner powiedział kiedyś, że nekrolog pisarza powinien być prosty. „Pisał książki, a potem zmarł”. Ale jak odnieść jego słowa do takiej pisarki jak Zelda Fitzgerald, która balansowała na krawędzi, wpędziła się w rozpacz, malowała świat w olśniewających barwach, wychowała córkę, kochała z wielką namiętnością, pisała opowiadania, a potem zmarła?

*

Scott i Zelda pozostawili bez odpowiedzi ważne pytanie: Czy żyliby dłużej i stworzyli większe dzieła, gdyby nie doprowadzili się wzajemnie do stanu wyczerpania? Sama nie wiem. Czasem podejrzewam, że gdyby pomagali sobie nawzajem, wszystko potoczyłoby się inaczej, kiedy indziej zaś sądzę, że nieskomplikowana codzienność nie miałaby dla nich żadnego znaczenia i w rezultacie nic by się nie zmieniło.

Zelda Fitzgerald nie była „normalną” kobietą, która dostosowałaby się do konwencjonalnych ról przypisanych jej płci. Ani skromność, ani bierność nie należały do jej mocnych stron. Ale gdyby była zupełnie inna i potrafiła wieść bardziej uporządkowane, bezpieczniejsze życie, czy pisałaby lepiej albo więcej? Czy byłaby dzisiaj wyżej ceniowana?

Gdy piszę te słowa, podejrzewam, że byłoby wręcz odwrotnie. Może to właśnie dzięki nieustającym wojnom, wzlotom i upadkom oraz odwadze, żeby gwałtownie skrócić z drogi, którą podążają tradycyjne małżeństwa, Zelda i Scott Fitzgeraldowie mogli pisać, kochać i żyć najlepiej, jak potrafili.

DRZEWO MÓZGOWE

Center for Women's Studies w Mount Holyoke College mieści się w dużym, beżowym, dwupiętrowym budynku w stylu nowoangielskim. Ja zajmuję w nim pokój na parterze z oddzielnym wejściem. Na pierwszym piętrze mieszczą się gabinety kadry i innych stypendystek. Ściany i sufity są tak cienkie, że zewsząd docierają do mnie różne rozmowy, a pozostali z dużym prawdopodobieństwem słyszą, jak wrzeszczę na swoje miniaturowe kobiety — co częściowo tłumaczy zaniepokojone spojrzenia, które czasami posyłają mi wykładowcy.

Do mojego pokoju prowadzą tak liche drzwi, że gdy pierwszy raz gotowałam w kuchni kalafior, na całym wydziale śmierdziało przez wiele dni. Mogą mieć grubość arkusza tektury, więc zapachy bez trudu sączą się do każdej wnęki i szczeliny. Choć staram się gotować te mniej aromatyczne spośród prostych dań, rezultat zawsze jest taki sam. W miejscu, gdzie wszyscy piją pochodzące ze sprawiedliwego handlu, organiczne herbatki ziołowe o działaniu przeciwutleniającym, nawet woń tureckiej kawy to zbyt wiele. Dlatego rezygnuję z pichcenia i zadowalam się owocami, krakersami oraz wodą.

Wieczorami, gdy sąsiednie pomieszczenia pustoszeją, ja zostaję na czatach. Samotność w tak dużym budynku, pogrążonym w ciszy i ciemności, przyprawia mnie o dreszcze. Nocami, gdy próbuję zasnąć, jestem niespokojna.

Jednak nie tym razem. Dzisiaj w mojej łazience wielkości łupiny orzecha, w bladej poświacie wpadającej przez otwarte okno, obserwuję płatki śniegu, które lecą z nieba na kampus Mount Holyoke. Pod śnieżną pierzyną Ziemia przypomina całkiem inną planetę, a ja siedzę tu spokojniejsza i bardziej opanowana niż w minionych miesiącach.

Być może łazienka nie jest najlepszym miejscem do obserwowania tak romantycznego krajobrazu, ale tylko tutaj mogę palić — bez towarzystwa i, co najważniejsze, bez ryzyka, że uruchomię czujniki dymu. Prowadzące zdrowy tryb życia, radosne feministki mogą mi wybaczyć kalafiora, ale nie sądzę, żeby były równie wyrozumiałe wobec marlboro lightsów.

Niemniej potrzeba jest matką wynalazków. Wkrótce po przyjeździe rozstawiłam w łazience minideskę do prasowania, która służy mi za biurko, i zamknęłam klapę pojemnika, na który rzuciłam poduchę, dzięki czemu powstał wygodny fotel. To właśnie tutaj piszę teksty do gazety i opowiadania. Zamykam za sobą drzwi, jem czerwone jabłka na śniadanie, lunch i kolację oraz palę ku ucieście mojego serca.

Jestem tutaj także w tę śnieżną noc, wyglądam przez okno i piszę. Nagle z zadumy wyrrywają mnie głośne, urwane wrzaski:

— Pomocy! Pomocy! Złodziej!

Gaszę papierosa, wychodzę z łazienki i spoglądam na zegar przy rogu łóżka. Wskazuje osiem minut po trzeciej. Łapię afrykańską maskę ze ściany i bez zastanowienia gnam przed siebie. Żaden ze mnie materiał na bohaterkę. W tej

chwili moja odwaga jest wyłącznie wynikiem absolutnej nieświadomości tego, co się dzieje. Poza tym nie ma czasu, żeby się zatrzymać i wpaść w przerażenie.

— Na dachu jest złodziej! Pomocy!

Teraz rozpoznaję głos. To Panna Intelktualistka Cyniczna drze się jak opętana. Przycupnąwszy na brzegu wazonu niczym bezskrzydła sikorka, chowa się za gwiazdą betlejemską. Ma trupioblada twarz.

— Co się stało? Dlaczego się wydzierasz?

— Właśnie wróciłam z biblioteki. Szłam sama w ciemności, gdy nagle to zobaczyłam! To znaczy ją! Kogoś chodzącego po dachu!

— Może to inna miniaturowa kobieta.

— To niemożliwe. Wszystkie trzy są tutaj, spójrz! Zerkam przez ramię. Mówi prawdę. Po tym, jak wszystkie wyskoczyły z łóżka, ustawiły się za mną — Pani Derwisz w długiej koszuli nocnej, Milady Ambicja Czechowska w ciemnozielonej piżamie w wojskowe wzory, Panienka Praktyczna w wygodnych spodniach dresowych. Nadstawiając uszu, wsluchujemy się w dziwne odgłosy dochodzące z innej części budynku.

— Wezwijmy gliny — mówi Panienka Praktyczna. W dniu, gdy się tutaj sprowadziłyśmy, spisała na kartce numery telefoniczne policji, straży pożarnej i pogotowia, po czym umieściła ją na lodówce.

— Chwilę, bez pośpiechu. Pozwólcie, że wyjdę i się rozejrzę — proponuje Pani Derwisz.

Jednak Milady Ambicja Czechowska oponuje:

— Nie ma mowy. Jesteś ostatnią osobą, która się do tego nadaje.

— A to czemu? — pyta spokojnie Pani Derwisz.

— Znam cię. Bez względu na to, kogo spotkasz na dachu, powiesz: „Boże, nie przysłałeś nam złodzieja bez powodu”, a na koniec zaprosisz tego oprycha na kolację! Masz zbyt miękkie serce do tej roboty. Lepiej, żebym ja poszła.

Muszę jej przyznać rację. Milady Ambicja Czechowska zawsze była najodważniejszą członkinią Chóru Niewspółbrzmiających Głosów. A odkąd przeprowadziła zamach stanu, poziom jej zuchwałości wzrósł trzykrotnie.

— No dobrze, w takim razie idź — decyduję.

Całkowicie skupiona na swojej misji, chwytając plastikowy widelec niczym broń i rusza w ciemność.

*

Jeszcze przed powrotem Milady Ambicji Czechowskiej na dachu wybucha zamieszanie, które zakłóca nocny spokój. Wiewiórki zamieszkujące pobliskie drzewa wyglądają ze swoich dziupli i próbują zrozumieć, co się dzieje. Kilka z nich zeskakuje i znika.

Słyszymy, jak Milady Ambicja Czechowska wrzeszczy na kogoś łamiącym się głosem. A potem jej wyraźny niepokój szybko ustępuje miejsca gniewowi i niechęci. Kimkolwiek jest jej adwersarz, nie protestuje, ani nawet nie odpiera ataków.

Dziesięć minut później kipiąca ze złości Milady Ambicja Czechowska wraca i próbuje wbić widelec w manda-

rynkę. Wszystkie obserwujemy, jak widelec pęka.

— Co jest? Co się stało? — pytam.

— Same się przekonajcie — odpowiada. Odwraca głowę w stronę drzwi, niemal sycząc: — Idziesz czy nie? Powoli, nieśmiało, jakby chciała rozpuścić się w gęstym nocnym powietrzu, do środka wchodzi miniaturowa kobieta. Natychmiast ją rozpoznaję. To Mamcia Pudding Ryżowy.

— Witaj!

Podnoszę ją i stawiam sobie na dłoni.

— Znacie się? — docieka Milady Ambicja Czechowska.

— No cóż, hm... My... raz... raz się spotkałyśmy — dukam.

— Naprawdę? A kiedy? — pyta Panna Intelktualistka Cyniczna, marszcząc czoło. — I dlaczego my nic o tym nie wiemy?

Uznaję, że najlepszą obroną jest atak, więc wypalam:

— Właściwie to ja powinnam zadać to pytanie. Dlaczego nigdy nie powiedziałyście mi o Mamci Pudding Ryżowy?

Milady Ambicja Czechowska zastanawia się chwilę.

— Jak myślisz, co by się stało, gdybyśmy ci powiedziały? Co dobrego by z tego wynikło?

— Mam prawo wiedzieć o istnieniu swojej matczynej natury — upieram się.

— Świetnie, tylko tego nam trzeba — stwierdza Panna Intelktualistka Cyniczna, burcząc pod nosem. — Pokonałyśmy cały ocean, żeby pozbyć się tej lepkiej babki, a ona i tak nas tutaj znalazła!

Nagle spływa na mnie blask oświecenia. Czy mój wyjazd ze Stambułu w takim pośpiechu miał z tym coś wspólnego?

— Zaczekajcie moment — odzywam się. — Czy to z jej powodu ściągnęłyście mnie aż do Ameryki?

Panna Intelktualistka Cyniczna i Milady Ambicja Czechowska wymieniają skruszone spojrzenia.

— Czas na szczerą rozmowę! Wyłóżmy karty na stół!

— oświadcza Panienska Praktyczna, nonszalancko wzruszając ramionami.

— W porządku, możemy o tym porozmawiać — uznaje Milady Ambicja Czechowska. Odwraca się do mnie z płonącymi oczami. — Nie wiem, czy pamiętasz, ale jakiś czas temu płynęłaś parowcem w towarzystwie pulchnej kobiety i jej dwóch synów.

Oczywiście, że pamiętam. Kiwam więc głową.

— Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale głęboko poruszyło cię tamto spotkanie. Pomimo młodego wieku ta kobieta spodziewała się trzeciego dziecka. Na jej widok zaczęłaś lamentować z powodu tego, co straciłaś. Niemal chciałaś zamienić się z nią miejscami. Gdybym od razu nie zareagowała i nie nakłoniła cię do napisania Manifestu samotnej dziewczyny, ugrzęzłabyś w marzeniach o macierzyństwie. Uchowaj, Panie!

— Napisałam manifest przez ciebie?

— Tak, oczywiście — opowiada Milady Ambicja Czechowska, krążąc po pokoju. — Sądziłam, że to załatwi spr-

wę. Ale jak tylko Mamcia Pudding Ryżowy zorientowała się, że z ciekawością przyglądasz się ciężarnej kobiecie i matkom z dziećmi, postanowiła, że najwyższy czas wyjść z ukrycia i się przedstawić. Próbowałyśmy przemówić jej do rozsądku, a potem nawet jej groziłyśmy. Ale nie dała za wygraną. Zamierzała naruszyć status quo, dlatego przeprowadziłyśmy pucz. Zmusiłyśmy cię do wyjazdu ze Sztambułu, ale najwyraźniej Panna Uciążliwa ruszyła naszym śladem!

— Ale skoro należy do Chóru Niewspółbrzmiających Głosów, powinna móc wypowiadać się we wszystkich sprawach na równi z wami — ośmielam się zauważyć.

— Dzięki, ale nie. Nie możemy do tego dopuścić — odpowiada Panna Intelktualistka Cyniczna, pocierając skroń, jakby przeczuwała zbliżającą się migrenę.

— Nie żyjemy w ustroju demokratycznym, słyszysz? Zawsze opowiadałyśmy się za monarchią, a teraz trwamy w solidnym reżimie wojskowym! — ryczy Milady Ambicja Czechowska. Jej oczy iskrzą, gdy odwraca się do swojej sojuszniczki. — Zwołajmy spotkanie nadzwyczajne.

Gdy przewodniczące Wysokiej Rady Wojskowej Komitetu Wykonawczego, Milady Ambicja Czechowska i Panna Intelktualistka Cyniczna, odchodzą w kąt, rozlegają się wściekłe szepty. Po chwili, która wydaje mi się wiecznością, wracają, tupiąc z determinacją. Mają marsowe miny.

— Wychodzimy — rozkazuje Milady Ambicja Czechowska.

— Dokąd mamy iść o tej porze?

— Ruszaj się! — warczy na mnie, a potem zwraca się do pozostałych: — I wy też! Z życiem!

O pół do czwartej rano, pod czujnym okiem co dzieńniejszych wiewiórek, maszerujemy gęsiego w śniegu. Ze zgrabiętymi rękoma, szczękając zębami, mijamy bibliotekę i akademiki.

— Jaki spokój panuje dzisiaj na kampusie — mruczy Pani Derwisz, biorąc głęboki wdech.

Jej umiejętność dostrzegania pozytywnych stron nawet w najbardziej stresujących okolicznościach wciąż mnie zadziwia. Podnoszę ją i wkładam sobie pod sweter, żeby się nie przeziębila. Idziemy dalej, aż do masywnego drzewa.

— Co to jest? — pytam.

Panna Intelktualistka Cyniczna udziela odpowiedzi:

— Odkryłam to drzewo zaraz po przyjeździe tutaj.

W słoneczne dni to doskonałe miejsce do czytania. Wolałabym pokazać ci je w świetle dnia, ale nie mogę dłużej zwlekać. Spójrz na pień. Do czego jest podobny?

Dziwny gruby pień pokrywają gigantyczne, jakby napompowane narośle. Całość wygląda trochę jak wielka wysuszona śliwka albo ogromny pomarszczony orzech włoski z fałdami. Albo...

Panna Intelktualistka Cyniczna posyła mi ukradkowe spojrzenie.

— Powiedz, co ta masa ci przypomina z oddali.

— No cóż, sama nie wiem... to trochę jakby... jakby mózg... — odpowiadam.

— Bingo! To Drzewo Mózgowe — wyjaśnia Panna Intelktualistka Cyniczna.

— A zatem dzisiejszej nocy zebraliśmy się pod Drzewem Mózgowym — zabiera głos Milady Ambicja Czechowska, która najwyraźniej zamierza wygłosić przemówienie. Wspięła się na gałąź i spogląda na nas nadąsana. Zachowuje się jak dyktator oceniający poziom inteligencji swojego ludu przed udzieleniem reprimendy.

— To historyczny moment! — grzmi. — Nadszedł czas na podjęcie ostatecznej decyzji. — Wymierza oskarżycielski palec w stronę Mamci Pudding Ryżowy. — Chcesz być taka jak ona? Żałosna kura domowa? Czy wolisz wieść życie jako majestatyczny drzewiasty mózg?

Nie mogę oderwać oczu od drzewa. W aksamitnym mroku nocy, zewsząd otoczone śniegiem, napawa strachem i budzi podziw.

— Nie słuchaj ich, proszę — szepce Mamcia Pudding Ryżowy, przywierając do moich nóg. W jej oczach lśnią łzy. Jest taka krucha. Tak mało o niej wiem. Widziałam ją tylko dwa razy, podczas gdy pozostałe miniaturowe kobiety towarzyszą mi od wielu lat.

— Możemy stworzyć wspaniałą drużynę, ty i ja — przekonuje Mamcia Pudding Ryżowy.

— Przykro mi — odpowiadam.

Co jakiś czas zrywa się silny podmuch wiatru, wzbijając w powietrze płatki śniegu. Czuję się tak, jakbym była na planie Doktora Żywago. Bo chociaż nie jesteśmy w Rosji, a szanse na wybuch rewolucji bolszewickiej na kampusie są bliskie zera, nadszedł czas na głębokie zmiany emocjonalne.

W końcu zbieram się na odwagę, żeby odpowiedzieć.

— Jeśli muszę wybrać, zdecydowanie wybieram Drzewo Mózgowe.

— Ale obiecałaś! — wybucha Mamcia Pudding Ryżowy.

— Przykro mi — powtarzam, unikając jej wzroku.

Milady Ambicja Czechowska zeskakuje z gałęzi, a Panna Intelktualistka Cyniczna szczerzy się do niej, krzyżąc:

— Przybij piątkę!

Wspólniczki przybijają piątkę, przy czym wykonują tak skomplikowany układ z wykorzystaniem rąk i palców, że wszystkie patrzmy na to z osłupieniem.

Po skończonym przedstawieniu Pani Derwisz wzdycha ciężko, Panienka Praktyczna zdejmuje okulary i czyści je nerwowo, a Mamcia Pudding Ryżowy płacze w milczeniu.

— A teraz powtarzaj za mną — rozkazuje Milady Ambicja Czechowska. — Podróżowałam wzdłuż i wszerz... Robię to. Na pokrytym śniegiem kampusie Mount Holyoke, pod zapierającym dech Drzewem Mózgowym, wypowiadam tekst przysięgi:

— Podróżowałam wzdłuż i wszerz, a pisanie zawsze stanowiło centralny punkt mojego życia. W końcu dokonałam wyboru między Ciałem a Umysłem. Odtąd chcę być tylko i wyłącznie Umysłem. Ciało nie będzie miało już nade mną mocy. Nie pragnę kobiecości, prac domowych, obowiązków żony, instynktu macierzyńskiego ani dzieci. Chcę być pisarką i tego zamierzam się trzymać.

W tej chwili zdaję sobie sprawę między innymi z tego, że moje życie weszło właśnie w bardzo ostry zakręt, a ja pędzę na złamanie karku, chociaż nie wiem, co czeka na mnie za rogiem.

— Niech Ciało zgnije i niech Umysł Iśni. Niech atrament przepływa przez moje pióro niczym ocean, żeby nakarmić rosnące we mnie powieści.

Trzykrotnie powtarzam słowa przysięgi. Po wszystkim czuję się odrętwiała, prawie znieczulona. Może to efekt zimna. A może dociera do mnie waga tego, co właśnie zapoczątkowałam.

TAJEMNICA ZWANA MÓZGIEM

Przed upływem dwóch tygodni w moim ciele zaczynają zachodzić zmiany. Najpierw włosy, a potem skóra na twarzy i rękach wysychają. Chudnę. Brzuch staje się bardziej płaski. Pewnego dnia odkrywam, że przestałam miesiączkować. Okres nie pojawia się za miesiąc ani za dwa. Na początku nie przywiązuję do tego wagi — właściwie z ulgą przyjmuję rozstanie z kobiecością. Czy to nie wyzwoli mnie spod jarzma cielesności i seksualności i nie uczyni ze mnie chodzącego mózgu? Czuję się jak szalony naukowiec, który w swoim ponurym laboratorium eksperymentuje ze wszystkimi rodzajami nieznanymi substancji — z tą różnicą, że ja eksperymentuję na sobie. Co prawda, nie zamieniam się w zielonego, gigantycznego, humanoidalnego potwora, ale czy nietowarzyska, aseksualna, introwertyczna powieściopisarka, którą zaczynam przypominać, jest mniej przerażająca od Niesamowitego Hulka?

Pod koniec maja przeglądam czasopisma w poczekalni ośrodka zdrowia kobiet. Czekałam na uprzejmego, tyczkowatego ginekologa, który poddał mnie wszystkim możliwym testom hormonalnym. W końcu wzywa mnie pielęgniarka.

— Oto nasza niezwykła pacjentka — mówi lekarz, gdy wchodzę do jego gabinetu. — Czuje się pani lepiej?

— Bez zmian — odpowiadam.

— Zobaczmy, co tu mamy... — kontynuuje lekarz, przeglądając wyniki zza szkieł okularów. — Poziomy hormonów się unormowały, badanie tarczycy także wypadło pomyślnie.

— Wszystko w porządku — dodaje stojąca obok niego pielęgniarka, jakby nie mogła w to uwierzyć.

— Ale dlaczego w takim razie nie miesiączkuje?

— W tej sytuacji odpowiedź może być tylko jedna

— wyjaśnia lekarz. — Pani mózg wydał ciału rozkaz, żeby tego nie robiło.

— Czy to możliwe? — pytam z niedowierzaniem.

— O tak, jak najbardziej — oświadcza lekarz, mrużąc oczy, jakby próbował zajrzeć w głąb mojej duszy. — Musi pani przedyskutować tę kwestię ze swoim mózgiem. Sam bym to zrobił, ale nie mówię w jego języku.

— Nauka tureckiego zajęłaby nam trochę czasu — dodaje pielęgniarka, puszczając oko.

Chichoczą idealnie zsynchronizowani, tak jak potrafią tylko ludzie, których przez wiele lat łączy bliska współpraca zawodowa. Tymczasem ja ani drgnę.

— Może mi pani powiedzieć, czym się pani trudni?

— pyta lekarz.

— Jestem pisarką.

— No tak, rozumiem — odpowiada z rosnącym zainteresowaniem. — Jakie książki pani pisze?

Wolałabym przemilczeć ten temat. Nie wiem, jak zaklasyfikować swoje książki, i nie jestem pewna, czy w ogóle mam na to ochotę. To niewygodne pytanie dla prawie każdego pisarza, który nie tworzy określonych gatunków literackich, takich jak romans czy kryminał. Na szczęście bardziej od mojej odpowiedzi lekarza interesuje myśl, która właśnie zakiełkowała mu w głowie.

— Proszę pomyśleć o swoim mózgu jak o fascynującej, trzymającej w napięciu powieści detektywistycznej — proponuje.

— Dobrze — odpowiadam.

Potem zniża głos, jakby zdradzał potworną tajemnicę:

— Pani mózg porwał ciało...

— Naprawdę?

— Tak. Wystarczy, że każe mu pani je zwrócić. Proszę mi wierzyć, że może to pani zrobić.

— Przepraszam, ale chyba się pogubiłam. Czy mój mózg jest powieścią detektywistyczną, detektywem, czy może złoczyńcą?

Lekarz pochyla się do przodu, wzdycha głośno i przeciągle. Właśnie wtedy dociera do mnie, że chociaż to bardzo miły człowiek, nie radzi sobie z metaforami. Próbował wyjaśnić sytuację za pomocą figury retorycznej, ale jeszcze bardziej wszystko skomplikował.

*

Nie zasięgam opinii innych specjalistów w białych kittlach i nikomu nie mówię o dziwnej diagnozie, którą usłyszałam. Niemniej regularnie odwiedzam Drzewo Mózgowe w poszukiwaniu stoickiego spokoju, którego nie może mi zapewnić. Pieszcząc mocne, stare korzenie, które wyrastają nad ziemię, obserwując liście na niezliczonych gałęziach, odnawiam przysięgę i obserwuję, jak dzień po dniu znika moja kobiecość.

Każdego ranka udaję się do biblioteki w towarzystwie Panny Intelktualistki Cynicznej. Znamy się jak tyse konie. Wszystko toczy się zgodnie z planem, który opracowała razem z Miladą Ambicją Czechowską. Wciąż czytam, wciąż szukam. Niejeden świt zastaje mnie ślęczącą nad książkami z dziedziny ograniczonej dwoma zbiorami: angielskiej filozofii politycznej i literatury rosyjskiej. Zawsze gdy ciążą mi powieki, zapadam w drzemkę na brązowej, skórzanej kanapie ustawionej między dwoma długimi rzędami regałów.

W wolnym czasie biorę udział w dyskusjach panelowych, których tu nie brakuje: „Trudna sytuacja kobiet w krajach Trzeciego Świata”, „Feminizm i kultura hip-hopu”, „Postacie kobiece w produkcjach Walta Disneya: czy Myszka Miki dręczy Minnie?” i wiele innych. Żadnej nie

opuszczam.

Wieczorami siadam przed komputerem, sporządzam notatki i piszę dziennik do późnych godzin nocnych. Już nie udzielam się towarzysko, nie chodzę na imprezy i unikam seminariów przy lunchu, chociaż pokusa jest czasem bardzo silna. Nie pozwalam, żeby cokolwiek poza pisaniem i książkami zajmowało miejsce w moim życiu.

Mamcia Pudding ryżowy obserwuje mnie z oddali, nie kryjąc bólu. Za każdym razem, gdy próbuję nawiązać z nią kontakt, odwraca głowę, wbija wzrok w przestrzeń i siedzi nieruchomo jak marmurowy posąg. Czasami w nocy słyszę jej płacz.

Pewnego dnia udzielam wywiadu dla jednej z największych tureckich gazet. Tematem przewodnim ma być mój pobyt w Ameryce. Mniej więcej czterdzieści minut rozmawiam przez telefon z dziennikarzem, który na sam koniec pyta mnie o plany związane z małżeństwem i macierzyństwem.

Wyjaśniam mu, że obecnie te sprawy są mi całkiem obce. Mówię, że sprowadzenie dzieci na świat wiąże się z ogromną odpowiedzialnością, jednak gdy nadejdzie właściwy moment, czyli po napisaniu jeszcze wielu powieści, widziałabym siebie w roli matki. Dodaję, że być może mogłabym wychowywać cudze dzieci, pomagać im w nauce i tak dalej.

W dniu publikacji wywiadu moją uwagę przykuwa niezwykle chwytliwy nagłówek: Nie mogę doczekać się chwili, gdy zostanę macochą!

Obok tej rewelacji widnieje moje zdjęcie, które zrobiono w Stambule przed pałacem Topkapi. Jestem ubrana na czarno, wiatr rozwiewa moje włosy, przez co przypominają ptasie gniazdo, a do tego mam ponurą minę. Zestawienie takiej fotografii z moimi słowami nasuwa myśl, że niczym czarna wdowa jestem gotowa rzucić się na pierwszego rozdownika z dziećmi.

Podejmuję decyzję, że przez jakiś czas nie będę udzielała wywiadów.

Mniej więcej w tym samym czasie zaczynam pisać nową powieść, jakby Muza spadła z nieba prosto na moją głowę. Jej tytuł brzmi *The Saint of Incipient Insanities*. W tej historii smutek skrywa komizm, a komizm skrywa smutek. Książka opowiada o grupie obcokrajowców w Ameryce. Każdy z nich ma inne korzenie i zmaga się, nie zawsze skutecznie, z ciągłym poczuciem wyobcowania. Piszę o ludziach z zewnątrz i z marginesu, o przynależności i wykluczeniu, o tych, którzy czują się jak wywrócone drzewa, z korzeniami zwróconymi ku niebu.

CZĘŚĆ CZWARTA

NIGDY NIE MÓW NIGDY SŁODKA MIŁOŚĆ

Rosario to niska, pulchna Meksykanka, która codziennie o siódmej rano odkurza północno-zachodnie skrzydło bi-

blioteki, gdzie zazwyczaj pracuję całą noc. Nadal potrafię rozmawiać po hiszpańsku, chociaż robię to dość niezręcznie. Rosario uwielbia słuchać mojej śmiesznej wymowy i poprawiać błędy, które popełniam. Poza tym codziennie uczy mnie nowych słów. Czerwieni się i chichoce, gdy je powtarzam, ponieważ niektóre z nich są dość sprośne. Ilekroć zasypiam na skórzanej kanapie, zaledwie kilka metrów od kolekcji książek Johna Stuarta Milla, budzi mnie Rosario. Przynosi mi kawę tak mocną i czarną, że po jednym łyku moje serce wali młotem przez mniej więcej trzy minuty. Mimo to nigdy nie proszę o słabszą. Chyba ją lubię.

— Dlaczego tak ciężko pracujesz? — pyta pewnego dnia, wskazując mój laptop i stos książek.

— Ty też ciężko pracujesz — odpowiadam, wskazując odkurzac i ścierkę do kurzu.

Kiwa głową. Wie, że mam rację. Potem wyciąga naszyjnik i pokazuje mi go. Na srebrnym wisiorze widnieją cztery pierścienie. Pytam, co oznaczają, a ona uśmiecha się od ucha do ucha i wyjaśnia, że „po jednym dla każdego dziecka”.

Jest matką czwórki dzieci i dlatego tak ciężko pracuje.

Chce, żeby miały lepsze życie niż ona.

— A co z twoim mężem? — pytam. — Tu maridol

— Marido... puf — mówi, jakby opowiadała o prochu strzelniczym.

Nie rozumiem, czy zmarł, uciekł z kimś innym, czy może nigdy go nie było. Nie zważając na moją dezorientację, Rosario ponownie się uśmiecha i szturcha mnie łokciem.

— Dzieci to błogosławieństwo — mówi.

— Cieszę się twoim szczęściem — odpowiadam.

Klepie mnie po ramieniu w szczerym i przyjaznym geście, a ja wypijam z nią jeszcze dwie filiżanki kawy, podczas gdy moje serce bije jak oszalałe.

— Dobra z ciebie dziewczyna — odzywa się do mnie.

— Niektóre z nas takie są — precyzuję, myśląc o miniaturowych kobietach.

Jej zdaniem to zabawne. Wybucho tak gromkim śmiechem, że omal nie traci równowagi. Kiedy się opanowuje, dodaje:

— Nie musisz wysłać gotowej książki wydawcy. Istnieje łatwiejszy sposób.

— Naprawdę? — pytam, przysuwając się do niej.

— Aha — odpowiada, potakując. — Prześlij ją Oprah. Jeśli ją podstempluje, nie będziesz musiała więcej tak ciężko pracować.

— W Ameryce stemplują książki? — dziwię się.

— Si, claro, mujer! — Przewraca oczami, jakby chciała dodać: „Nie wiesz, jacy szaleńcy z tych Amerykanów?”.

Dziękuję jej za radę, po czym wracam do pracy nad powieścią, a ona zajmuje się swoimi obowiązkami. Odchodzi wolnym krokiem, ciągnąc za sobą odkurzac i popychając stelaż z wiadrem, detergentami oraz mydlami. Znika między rzędami książek w twardych oprawkach. Puf!

*

Latem spędzam trochę czasu w Stambule. Chcę zabrać kil-

ka rzeczy ze swojego starego mieszkania, spotkać się z przyjaciółmi oraz z mamą, pojawić się w kilku miejscach, żeby odczytać fragmenty swoich utworów i rozdać autografy, a także podpisać z moim tureckim wydawcą umowę na wydanie powieści *The Saint of Incipient Insanities*, którą właśnie skończyłam. Po dziesięciu dniach zamierzam wrócić do Stanów.

Jednak życie to niesforne dziecko, które skrada się za naszymi plecami, kiedy snujemy plany, i stroi do nas miny. Pierwszego wieczoru po powrocie do Stambułu przyjaciele zapraszają mnie na drinka do Yakup, znanej knajpy od dawna odwiedzanej przez dziennikarzy, malarzy i literatów. Choć dokuczają mi dolegliwości spowodowane zmianą strefy czasowej i jestem trochę zrzędlawa, zgadzam się z nimi spotkać.

Gdy wchodzę do środka, witają mnie śmiechy i szum paplaniny wraz z gęstą chmurą dymu. Albo w knajpie znajduje się komin, albo wszyscy palą po co najmniej dwa kubańskie cygara naraz. To spora odmiana po sterylnym życiu w Mount Holyoke.

Podchodzę do stolika przyjaciół. Znam wszystkich prócz młodego mężczyzny o ciemnych, falujących włosach, z dołeczkami w policzkach, który siedzi przy końcu stołu. Przedstawia się jako Eyup. Nie dociera do mnie, że to imię proroka Hioba, którego wielokrotnie krytykowałam w przeszłości. Kolejny raz anioły wytykają mnie mleczno-białymi palcami, chichocząc między sobą. A ja kolejny raz nie dostrzegam ironii.

Obserwuję go przez cały wieczór, najpierw z rezerwą, a potem z rosnącym zainteresowaniem. Im dłużej go słucham, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że ten człowiek ucieleśnia wszystko to, co ja odepchnęłam i wykluczyłam ze swojego życia. Cierpliwość, racjonalność, spokój, harmonia w czystej postaci. Ten mężczyzna ma naturalny talent do łowienia ryb.

Nie sądzę nawet, że go lubię. Po prostu w jednej chwili zakochuję się w nim po uszy. Mimo to uparcie udaję przed wszystkimi zgromadzonymi, a zwłaszcza przed nim, że wcale tak nie jest. Żeby ukryć uczucia, zajmuję skrajne stanowisko wobec jego, nieustannie rzucam mu wyzwania i marszczę czoło, ilekroć wypowie jakiś komentarz.

Wiele godzin później, jak to zwykle bywa w Stambule, gdy grupa kobiet i mężczyzn osuszy więcej niż jedną karkafkę wina i dwa razy tyle raki, poruszone zostają tematy sercowe. Ktoś proponuje, żebyśmy kolejno cytowali najlepsze maksymy o miłości, jakie znamy.

Jedna z moich przyjaciółek zgłasza się na ochotnika.

— Ten pochodzi z Szekspira — oświadcza z dumą.

— „Kochaj wszystkich, ufaj niewielu”.

Cytat spotyka się z ciepłym przyjęciem. Wszyscy wznowiają toast.

— To słowa Alberta Einsteina — mówi ktoś inny. —

„Grawitacja nie może być odpowiedzialna za to, że ludzie się zakochują”.

Wypijamy także za to.

Po kilku rundach do gry przyłącza się Eyup. Jego oczy

błyszczą.

— A to powiedział Mark Twain — informuje nas. — „Podczas polowania na miłość niech twoją przynętą będzie serce, a nie rozum”.

Wszyscy klaszczą, a ja się krzywię. Ale przyłączam się do toastu.

Dziesięć minut później zebrani przy stole patrzą na mnie w oczekiwaniu, aż wydukam swój cytat. Do tej pory zdążyłam wypić więcej niż zazwyczaj, więc kręci mi się w głowie. Odstawiam szklankę na stół z udawaną śmiałością i z nieco większą siłą, niż zamierzałam, po czym unoszę palec w górę.

— „Byłeś kiedyś zakochany? To okropne, prawda? Sprawia, że robisz się taki wrażliwy, otwiera twoją pierś i twoje serce, a to znaczy, że ktoś może wniknąć w głąb ciebie i okropnie cię zranić”*

Przez moment wszyscy milczą w osłupieniu. Kilka osób kaszle, jakby coś stanęło im w gardle, a inni zmuszają się do uprzejmego uśmiechu. Nikt nie wznosi jednak toastu.

— To z Neila Gaimana — wyjaśniam.

Nadal panuje cisza.

— Sandman... Gwiazdny pył... Księga cmentarna...

— dorzucam pospiesznie. — No wiecie, Neil Gaiman.

Odchylam się na krześle, po czym nabieram powietrza i kończę cytat:

— „Budujesz wokół siebie ochronny krąg, latami tworzysz zbroję, by nic cię nie dosięgło, a potem jeden dur-

* *Neil Gaiman, Panie łaskawe, tłum. P. Braiter, cz. 2, Warszawa 2007, s. 7 (przyp. tłum.).*

ny facet, nie różny od innych dumnych facetów, wkracza w twoje dumne życie...”*

Wszystkie wpatrzone we mnie twarze znaczą coś na kształt pogardy. Zepsułam zabawę i zamieniłam pijacką wesołość w trzeźwą powagę. Nawet jeśli wrócimy do napawających optymizmem cytatów o miłości, to już nie będzie to samo. Wszyscy przy stole wydają się odrobinę zdezorientowani i rozdrażnieni — poza jedną osobą, która patrzy na mnie z niezwykle ciepłym uśmiechem i puszcza do mnie oko, jakbyśmy dzielili sekret.

* *Tamże (przyp. tłum.).*

PANI CEBULA

We śnie przechadzam się po bujnym, rozległym ogrodzie. Są tutaj wszystkie rodzaje kwiatów, roślin i ptaków, ale wiem, że nie dla nich znalazłam się w tym miejscu. Idę dalej, z laską w rękę, aż docieram do olbrzymiego drzewa. Ma kryształowy pień, z którego wyrastają ulistnione, srebrne gałęzie, przypominające ozdoby choinkowe. W każdej jego dziupli wiewiórki skubią orzechy, a jeden z tych otworów przypomina ogromne usta.

— Wyglądasz przepięknie — komplementuję, mile zaskoczona. — Sądziłam, że panuje zima. Jak udało ci się

zachować wszystkie liście?

— Zima minęła — odpowiada Drzewo Mózgowe. — Możesz mnie zostawić.

— Ale przysięgałam, nie pamiętasz? Powiedziałam, że moje ciało powinno wyschnąć, żeby mój mózg rozkwitnął. Jeśli złamię dane słowo, Bóg wpadnie w złość.

— Nie, nie wpadnie — przekonuje Drzewo Mózgowe. — Nie znasz go.

— A ty? Widziałeś go? — pytam. — Jak wygląda? Drzewo ignoruje moje pytania.

— Wszystko przemija — mówi. — Podobnie jak twoje śluby. Nawet ja wkrótce zginę.

Jakby dla podkreślenia prawdziwości tych słów wiatr przybiera na sile i uderza niewidzialnymi pięściami w Drzewo Mózgowe. Wtedy dostrzegam, że jego gałęzie są zrobione z najkruchszego szkła. Na moich oczach rozsypują się na setki maleńkich kawałków.

— To nie boli, nie martw się! — grzmi Drzewo Mózgowe, przekrzykując hałas.

Uważając, żeby nie skaleczyć się o odłamki pokrywające ziemię, idę i płaczę, chociaż nie czuję smutku. Po prostu nie mogę się opanować. W tym stanie oddalam się od Drzewa Mózgowego.

Gdy się odwracam, żeby spojrzeć na nie kolejny raz, ze zdumieniem stwierdzam, że gigantyczne drzewo skurczyło się do rozmiarów drzewka bonsai.

Taki sen śni mi się podczas pierwszej nocy spędzonej z Eyupem.

*

Kiedy tylko Drzewo Mózgowe puszcza mnie wolno, ja i moje ciało zabieramy się za naprawy. Znowu czuję zachodzące we mnie szybkie zmiany — tym razem w przeciwnym kierunku. Moja skóra staje się delikatniejsza, a włosy bardziej lśniące. Teraz, gdy jestem zakochana, postanawiam traktować swoje ciało najlepiej, jak potrafię. Zaczynam nawet odwiedzać The Body Shop, gdzie kupuję kremy, pudry i emulsje, których nigdy wcześniej nie używałam.

Pewnego popołudnia, w chwili gdy ustawiam nowe produkty na półce w łazience Eyupa, dostrzegam ruch. Tajemnicza postać szybko chowa się za stoikiem z kremem do twarzy, który ja przesuwam, zszokowana.

Moim oczom ukazuje się mierząca mniej więcej trzynaście centymetrów i ważąca niespełna sześćset gramów miniaturowa kobieta, która nie przypomina żadnej z pozostałych. Jej falujące włosy w kolorze miodu sięgają aż do pasa. Nad górną wargą narysowała sobie pieprzyk, a usta pomalowała szminką w kolorze tak rażącej czerwieni, że przywodzą mi na myśl płonący chiński lampion. Nośsi dopasowane rękawiczki, które sięgają łokci, a na każdym jej palcu połyskuje pierścienek w innym kolorze.

Całości dopełnia szkarłatna, obcisła suknia wieczorowa. Głęboki dekolt eksponuje piersi Calineczki, a długie rozcięcie w sukni odsłania jej prawą nogę aż do biodra. Na widok jej szpiczastych czerwonych butów na wysokich obcasach zaczynam się zastanawiać, jak to możliwe, że jeszcze stoi.

Ledwie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem, podnosi w górę cygarniczkę. Z wystudiowanym znudzeniem wsuwa w nią papierosa. A potem, trzepocząc ciężkimi od tuszu rzęsami, odwraca się do mnie.

— Masz ogień, skarbie? — pyta.

Krew zastyga mi w żyłach. Kim jest ta kobieta?

— Nie, nie mam — odpowiadam, zdecydowana, żeby ograniczyć komunikację do minimum.

— W porządku, skarbie — rzuca. — I tak dziękuję. Otwiera torebkę, która wygląda jak maleńkie, perłowe pudełko na lekarstwa, wyjmując zapalniczkę i zaczyna podpalać papierosa. A potem, wydymając wargi, puszcza idealne kółka z dymu, które kieruje w moją stronę, jedno po drugim.

Z szeroko rozdziawionymi ustami obserwuję tę dziwną istotę.

— Nie poznajesz mnie, prawda? — odzywa się aksami-
tnym, przesiąkniętym erotyzmem głosem, niczym Rita
Hayworth w Gildzie. — Oczywiście, nic w tym dziwnego.
Bo niby kiedy miałaś mnie poznać?

Pochyla się do przodu, eksponując piersi, a ja zakłopotana odwracam wzrok. Czy ta kobieta nie ma wstydu?

— Ale kim dokładnie jesteś? — Tylko na tyle mnie stać.

— Nazywam się Blue Belle Bovary.

— To brzmi tak... — Szukam słowa, które jej nie urazi.

— Poetycko? — sugeruje.

— No tak. To taka jakby aliteracja — odpowiadam.

— Dziękuję ci, skarbie — mówi, puszczając oko. —

Moje imię to hołd dla Emmy Bovary, kobiety, która robiła wszystko, co w jej mocy, żeby uciec przed banalnością i monotonią życia na prowincji.

— Jasne... ale jak być może wiesz, to dość kontrowersyjna postać — zdradzała męża, tonęła w bezkresnym morzu kłamstw i konała w agonii po zażyciu arszeniku.

— Nie przejmuj się tym — odpowiada. — Lepiej wieść życie pełne namiętności, niż umrzeć z nudów.

Ponownie otwiera torebkę, wyjmując puzderko i pudru-
je czubek nosa. Potem przeszywa mnie wzrokiem.

— Lubię zmysłowe perfumy, jedwabne ubrania, seksowną bieliznę i satynowe koszule nocne. Enchanté, skarbie. Czuję, jak robi mi się gorąco.

— Czy mogłabyś przestać zwracać się do mnie: „skarbie”? — pytam drżącym głosem. — Nie mam i nigdy nie mogłabym mieć takiego wewnętrznego głosu jak ty. Musiałaś zająć pomyłką.

— Moja droga, ty znów to robisz! Chcesz stracić mnie w ciemną otchłań ignorancji — mówi tuż po zaciągnięciu się papierosem. — Przerażam cię, prawda?

— Dlaczego miałabyś mnie przerażać? — pytam.

— Gdybyś rzeczywiście się mnie nie bała, inaczej pozowałabyś do zdjęć. A tymczasem w każdym wywiadzie, którego udzielasz, sprawiasz wrażenie czujnej i poważnej. Masz zmiętą twarz, rozmarzone i odległe spojrzenie. Poza kontemplującej pisarki. Potworność!

— Chwileczkę — przerywam.

Ale chociaż próbuję zaprotestować, przypominam so-

bie znakomitą analizę, której dokonała kiedyś Erica Jong. Powiedziała, że współczesne pisarki nie mają problemów z ukończeniem albo opublikowaniem swoich utworów. Trudności pojawiają się w momencie, gdy chcemy być poważnie traktowane. Jong sądziła, że nieprzychylność w stosunku do literatek najlepiej widać w recenzjach. „Nigdy nie czytałam recenzji kobiecej twórczości, w której nie poruszono tematu płci”. Ja wiem, że to prawda. W Turcji pisarka może wydać tyle książek, ile zapragnie, a mimo to, zanim zdobędzie poważanie w tym konwencjonalnym środowisku literackim, musi stoczyć długą walkę i ciężko się napracować.

— Dlaczego nie miałabyś malować ust na czerwono, nosić kwiecistych sukienek i pokazywać trochę ciała? Czy ucierpiałaby na tym twoja kariera? Czy stałabyś się przez to gorszą literatką? Przeraza cię cielesność. Powiedz mi, skarbie, dlaczego tak bardzo się mnie boisz. Słowa mnie zawodzą.

— W przeciwieństwie do ciebie jestem wielką fanką wszystkiego, co cielesne i zmysłowe — kontynuuje miniaturowa kobieta. — Uwielbiam słodkie rozkosze, którymi obdarzono nas, zwykłych śmiertelników. W końcu urodziłam się jako Skorpion. Hedonizm to moje życiowe motto. Czerpię przyjemność z dobrodziejstw kobiecości — zachwyca się. — Jednak te prostackie Calineczki mnie ocenzurowały, uciszyły, stłamsiły! Zalewa mnie fala najprawdziwszej paniki. Zaczynam się pocić.

— Nic dziwnego, że się pocisz — stwierdza, przechylając głowę na bok. — Zawsze zakładasz kilka warstw jak najprawdziwsza Pani Cebula. Gdybyś nosiła lżejsze, bardziej kuse rzeczy, czułabyś się znacznie lepiej. Zastanawiam się, czy aby nie ma racji. Może naprawdę przeistoczyłam się w Panią Cebulę. W kobietę, która nie zwraca uwagi na własne Ciało, ponieważ chce, żeby szanowano jej Mózg, i która występuje publicznie wyłącznie w wielowarstwowych kreacjach. Zawsze chowam się za ubraniami, jakby były moją zbroją. I zawsze, kiedy pozuję do zdjęcia, staram się za dużo nie uśmiechać, żeby nikt w tym zdominowanym przez mężczyzn środowisku nie traktował mnie z przymrużeniem oka. Próbuję wyglądać cholernie poważnie i często pozuję na starszą, niż jestem w rzeczywistości.

— A te twoje powieści... — mruczy Blue Belle Bovary, wcierając krem do rąk o zapachu papai niczym odaliska na orientalistycznym obrazie.

— Co z moimi powieściami?

— Och, nic takiego, tylko czasami odnoszę wrażenie, że wy, kobiety, nie możecie pisać o seksualności tak swobodnie jak mężczyźni. Twoje sceny erotyczne zawsze są krótkie, prawie nie istnieją. Kojarzysz te stare filmy, w których kamera przesuwana się w bok zawsze wtedy, gdy para wpada sobie w objęcia? Dokładnie tak samo wy, kobiety, piszecie o seksie. Długopisy zjeżdżają wam z kartek, kiedy docieracie do sceny erotycznej!

— To nieprawda — protestuję. — Mnóstwo kobiet

barwnie opisuje erotyzm i seksualność!

— Tak, skarbie, ale ja nie mówię o autorkach romansów i erotyków — odpowiada. — Chociaż lubię satynę i czerpię przyjemność z pożądania, nie jestem ignorantką. Dobrze wiem, że w tworzeniu tych gatunków prym wiodą kobiety. Ale nie o nich chcę rozmawiać. Nie chodzi mi o takie książki.

Wstaje i szybkim ruchem przesuwa rękę po włosach.

— Mówię o literaturze z górnej półki. Bez urazy, skarbie, ale liczba powieściopisarek, które potrafią szczerze pisać o seksualności, jest bliska zera.

— Musi istnieć sposób — stwierdzam bez przekonania.

— Ależ istnieje — zapewnia mnie z szelmowskim uśmiechem. — Tylko pisarki spełniające jeden z trzech warunków są w stanie otwarcie rozprawić o seksie.

— A konkretnie?

— Pierwszy warunek to homoseksualizm. Jeśli pisarka jest lesbijką i się z tym nie kryje, nie ma się czego obawiać. Lepiej radzi sobie z cielesnością niż ty i tobie podobne. Podczas gdy Blue Belle Bovary kontynuuje swój monolog, jej aksamiitny głos i przerysowane gesty roztaczają nade mną czar. Już za późno, żeby się zastanawiać, dokąd prowadzi ta rozmowa. Dlatego pytam tylko:

— A to niby czemu?

— Pewnie dlatego, że zostały już napiętnowane i mogą poruszać delikatne tematy bez obawy, że ktoś przypnie im łątkę. Dzięki temu wypowiadają się ciekawiej i szczerzej. Znam nawet dobry przykład. Nowatorska powieść amerykańskiej pisarki Rity Mae Brown, Rubyfruit Jungle, która ukazała się w latach siedemdziesiątych, zakwestionowała dominujący stosunek społeczeństwa nie tylko do seksu i seksualności, ale także do homoseksualizmu. Także Muskając aksamit Sarah Waters doskonale ilustruje wspomniany problem.

— Drugim warunkiem, skarbie, jest wiek. Pisarki w podeszłym wieku mają społeczne przyzwolenie na epatowanie erotyzmem. Panuje powszechne przekonanie, że starszki nie podlegają prawom panującym w przyrodzie. Gdy one ku ucieście serca rozpisują się o seksualności, publiczność bierze ich słowa za mądrość.

Przychodzi mi do głowy Aleksandra Kołontaj — rosyjska rewolucjonistka, socjolożka, pisarka. Chociaż przez całe życie tworzyła z pasją, krytykowała mieszczańskie wartości moralne, czciła miłość i seksualność jako pozytywne siły życiowe, wypowiadała się na te tematy otwarcie dopiero w podeszłym wieku. Kołontaj broniła ekonomicznej, społecznej i seksualnej emancypacji kobiet — prezentowała poglądy, które nie przysporzyły jej popularności wśród elity rządzącej. Opracowała teorię o niezaborczej miłości i seksualności w swojej powieści Czerwona miłość i kontrowersyjnym eseju zatytułowanym Make Way for the Winged Eros, ostro skrytykowanym przez najważniejsze postaci ustroju komunistycznego.

— A jaki jest trzeci warunek? — pytam.

— Brawura, gotowość do plotkowania, dolewania oliwy do ognia. Musisz bezwstydnie nie dbać o to, co pomyślą

ludzie po przeczytaniu erotycznych fragmentów twojego autorstwa.

Myślę o tym, co Erica Jong zrobiła w Strachu przed lataniem. Powiedziała kiedyś dziennikarzowi, że zaakceptowała strach jako nieodłączoną część życia, zwłaszcza strach przed zmianami. Nie pozwoliła, żeby ją ograniczał. „Poszłam przodem na przekór walącemu sercu, które mówi: zawróć”.

Blue Belle Bovary robi pauzę na wypadek, gdybym miała coś do dodania, a kiedy widzi, że nie mam, kontuuje z równym zapalem:

— A co do ciebie, przykro mi to mówić, ale nie spełniasz żadnego z tych warunków. Właściwie, skarbie, to jesteś w kropce. Nigdy otwarcie nie piszesz o ciele. Oczywiście, ja odczuwam to najdotkliwiej. Całe moje istnienie jest ocenzone!

Może mieć rację, chociaż jednej rzeczy nie bierze pod uwagę. To nie tylko ja i inne pisarki w obronie własnej powstrzymujemy się przed obrazowym przedstawianiem seksualności w naszych książkach. To samo dotyczy pracowników naukowych, reporterek, polityków w spódnicy i tych kobiet, które udeptują ziemię w świecie biznesu. Wszystkie jesteśmy trochę odarte z seksualności, trochę odkobiecone. Nie możemy swobodnie paradować z naszymi ciałami w społeczeństwie tak bardzo nieprzychylnym kobietom. Żeby w świadomości społecznej egzystować jako mózgi, kontrolujemy ciała.

Pamiętam Halide Edip Adivar — osmańsko-turecką feministkę, aktywistkę i powieściopisarkę, diwę literatury tureckiej. Chociaż głęboko wierzyła w równość płci i pracowała nad poprawą życia kobiet, często przedstawiała w swoich powieściach dychotomię dobra kobieta-zła kobieta i odzierała z kobiecości tę pierwszą. Jej bohaterki są inteligentne, uparte i tak skromne, że nie rozbierają się nawet przed swoimi mężami. Rabia — główna postać powieści *The Clown and His Daughter* — przebiera się w koszulę nocną w szafie, a dopiero potem idzie do łóżka, gdzie czeka na nią mąż.

W tradycyjnym muzułmańskim społeczeństwie, w którym Rabia uchodzi za ideał, kobiety mogą przebywać sam na sam ze swoją nagością jedynie w szafach albo za zamkniętymi drzwiami. Podobną tendencję przejawia nasze gawędziarstwo. Nas, pisarki — szczególnie te, które nie urodziły się na Zachodzie — częściej krępuje pisanie o seksualności.

Czy kiedykolwiek mogłabym być taka jak Blue Belle Bovary? Czy mogłabym malować usta szminkami w jaskrawych barwach, nosić króciutkie spódniczki i głębokie dekolty tak jak ona? Czy mogłabym potrząsać włosami jak w reklamie szamponu? Prawdopodobnie nie. Po dwóch krokach w szpilkach na pewno zaklinowałabym się w jakiejś szczelinie, a później złamałabym obcas. Nie dałabym rady.

— Czy ty chociaż próbowałaś być seksowna, skarbie?

— pyta, jakby czytała mi w myślach.

Jeśli się nad tym zastanowić, jest to prowokacyjne

pytanie.

*

Tego samego wieczoru zapraszam Eyupa na kolację do eleganckiej restauracji rybnej nad brzegiem Bosforu. Nigdy wcześniej nie byłam w tym miejscu, ale mój przyjaciel bardzo je polecał; powiedział nawet, że jest tak stylowe jak Kate Moss.

Eyup przychodzi o siódmej i czeka na mnie. Właściwie ja też tam jestem, ale ukrywam się w łazience. Próbuję zebrać się na odwagę, by wyjść mu na spotkanie.

Jak to się stało, że się tutaj ukrywam? Po południu poszłam do salonu piękności i ufarbowałam włosy, zrobiłam sobie manicure i wyregulowałam brwi. Przez pierwszych dziesięć minut dobrze się bawiłam, ale później zaczęłam się tak nudzić, że mogłabym wyjść na ulicę z ręcznikiem na głowie i rękami ociekającymi wodą z mydlinami. Nie znalazłam nic do czytania, jeśli nie liczyć magazynów o włosach, w których znajdują się setki zdjęć i ledwie dwadzieścia słów.

Mimo to wytrzymałam do końca. A gdy już miałam ułożone włosy i lśniąca twarz, pokrytą wielowarstwowym makijażem, założyłam obcisłą, długą suknię — oczywiście czarną — z pierzastym boa. Nie zdecydowałam się na szkarłatną kreację w stylu Blue Belle Bovary.

Trzydzieści pięć minut później wychodzę z toalety dla pań. Wcale nie czuję się gotowa, ale już tyle kobiet przystawało obok mnie i przyglądało mi się z nieskrywaną ciekawością, że postanowiłam opuścić to bezpieczne schronienie. Próbując nie przydepnąć sukni ani nie złamać dziesięciocentymetrowych obcasów, proszę kelnera, żeby zaprowadził mnie do stolika, przy którym cierpliwie czeka Eyup. Mój ukochany zdążył już zjeść trzy bułki i połowę porcji masła.

Pod ostrzałem pytających spojrzeń gości razem z kelnerem przemierzam całą salę restauracyjną. Chociaż mój przewodnik maszeruje pewnie, a ja kuśtykam za nim całkiem niesynchronizowana, nasze twarze znaczy ta sama, wymuszona powaga.

Eyup spogląda w górę i dostrzega mnie. Szeroko otwiera oczy i nieco rozchyła usta, jakby właśnie był świadkiem magicznej sztuczki.

— Ostrzegam, że moja samoocena jest teraz bardzo niska, więc nie mów nic złego, proszę — odzywam się do niego zaraz po tym, jak zajmuję miejsce.

— Nie zamierzałem... — odpowiada, tłumiąc uśmiech. Odczuwam potrzebę, żeby się wytłumaczyć.

— Próbuję rozwiązać wewnętrzne konflikty. Muszę zakopać topór wojenny i ogłosić zawieszenie broni z moim ciałem.

Chociaż przygryza dolną wargę, z jego ust wrywa się chichot.

— I dlatego się tak ubrałaś?

Wtedy wpadam na pomysł, żeby przyjrzeć się uważniej pozostałym gościom. Chociaż to bez wątpienia elegancka restauracja, wykwinna i droga, dla wszystkich jest jasne, że przesadziłam ze strojem. Wyglądam jak niedoszła aktor-

ka, która zgubiła drogę na czerwony dywan.

— Może powinnam poprosić o szal albo... — bełkoczę, czując desperacką potrzebę, by zasłonić czymś dekolt i te głupie pióra. Przyglądam się obrusowi, ale się nie nadaje. Jest za gruby i zbyt biały.

— Nie przejmuj się — mówi Eyup. — Oprzyj się wygodnie. Weź głęboki wdech. Słyszałem, że mają tutaj niezłe masło.

Idę za jego radą. Zapominam o wewnętrznych sporach — tych, które dobrze znam, i tych, które się wkrótce pojawią — i cieszę się chwilą. Nigdy w życiu nie jadłam lepszego masła.

POCHWAŁA EGOIZMU

Ayn Rand należy do nielicznej grupy pisarek, które zdobyły czytelników na całej kuli ziemskiej i niezmiennie cieszą się popularnością. Pisała nie tylko powieści, ale także eseje, sztuki, scenariusze i utwory filozoficzne. Rozwój wydarzeń zapoczątkowany w latach czterdziestych XX wieku, w tym także niedawny kryzys finansowy, przyczynił się do rozpowszechnienia jej filozofii na świecie. Jest jedną z najbardziej lubianych i najbardziej znienawidzonych autorek literatury.

Urodzona w 1905 roku w Sankt Petersburgu w rodzinie rosyjskich Żydów, Alissa Zinowiewna Rosenbaum była bystrym, utalentowanym dzieckiem. Wykazywała małe zainteresowanie światem koleżanek i żeńskich krewnych. Wolała czytanie książek od zabawy lalkami albo przejmowania się wyglądem. W 1926 roku, po uzyskaniu dyplomu na wydziale historii Uniwersytetu Piotrogradzkiego, przeprowadziła się do Stanów Zjednoczonych z niewielką sumą pieniędzy w kieszeni i potrzebą stworzenia się na nowo. Nie wróciła już do kraju i nigdy więcej nie zobaczyła rodziny. Jakby zerwanie poplątanych więzów oznaczało wyraźne odcięcie się od przeszłości. Wkrótce zmieniła nazwisko — nowe zapożyczyła od maszyny do pisania, której używała: Remington-Rand. Jako Ayn Rand odrodziła się w Nowym Świecie.

Zaciekle broniła wszystkich swoich poglądów, także tych godzących w komunizm. Poślubiła aktora, Charlesa Francisa O'Connora, i napisała wiele scenariuszy niskobudżetowych produkcji hollywoodzkich. Chociaż jej pierwszej powieści z elementami autobiograficznymi, *We the Living*, nie przyjęto entuzjastycznie, prawdziwy przełom nastąpił w 1943 roku, gdy wydała *Źródło*, które pisała przez siedem lat. Jej opus magnum był *Atlas zbuntowany*, romans science fiction i dzieło filozoficzne. Właśnie w tej książce przedstawiła to, co uważała za nową filozofię moralną: etykę rozsądnej ochrony własnego interesu.

Nie przepadała za Kantem, którego nazywała największym niegodziwcem w historii ludzkości. W odpowiedzi na kierowane pod jej adresem oskarżenia o karykaturyzowanie źródła filozofii Zachodu reagowała nawet jeszcze ostrzej: „Nie skarykaturyzowałam Kanta. On sam to zrobił”.

Z czasem jej nazwisko stało się synonimem indywidu-

alizmu, kapitalizmu i racjonalizmu. W stu procentach przekonana, że człowiek musi kierować się rozsądkiem przy wyborze wartości⁷ broniła praw jednostki przed wspólnotą i państwem i sprzeciwiała się wszelkim rodzajom ingerencji rządu (dlatego cieszy się dzisiaj taką popularnością wśród tych, którzy opowiadają się przeciwko wspieraniu finansowemu banków).

„Żaden człowiek nie może używać mózgu do myślenia za innych”, lubiła mawiać Ayn Rand. „Wszystkie funkcje ciała i ducha są osobiste. A zatem nie można się nimi dzielić ani ich przekazywać”. Co zdumiewające, traktowała rozum nie tylko jako podstawę indywidualnych wyborów, ale także jako fundament miłości między mężczyzną a kobietą. Nawet pociąg fizyczny był dla niej efektem pracy mózgu. Miłość, seks i pożądanie, niepohamowane przez społeczeństwo, mogą zakrawać na egoizm, ale mimo to, albo może właśnie dlatego, ludzka jednostka czczona jest jako obiekt godny zainteresowania i docenienia. Jak stwierdza w Źródle: „Żeby powiedzieć «Ja cię Kocham», trzeba najpierw wiedzieć, jak powiedzieć «ja»”^{*}.

Jej opinie o kobiecej seksualności mogły być w najlepszym razie postrzegane jako problematyczne. Z jednej strony należała do nielicznych powieściopisarek, które mogły pisać o pragnieniach cielesnych i fetyszach seksualnych bez autocenzury. Z drugiej zaś jej ton był czasami wyraźnie dyskryminujący, a piękne kobiety w jej utworach często miały blond włosy, jasną kamację i długie nogi — wszystkie te cechy, których jej brakowało. W niemal wszystkich scenach erotycznych w jej powieściach pojawia się ten sam wzór: najpierw kobieta się opiera, a mężczyzna na nią nastaje, czasami używa nawet siły fizycznej, i ostatecznie kobieta ulega.

Ayn Rand, która nigdy nie była potulna, uwielbiała gorszyć feministki swoimi opiniami o kobietach, a zwłaszcza komentarzami, że kobieta powinna podziwiać swojego mężczyznę. Jak na ironię jej własne małżeństwo nie odpowiadało temu modelowi.

Z upływem lat mąż Rand, Frank O'Connor, usuwał się w cień sławy żony. Nie był wyjątkowo utalentowanym aktorem ani nie cieszył się popularnością wśród producentów,

** Ayn Rand, Źródło, tłum. I. Michałowska, Poznań 2002, s. 506 (przyp. tłum.).*

często więc pozostawał bezrobotny. Od momentu złożenia przysięgi małżeńskiej ciążyła mu świadomość, że to ona jest sławniejsza i odnosi większe sukcesy w tym tandemie. Jakby chciał wyśmiać swoje kłopotliwe położenie, często przedstawiał się jako pan Ayn Rand.

W 1951 roku, dwanaście miesięcy po przeprowadzce do Nowego Jorku, Ayn Rand poznała dziesięcioletniego studenta psychologii, Nathaniela Brandena. Cenił ją, podziwiał i być może czuł przed nią lęk. Jego uwielbienie dla niej było tak wielkie, że stworzył organizację, która miała zajmować się szerzeniem jej poglądów jak świat długi i szeroki. To, co zaczęło się jako intelektualna fascynacja,

wkrótce przerodziło się w związek fizyczny. To był rodzaj coraz silniejszego przyciągania magnetycznego między sławną, inteligentną kobietą w średnim wieku a młodym, ambitnym i emocjonalnym mężczyzną. Rand nie ukrywała prawdy przed mężem i stopniowo budowała trójkąt miłosny, sytuując się dokładnie pośrodku. Atlasa zbuntowanego zadedykowała zarówno Brandenowi, jak i O'Connorowi. Choć ten skomplikowany układ nikogo nie uszczęśliwił, przetrwał czternaście lat. Kiedy Ayn Rand skończyła sześćdziesiąt jeden lat, Nathaniel zostawił ją dla młodej modelki. Sławną pisarką, która nawet stosunki seksualne traktowała jak wymianę intelektualną, nie mogła zaakceptować, że jej wieloletni kochanek uznał wyższość ciała nad umysłem.

Nigdy mu nie wybaczyła. Być może fakt, że odrzucił jej filozofię, dotknął ją bardziej niż fizyczne rozstanie. W pełnym gorzkości artykule, który ukazał się w „The Objectivist”, poinformowała wszystkich, że ich drogi się rozeszły. Nigdy więcej się nie spotkali.

Ayn Rand należała do grona tych pisarek, które na samym początku kariery postanowiły, że nie chcą mieć potomstwa. Dzieci nie tylko nie odgrywały żadnej roli w jej życiu, ale także nie pojawiały się w jej powieściach*. I chociaż krytykowano ją za to, że o nich nie pisała i nawet nie próbowała ich zrozumieć, w jej zapiskach nie ma nic, co mogłoby wskazywać, że się tym przejmowała. Jedynymi dziećmi, jakich kiedykolwiek pragnęła, były jej własne książki.

Ayn Rand, pisarka z mnóstwem błyskotliwych pomysłów, była też pełna niepospolitych sprzeczności — podobnie jak jej dzieła. To nie przypadek, że nawet po jej śmierci zarówno ci, którzy ją podziwiali, jak i ci, którzy czuli do niej niechęć, nie odpuścili. Choć żarliwie broniła kapitalizmu, w życiu prywatnym wołała związki, które graniczyły z totalitaryzmem. Teoretycznie opowiadała się za swobodą jednostki i krytycznym myśleniem, ale w rzeczywistości absolutnie nie znosiła wymierzonej w nią krytyki; przepędzała i miała w pogardzie każdego, kto się z nią nie zgadzał. Oczekiwała posłuszeństwa i lojalności w kręgu najbliższych jej ludzi. Choć sama była krnąbrna, a w jej powieściach roiło się od niezależnych bohaterów, utrzymywała, że kobiety muszą ulegać mężczyznom. Inna sprawa, że sama tak nie postępowała.

Kiedy ta wieczna wojowniczką dowiedziała się, że choruje na raka, nie zamierzała nikogo o tym informować.

* W Hymnie pojawia się para z dzieckiem. Jednak prawdziwym celem prokreacji jest w tej powieści chęć stworzenia nowej rasy i innego modelu istoty ludzkiej. Kiedy Ayn Rand pisała o edukacji dzieci, prawie zawsze zależało jej wyłącznie na tym, by pokazać funkcjonowanie społeczeństwa racjonalnych jednostek.

Nawet swoją chorobę uważała za błąd wymagający skorygowania. I poprawiła go: zdołała pokonać nowotwór. Dla niej to było kolejne zwycięstwo mózgu nad ciałem. Potwierdzenie jej punktu widzenia.

Jednak w 1982 roku nagle i niespodziewanie zmarła na atak serca.

Dzisiaj miłośnicy literatury z całego świata zamieszczają swoje opinie w Internecie i zadają pytania: „Na jakiego psychopata bym wyrósł, gdyby moją matką była Ayn Rand?” albo: „Jak wyglądałoby moje życie, gdybym ożenił się z Ayn Rand?”.

Może mają rację. Ayn Rand nie została stworzona do macierzyństwa i małżeństwa. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jako matka byłaby dominująca, a wychowywanie dzieci traktowałaby wyłącznie jako kolejny eksperyment naukowy. A może jednak wszyscy bardzo się mylimy. Może odkryłaby, że macierzyństwo to „cudownie intensywne doświadczenie intelektualne” — w dzieciństwie dokładnie tymi słowami opisała w pamiętniku szkołę i zajęcia lekcyjne. Ciekawi mnie, co by zrobiła, gdyby jej latorośl przeistoczyła się w zbuntowanego nastolatka.

Jest również dość prawdopodobne, że wcześniej odkryła, iż w związku matki z dzieckiem zawsze wygrywa to drugie. Być może właśnie dlatego zrezygnowała z macierzyństwa. W końcu Ayn Rand nie lubiła przegrywać. Zadowolona była z płodzeniem książek.

KIEDY UŚMIECHA SIĘ WIELKI BAZAR

Dokładnie rok później siedzimy w kawiarni na Wielkim Bazarze. Eyup i ja.

Miniaturowych kobiet nie widać w pobliżu, podejrzewam więc, że każda z nich robi zakupy w innym sklepie. Po pobycie w Mount Holyoke pracowałam jako stypendystka na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor. Prowadziłam kursy na wydziale Women's Studies i powoli zaczynałam pisać nową powieść, Bękart ze Stambułu.

Znów jest lato. Wróciłam do miasta. Siedzimy tutaj, moja miłość i ja, pośród srebrnych bransolet, fajek, dywanów i miedzianych lamp, które przywodzą mi na myśl Aladyna. Wokół nas panuje gwar. Młodzieńcy pchają wózki wyładowane towarami, starsi mężczyźni grają w tryktraka, handlarze targują się w każdym znanym ludzkości języku, turyści próbują pohamować zapędy sprzedawców, nowicjusze noszą srebrne tace ze szklankami pełnymi herbaty, koty miauczą przed restauracjami, a dzieci je dokamiają, kiedy rodzice nie patrzą — wszyscy zajmują się swoimi sprawami. Nagle Eyup bierze mnie za rękę i przekrzykując panującego w tle harmider, pyta:

— Kochanie, tak się zastanawiałem... Nadal jesteś przeciwna małżeństwu?

— Zdecydowanie — odpowiadam z przekonaniem, ale potem dodaję: — Oczywiście teoretycznie.

— A co to znaczy teoretycznie? — pyta słodkim głosem.

— To znaczy w ujęciu ogólnym. Jako pojęciu abstrakcyjnemu. Jako modelowi filozoficznemu... — próbuję wytłumaczyć.

— A po ludzku? — docieka, mieszając łyżeczką w szklance z herbatą.

— Chodzi mi o to, że jestem przeciwna zawieraniu

związków małżeńskich przez ludzi, a przynajmniej przez większość z nich, ponieważ naprawdę nie powinni tego robić, a mimo to...

— A mimo to? — powtarza.

— Nie widzę powodu, dla którego nie miałabym wyjść za ciebie za mąż.

W tej chwili śmiech Eyupa jest niczym wyciągnięcie szpady z jedwabnej pochwy tuż przed zadaniem ostatecznego pchnięcia.

— Odnoszę wrażenie, że właśnie złożyłaś najbardziej zawołowane oświadczenia, jakie mężczyzna kiedykolwiek usłyszał od kobiety — stwierdza.

— Naprawdę?

Iście szelmowsko kiwa głową.

— Oczywiście możesz je odwołać.

— Ale nie zamierzam — odpowiadam zgodnie z prawdą. — Proszę, żebyś został moim mężem.

Wielki Bazar śmieje się do rozpuku z moich wiecznych sprzeczności, klekocze dzwoneczkami wietrznymi, szczotka łyżeczkami do herbaty i uderza w klosze. Kim jestem z moimi doświadczeniami, żeby osądzać niekonsekwencję Ayn Rand?

Eyup szeroko otwiera oczy pełne życzliwości.

— Żartujesz.

— Jestem cholemię poważna — zapewniam i czekam.

Ledwie oddycham.

Przez dłuższą chwilę patrzy mi głęboko w oczy, jakby czegoś szukał, a potem jego twarz jaśnieje niczym słońce odbijające się w srebrnej kopule.

— A ja z przyjemnością się zgadzam — odpowiada.

— Zostanę twoim mężem.

Oscar Wilde powiedział kiedyś: „Mężczyźni stają na ślubnym kobiercu ze zmęczenia, kobiety z ciekawości”. Ale w tym wypadku to najpewniej ja jestem zmęczona. Zmęczyły mnie moje własne uprzedzenia. Zmęczyło mnie bezcelowe poszukiwanie piękna w małych rzeczach, sprzeciwianie się małżeństwu i życiu rodzinnemu, trawienie cierpliwości, przewożenie walizek z miasta do miasta i z kraju do kraju. Ale czy przestanie mnie nosić, kiedy wyjdę za mąż?

Angielskie słowo matrymony pochodzi od łacińskiego słowa oznaczającego matkę, a tureckie evlilik ma związek z tworzeniem domu. Zapuszczenie korzeni stanowi zasadniczy warunek małżeństwa.

— Wiesz, że nigdzie nie potrafię zagrześć miejsca — wyznaję skruszona.

— Zauważyłem — odpowiada Eyup.

— I to ci nie przeszkadza? — pytam pełna obaw, jaka padnie odpowiedź.

— Kochanie, przestałem oczekiwać od ciebie normalnych zachowań w dniu, gdy poproszona o zaprezentowanie miłostnego motta, zacytowałaś Neila Gaimana — wyjaśnia.

— Rozumiem.

Pochyla głowę i dodaje łagodniejszym tonem:

— Postaramy się ze wszystkich sił. Będziesz koczowniczką, a ja osiadę gdzieś na stałe. Będziesz przywoziła mi magiczne owoce z dalekich krain, a ja będę uprawiał dla

ciebie pomarańcze w ogrodzie. Znajdziemy równowagę. Odwracam głowę. Prawdziwa dobroć zawsze wyciska mi z oczu łzy, które, jak sądzę, potrafię ukryć. Niemniej zupełnie nie radzę sobie z nosem, który natychmiast robi się czerwony. Eyup podaje mi serwetkę i pyta:

— A skoro jesteś obieżyświatem, powiedz, gdzie na ziemi chciałabyś powiedzieć sakramentalne tak?

— Gdzieś, gdzie panny młode nie muszą ubierać się na biało — odpowiadam.

Wywijając łyżeczką niczym batutą, Eyup mówi:

— Zostają nam więc trzy opcje: klasztor, najlepiej średniowieczny, bar często odwiedzany przez gang rockersów na motorach albo plan filmu o Johnnym Cashu. W żadnym z tych miejsc czarna suknia ślubna nie wprawi nikogo w osłupienie.

Szybko rozważam każdą możliwość, po czym pytam:

— A może Berlin?

— Dlaczego Berlin?

— Zaproponowano mi stypendium w tamtejszym Instytucie Badań Zaawansowanych. Jeśli się zgodzę, spędzę tam trochę czasu w przyszłym roku.

— Hm, to ma sens — przyznaje, nagle poważny. — Będziemy jak Berlin Wschodni i Zachodni, niezwykle różni i początkowo niezależni, lecz później niespodziewanie połączeni.

MAŁE KOBIETKI O WIELKICH SERCACH

Gdy byłam młodą dziewczyną, jedną z moich ulubionych fikcyjnych postaci kobiecych była Jo z Małych kobietek. Jo pisarka. Jo marzycielka. Jo romantyczka, poszukiwaczka przygód, niezależna idealistka. Kiedy jej siostra Amy spaliła jedyną kopię rękopisu Jo wyłącznie z chęci zemsty, byłam przerażona. Minęło wiele czasu, zanim wybaczyłam Amy — chociaż sama Jo nie pozostawała bez winy; w końcu nie zaprosiła Amy do zabawy i omal nie utopiła jej podczas jazdy na łyżwach. W każdym razie historia czterech sióstr March w czasie wojny secesyjnej bardzo różniła się od życia dziecka samotnej tureckiej matki, którym byłam, a jednocześnie miała z nim wiele wspólnego — nieobecny ojciec, finansowe wzloty i upadki, niedopasowanie do ról narzuconych kobietom i tym podobne. Słowa Louisy May Alcott miały moc stworzenia uniwersalnej sagi, która połączyła miliony ludzi z różnych stron świata. Nie potrzeba magii, żeby ponad sto lat później przybliżyć czytelnikom na całym świecie powieść napisaną pod koniec XIX wieku. Louisa May Alcott — kobieta wyprzedzająca swoją epokę, pisarka, która umiłowała Goethego. Faworyzowała Jo i trochę ją przypominała: pełna energii, pomysłów i motywacji. Historie opowiedziane w Małych kobietkach w dużym stopniu przypominały jej życie rodzinne jako drugiej spośród czterech sióstr. Wnikliwie obserwowała poznawanych ludzi, chłonęła słyszane dialogi, a potem wplatała je w swoje opowiadania. Zawsze planowała nowe książki, rozgrywała fabułę w myślach i zapisywała wszyst-

ko, co przyszło jej do głowy w chwilach natchnienia. Była zdeterminowana, żeby zarabiać na życie pisaniem. „Nigdy nie studiowałam — powiedziała kiedyś. — Wystarczy mi jakiś papier i długopis, i stary atlas na kolanach. Niczego więcej nie pragnę”.

Kiedy Małe kobietki ukazały się drukiem, autorka zasmakowała sławy i sukcesu, które przekraczały jej skromne oczekiwania. Alcott bardzo dużo pisała, czasami zapominała nawet o jedzeniu czy śnie. Fakt, że jej czytelnicy i krytycy chcieli zobaczyć dalszy ciąg historii, jednocześnie ją motywował i ograniczał. Początkowo planowała, że Jo nie wyjdzie za mąż i będzie zarabiała na chleb w pocie czoła, ale jej wydawca był odmiennego zdania. Wskutek nieustającego nacisku ze strony jego i innych osób w życiu Jo pojawił się mężczyzna: profesor Bhaer. A czytelnik wiedział, że Jo jest wewnętrznie rozdarta między poczuciem obowiązku wobec rodziny a pragnieniem, by pielęgnować swoją indywidualność i wolność. „Ja też spróbuję i może będę, jak lubi mnie nazywać, «kobietką», a nie taką dziką i nieokrzesaną, i postaram się wypełnić moje obowiązki tutaj, zamiast pragnąć być gdzie indziej”*. Zmagając się z oczekiwaniami rodziny względem jej osoby, Jo ostatecz-

** Louisa May Alcott, Małe kobietki, tłum. L. Melchior-Yahil, 1.1, Warszawa 1991, s. 10 (przyp. tłum.).*

nie wybrała małżeństwo i życie rodzinne zamiast kariery pisarki — podjęła decyzję, której nie dokonałaby nigdy sama Alcott.

Alcott podejrzliwie traktowała instytucję małżeństwa. Było dla niej jasne, że kobietom, które chcą stanąć na własnych nogach, nie jest łatwo przystosować się do życia małżeńskiego. „Dla wielu z nas wolność jest lepszym mężem niż miłość”, powiedziała, sugerując, że czasami pisarka może cieszyć się wolnością jedynie w staropanieństwie. Jej siostra May — kreatywna, płodna malarka, która wybrała życie za granicą — była szczęśliwą mężatką. Wyglądało na to, że miała wszystko: udaną karierę i dobre małżeństwo. Porównując swoją samotność do spełnienia May, Alcott stwierdziła, że to „ona [May] zawsze spijała śmietankę i na to zasłużyła”. Niestety, May zmarła wkrótce po urodzeniu córki. Dziewczynka otrzymała imię Louisa May po swojej ciotce, a matka nazywała ją pieszczotliwie Lulu. Zgodnie z ostatnim życzeniem nieboszczki dziecko miała wychować sama Louisa Alcott.

W ten sposób niezamężna pisarka przejęła opiekę nad córką swojej siostry. Przełała na to dziecko całą miłość, a nawet napisała o nim kilka opowiadań, dzięki czemu powstała seria zatytułowana „Lulu's Library”.

W drugiej części Małych kobietek znajduje się cudowny fragment, w którym Alcott opisuje potrzebę pisania odczuwaną nie tylko przez Jo, ale, jak sądzę, także przez samą siebie. Uważam, że to jeden z najlepszych opisów procesu twórczego w historii literatury i nie mogę opanować uśmiechu, ilekroć go czytam: „W żadnym razie Jo nie uważała się za geniusza, ale w chwilach owych literackich natchnień

poświęcała się bez reszty pisaniu i wiodła błogi żywot, nie odczuwając żadnych potrzeb ani trosk, przebywając szczęśliwa i bezpieczna w wyimaginowanym świecie, pełnym przyjaciół niemal tak realnych i drogich, jak ci z krwi i kości**.

Ta zawsze ciężko pracująca pisarka o czechowskiej duszy powiedziała: „Nie chcę żyć, jeśli nie ma ze mnie pożytku”. Zmarła, kiedy starość uniemożliwiła jej pisanie, w Bostonie w 1888 roku.

*

Urodzona 22 listopada 1819 roku Mary Ann Evans była nieśmiałym, autorefleksyjnym i emocjonalnym dzieckiem, które uwielbiało czytać i się uczyć. Historia jej życia opowiada o transformacji — podróży, która zamieniła ją w niespokojną, kłębłą i szczerą do bólu pisarkę, znaną wszystkim jako George Eliot. W wieku trzydziestu dwóch lat zakochała się w George'u Henrym Lewesie, filozofie i krytyku, a do tego żonatym mężczyźnie, którego małżeństwo można było jednak nazwać otwartym — nawet jak na dzisiejsze standardy. Jego żona Agnes miała romans z innym mężczyzną i urodziła mu dziecko, któremu Lewes z radością dał swoje nazwisko. Chociaż w świetle prawa państwo Lewes pozostali mężem i żoną, oni sami przestali się tak traktować. George mieszkał z Mary Ann, która zaadoptowała jego synów. Choć w wiktoriańskim społeczeństwie zdarzały się pary żyjące bez ślubu, obnoszenie się przez tych dwoje ze swoją miłością było wprost skandaliczne.

W epoce, w której tylko nieliczne kobiety robiły karierę literacką, ona nie tylko tworzyła ku uciesze serca, ale tak-

* *Louisa May Alcott, Małe kobiety, tłum. L. Melchior-Yahil, cz. 2, Warszawa 1992, s. 31 (przyj. tłum.).*

że została asystentką redaktora naczelnego „Westminster Review”. Przez pewien czas przedstawiała się jako Marian Evans. Zmieniła imię, żeby zobaczyć, jak to jest, gdy się ma męski przydomek. A potem, gdy próbowała zdystansować się do autorek romansów, uznała, że potrzebuje prawdziwie męskiego pseudonimu. Żeby złożyć hołd miłości do Lewesa, przyjęła jego imię, George, i dobrała do niego pasujące nazwisko — Eliot.

W 1856 roku Lewes wysłał do swojego wydawcy opowiadanie — zatytułowane Smutne koleje losu wielbego Amosa Bartona — z informacją, że napisał je znajomy duchowny. Wydawca odpowiedział, że opublikuje utwór, i pogratulował nowemu pisarzowi tego, że jest „wart dostąpić zaszczytu publikacji i płacy”. Tak zaczął się nowy etap w karierze literackiej Eliot. Chciała możliwie jak najdłużej pozostać incognito, żeby korzystać z atutów anonimowości i tym samym nieosiągalności. Jej nom de plume pozwolił jej wyjść poza wiktoriańskie role przypisane kobietom i wykroić dla siebie większy skrawek przestrzeni do życia. Pewnego wieczoru w czasie przyjęcia Lewes odczytał na głos urzekające opowiadanie autorstwa Eliot i poprosił gości, żeby zgadli, kto je napisał. Wszyscy doszli do wniosku, że pisarz to mężczyzna — absolwent Cambridge,

dobrze wykształcony pastor, mąż i ojciec. (Podobne były reakcje pisarzy, do których rozesłano utwory Eliot. Tylko Charles Dickens uznał, że ich autorem musi być kobieta. Jako jedyny miał rację).

Uwielbiam wyobrażać sobie tę scenę: w wysokim mieszkaniu około tuzina gości siedzi wygodnie na sofach i fotelach wyściełanych poduszkami, popijając drinki, posyłając sobie ukradkowe spojrzenia i słuchając opowiadania nieznanego autora; wszyscy w nabożnym skupieniu wpatrują się w płomienie trzaskające w kominku, a ich myśli krążą daleko stąd, gdy próbują odgadnąć płeć pisarza. Ponoszą sromotną porażkę.

W swoim popularnym dziele, *Miasteczko Middlemarch*, które Virginia Woolf obwołała „jedną z nielicznych angielskich powieści napisanych dla dojrzałych ludzi”, Eliot stworzyła imponującą postać o imieniu Dorothea. Inteligentną, namiętną, hojną i ambitną — z największym prawdopodobieństwem swój autoportret. Feminizujące uczone nieustannie podkreślają swoje rozczarowanie faktem, że ani Dorothea, ani inne postacie kobiece Eliot nie odniosły takiego sukcesu ani nie zyskały takiej swobody jak sama autorka. Ale czy pisarka naprawdę musi tworzyć modelowe role, które będą inspiracją dla czytelniczek? Jak wszyscy utalentowani gawędziarze, Eliot z przyjemnością łączyła rzucanie wyzwań z okazywaniem miłosierdzia.

„Jeśli sztuka nie potęguje męskiego współczucia, nie ma żadnego działania umoralniającego”, napisała. W przeciwieństwie do panującego powszechnie przekonania, nie gardziła przymiotami swojej płci. Chociaż miała męskie cechy, ceniła sobie męski pseudonim, żywiła pewne uprzedzenia wobec pisarek i okazywała arogancję, która w jej czasach była uważana za odpowiednią dla mężczyzny, czerpała najprawdziwszą przyjemność ze swojej kobiecości. To właśnie ta wyjątkowa mieszanka fascynowała tych, którzy znali ją osobiście.

Po śmierci Lewesa poślubiła mężczyznę o dwadzieścia trzy lata młodszego od siebie, który odpowiadał jej pod względem intelektualnym. Podobnie jak Zelda Fitzgerald, najpierw zakochiwała się w umysłach i jak Ayn Rand potrafiła być despotyczna w życiu prywatnym. Zmarła wkrótce potem, w 1880 roku, w wieku sześćdziesięciu jeden lat. Została pochowana na cmentarzu Highgate, na terenie przeznaczonym dla religijnych odszczepieńców — nawet jako nieboszczka nie przystawała do reszty.

Louisa May Alcott i George Eliot — dwie współczesne pisarki, które łączyła namiętność do gawędziarstwa. Utwory jednej uważano za sztandarowe przykłady literatury kobiecej, podczas gdy druga zasłynęła jako autorka odarta z kobiecości — obie były na swój sposób równie niekonwencjonalne. Przypominają mi, że w żadnej epoce i kulturze kobiety nie muszą decydować się na małżeństwo i macierzyństwo, gdyż mogą wybierać także spośród innych, niekonwencjonalnych możliwości. Być może ślub w mniejszym stopniu jest umową prawną albo instytucją społeczną niż książką czekającą na interpretację. Każdy czytelnik samodzielnie poznaje tekst i rozumie go na swój

sposób.

JEDNA NIEBIESKA, JEDNA RÓŻOWA

Dwa lata po tym, jak wymówiłam sakramentalne tak w Berlinie, trzęsę się jak osika na podłodze łazienki w Stambule. Szmaragdowe płytki na ścianach ozdabiają ciemnozielone pnącza, doskonale komponujące się z nastrojem kogoś, kto czuje się jak roślina.

Przez ostatnie półtora roku wykładałam na Uniwersytecie Arizony, w Katedrze Bliskiego Wschodu. Przeprowadzka z chłodnego Ann Arbor do słonecznego Hicson wymagała radykalnej zmiany mojej garderoby, która, dzięki Bogu, mieściła się w dwóch walizkach. W tym okresie jak szalona podróżowałam między Hicson a Stambułem, a teraz jestem tutaj, opieram się plecami o wannę i robię głębokie wdechy, żeby uspokoić dudniące serce.

W rękę trzymam drobny przedmiot. Ktoś mógłby uznać, że przykładanie tak dużej wagi do plastikowej rzeczy niewielkich rozmiarów jest dziwne, ale nic na to nie poradzę. Na opakowaniu widnieje napis: „Dwie kreski oznaczają ciężę. Pojedyncza niebieska kreska oznacza wynik negatywny”.

W tej chwili nie patrzę na wynik. Zamiast tego skupiam się na innych trywialnych szczegółach, takich jak data ważności i miejsce produkcji. Test wykonano w Chinach i pewnie dlatego kosztował jedną trzecią tego, co pozostałe. Zastanawiam się, na ile jest wiarygodny. W końcu pisali w gazetach o chińskich zabawkach wywołujących alergię. Ale czy chińskie testy mogą pokazywać fałszywie pozytywne wyniki?

Bardziej zainteresowana wiarygodnością produktu, który ściskam w dłoni, niż własnym stanem, spoglądam na cienki, biały pasek. Odczuwam ulgę. Jak dobrze. Widzę tylko jedną kreskę. Niebieską. Nie byłam gotowa na tę drugą. Mogę już stąd wyjść. Jednak z tyłu głowy słyszę ostrzegawczy głos, który radzi, żebym się nie spieszyła i jeszcze poczekała. A potem, tak jak się obawiałam, bez pośpiechu pojawia się różowa kreska.

Dlaczego różowa nie pojawiła się przed niebieską? Albo czemu nie pojawiły się jednocześnie? Wtedy nie musiałabym tyle czekać ani tak się denerwować. A może chińscy wytwórcy chcieli zapewnić kobietom więcej wrażeń?

Dopiero po kilku minutach przestaję toczyć spór z producentami i mierzę się z rzeczywistością. Wolno, ale niezawodnie mój umysł rozpoznaje to, co zaakceptowało już moje serce: jestem w ciąży.

I co teraz? Muszę z kimś porozmawiać. Ale z kim?

Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to konsultacja z miniaturowymi kobietami. Jednak szybko rezygnuję z tego pomysłu. Nie mogę im jeszcze wyznaczyć prawdy. Zwłaszcza Milady Ambicji Czechowskiej, która, jak się obawiam, wpadnie w szal. Panna Intelktualistka Cyniczna zdecydowanie nie wydaje się odpowiednią kandydatką na powierniczkę w tej sytuacji. I nawet rozmowa z Panią Derwisz

w niczym mi nie pomoże. Nie otrzymam od niej rozwiązania mojego dylematu; najpewniej będzie oczekiwała, że sama sobie poradzę. A w tej chwili panika całkowicie mnie blokuje.

Jeśli nie mogę porozmawiać z nimi, to z kim?

Wtedy przypominam sobie o Mamci Pudding Ryżowy.

Tylko ona spośród wszystkich Calineczek posiada wiedzę na temat dzieci i ciąży. Ale gdzie ona się podziewa? Co u niej słycać? Nie rozmawiałam z nią od tamtej nocy pod Drzewem Mózgowym. Muszę się z nią spotkać. A jeśli nie będzie chciała ze mną rozmawiać? Jestem pewna, że nadal się na mnie gniewa i nie odpowie na moje zaproszenie.

Uznaję, że powinnam jej poszukać.

*

Kolejny raz chwytam świecę z drżącym płomieniem i schodzę do labiryntu własnej duszy. Kolejny raz gubię się w tym miejscu, gdzie nie ma żadnych drogowskazów ani świateł. Nie wiem, gdzie mieszka Mamcia Pudding Ryżowy, i nie mogę sobie wyobrazić, jak wygląda jej lokum.

Po godzinie mozolnych poszukiwań odnajduję jej dom.

Jest zrobiony z kartonu po mleku, zdobią go koronkowe firanki i doniczki pełne tulipanów, goździków i hiacyntów ustawionych na parapecie okiennym. Naciskam dzwonek. Rozlega się dźwięk podobny do ptasiego świergotu.

— Czego chcesz? — pyta na mój widok.

Jest ubrana w sukienkę w róże, a włosy upięła wielokolorowymi spinkami. Wygląda, jakby trochę przytyła.

Na nogach ma kapcie z pomponami w kolorze fukcji, a na szyi zawiązany biały fartuch w czerwone kropki z napisem „Superkucharz” na piersi. Z wnętrza domu wydobywa się boski zapach. Czegoś słodkiego i owocowego.

— Chciałam przeprosić za to, że zламаłam ci serce — mówię potulnie. — Nie wiem, jak ci to wynagrodzić, obawiam się, że już na to za późno. Ale przychodzę z pilną sprawą, o której musimy porozmawiać. Mogę wejść?

— Przykro mi — odpowiada lodowatym głosem. — Trochę się spieszę i nie znajdę dla ciebie czasu.

Spogląda przez ramię w kierunku blatu kuchennego

— wygląda tak, jakby zamierzała zamknąć mi drzwi przed nosem.

— Mam jedzenie w piekarniku — wyjaśnia. — Piekę domowe kebaby z wołowiną i karczochami. To specjalny przepis, który wymaga największej uwagi. Robię także marmoladę truskawkową. Jeśli będzie się za długo gotowała, cukier się skawali. Muszę wracać do pracy.

— Zaczekaj, proszę. — Słowa grzęzną mi w gardle, ale udaje mi się sklecić zrozumiałe zdanie: — Nie wiem, co robić, jestem przerażona. Muszę z kimś porozmawiać, a pozostałe miniaturowe kobiety mnie nie rozumieją. Tylko ty możesz mi pomóc.

— A to dlaczego? — pyta, unosząc brwi.

— Bo jestem w ciąży.

Drzwi stają otworem, powietrze przeszywa okrzyk zachwytu, a Mamcia Pudding Ryżowy wybiega na zewnątrz z rozpromienioną twarzą i szeroko otwartymi ramionami. Skacze z radości. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak ra-

dośnie reagował na otrzymaną wiadomość. Przez moment obawiam się nawet, że postradła rozum.

— Gratulacje! — wrzeszczy, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami, niczym dziecko w cyrku.

„ — Wysłuchaj mnie, proszę. Jestem taka skołowana, że nie wiem, co robić ani co czuć. Chyba nie byłam na to gotowa.

— Wspaniale! Fantastycznie! Niech cię Bóg błogosławi!

— krzyczy ponownie. — Wejź, pozwól, że cię nakarmię. Teraz musisz więcej jeść.

Przez kolejną godzinę tylko się obżeram. Chociaż nie może nakłonić mnie do zjedzenia mięsa, wciska we mnie spory kawałek sernika z malinami, a potem ciastka domowej roboty i kilka łyżek marmolady. Kiedy jest absolutnie pewna, że nie zmieszczę ani kawałka więcej, odchyła się do tyłu i nagle poważnieje.

— Proszę, proszę. A więc tak się sprawy mają — mówi.

— Szukasz mojej pomocy?

Nie podoba mi się zmiana w jej głosie, ale i tak potakuję.

— Dobrze, pomogę ci, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Zmienisz ustrój polityczny. Nie będziemy dłużej żyć według prawa wojennego. Zrozumiałaś? Koniec z zamachami stanu.

— Jasne, oczywiście — odpowiadam jak potulny baranek. — Zawsze chciałam, żeby Chór Niewspółbrzmiających Głosów opowiedział się za demokracją na pełnych prawach. To będzie początek nowej ery.

— Co do tego... — zaczyna, ale nie kończy, bo dopada ją kaszel.

— Coś ci stanęło w gardle?

Mamcia Pudding Ryżowy się prostuje.

— Muszę coś wyjaśnić — kończy. — Nie przepadam za demokracją. Właściwie chcę powrotu monarchii, tylko tym razem to ja będę królową.

Chyba żartuje. Już mam z niej zadrwić, gdy coś mnie powstrzymuje.

— Czy panowała demokracja, kiedy byłam ciemnona? — pyta. — Czemu mam godzić się na demokrację, skoro ja dowodzę? Oko za oko, ząb za ząb. Czas na moje rządy. Nagle zaczyna mnie irytować, a nawet trochę przerażać.

— Idź i przynieś mi złotą koronę — rozkazuje. — Te twoje dwie wariatki nie mają od tej pory nic do powiedzenia. Wtrąć je do Alcatraz, żeby tam zgniły!

— Mam w sobie Alcatraz? — dziwię się.

— Nie, ale ja je wybuduję! — ryczy. — W końcu role się odwróciły! Je suis l'État!*

*

W drodze powrotnej odwiedzam Pannę Intelktualistkę Cyniczną i przekazuję jej wieści. Słucha uważnie z twarzą białą jak prześcieradło. Razem udajemy się do mieszkania Milady Ambicji Czechowskiej, po czym ostrzegamy ją o nieuchronnym przejęciu władzy.

— Nie możesz się nas pozbyć ot tak — stwierdza Milady Ambicja Czechowska, chociaż w jej głosie brakuje

mocy.

— Nie możesz nam tego zrobić — powtarza Panna Intelktualistka Cyniczna niczym zalękniona papuga.

— Nic na to nie poradzę — odpowiadam. — Ta ciąża wszystko zmieniła. Od tej chwili zapominamy o reżimie wojskowym.

Najpierw panowała we mnie oligarchia, potem przeprowadzono zamach stanu.

Teraz w moim Wewnętrznym Świecie zapanowała monarchia.

** Je suis l'État (franc.) — „Państwo to ja”.*

CZEŚĆ PIĄTA PIĘKNA KAPITULACJA

DZIENNIK KOBIETY CIĘŻARNEJ TYDZIEŃ 5

Dzisiaj Mamcia Pudding Ryżowy przejęła władzę. Przechadza się z koroną na głowie i z nie większym od zapałki berłem w ręku. Żeby sprawiać wrażenie wyższej, zaczęła nosić buty na wysokich obcasach. Kiedy musi się przemieścić, noszę ją w lektyce. Nieśmiała kobieta o zaróżowionych policzkach, którą poznałam w samolocie, zniknęła. Jej miejsce zajęła tyranka.

Pierwszym dokonaniem Jej Królewskiej Mości było stworzenie nowej konstytucji. Początek głosi: „Macierzyństwo jest Świętością i Zaszczycem, i jako takie należy je traktować”. Niezaprzeczalnie, niepodważalnie, niezmiennie. Odtąd nawet najdrobniejsza krytyka małżeństwa albo macierzyństwa będzie karana na mocy prawa. Książki Simone de Beauvoir zapłonęły niczym ogromne ognisko. Sylvia Plath, Dorothy Parker, Anaïs Nin, Zelda Fitzgerald i Sevgi Soysal są surowo zakazane. Mam trzymać się z dala od ich utworów w czasie ciąży.

Tylko jedną książkę Mamcia Pudding Ryżowy pozwala mi zachować.

— Czytaj Małe kobietki. Będą ci przypominały, jak ważne są więzy rodzinne i w ten sposób przygotowują cię do roli matki — twierdzi.

— Ale ja znam tę książkę — narzekam.

— Nie zaszkodzi odświeżyć pamięć.

Rozumiem, że dla Mamci Pudding Ryżowy czytanie książek niczym nie różni się od robienia swetra na drutach. Możesz dziergać ten sam wzór w nieskończoność, korzystać z tego samego przepisu przez lata i zadowalać się kilkoma książkami na półce, które wertujesz raz za razem.

TYDZIEŃ 6

W tym tygodniu dowiedziałam się, że poranne mdłości nie muszą pojawiać się rano. Mogą dopaść mnie o każdej porze.

— Mamciu Pudding Ryżowy, przez cały czas czuję się zmęczona i senna, jakbym dźwigała torby z kamieniami — narzekam. — Jak sobie z tym radzić?

Rzuca berłem o ziemię tak mocno, że rozlega się głośny huk, a ziemia drży pod moimi stopami.

— Będziesz to znosiła, tak jak nasze matki, babki i prababki. "A co z chłopkami, które rodziły na polu po dniu ciężkiej pracy? Przecinały pępownię pierwszym lepszym narzędziem i bez słowa skargi wracały do spulchniania ziemi motyką.

Czy ja wyglądam na heroiczną chłopkę? Nie potrafię nawet odróżnić jęczmienia od gryki, ale nie mam odwagi, by jej o tym wspomnieć.

— Bądź wdzięczna, że nie przyszedł na ten świat jako słońca — mówi Królowa Mamcia. — Gdybyś nią była, twoja ciąża trwałaby dwadzieścia dwa miesiące! Podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie!

Smucę się, że nie jestem chłopką, ale cieszę, że nie przyszło mi żyć jako słońca: oto podsumowanie mojego nastroju w tym tygodniu.

TYDZIEŃ 8

Nie jem nic poza przekąskami. A skoro większość z nich zawiera ogromne ilości kalorii, obawiam się, że pod koniec tygodnia zacznę przypominać pulchną kobietę z parowca. Żeby lepiej się odżywiać, kupuję kilka zdrowych produktów: niskotłuszczowe herbatniki, niskotłuszczowe prele, niskotłuszczowy jogurt, niskotłuszczowy ser i niesolone krakersy ryżowe. Po powrocie do domu Mamcia Pudding Ryżowy zeskakuje ze swojego tronu i przegląda moje torby.

— Co to jest?

— Nic takiego, kilka przekąsek — tłumaczę.

Wyrzuca moją torbę przez okno.

— Wstydz się! Powinno być ci głupio! Żadnej soli, żadnego cukru, żadnego tłuszczu. Co to ma być? Czy my prowadzimy klinikę odchudzania? A może Blue Belle Bovary miesza ci w głowie? Nie słuchaj tej latawicy! Oszołomiona i dotknięta, zastanawiam się, jak odpowiedzieć — i czy w ogóle to zrobić.

— Twoim jedynym priorytetem jest jedzenie tego, co dobre dla dziecka — podsumowuje. — I co z tego, że zamienisz rozmiar ósmy na dwudziesty? Kogo to obchodzi? Czerwienię się, skruszona. Czy ona może mieć rację? Czy przedkładam własny wygląd nad zdrowie dziecka? Jej Królewska Mość daje mi ważną lekcję człowieczeństwa — macierzyństwo ma pseudonim literacki: poczucie winy. Żeby pozbyć się wyrzutów sumienia, zjadam ogromną paczkę ciasteczek z kawałkami orzechów laskowych, których nawet nie lubię.

TYDZIEŃ 12

W telewizji Christiane Amanpour przeprowadza wywiad z afrykańskimi dziećmi, którym AIDS odebrało rodziców.

Ekipa CNN weszła do glinianej chaty i ustawiła kamery na ziemi pokrytej słomą. Krajobraz jest surowy, bezlitosny. Ściskając chusteczkę w dłoni, oglądam program i płaczę. Ostatnio wszystko doprowadza mnie do łez. Na słupie wysokiego napięcia tuż za rogiem wisi para butów — wyblakłych, niebieskich conversów — i ilekroć je mijam, czuję, jak ogarnia mnie smutek. Zastanawiam się, do kogo należały. Jak się tam znalazły? W słońcu czy w deszczu, są tam zawsze — takie bezbronne, takie samotne. To tylko trampki. Chłopcy szturchają się na podwórku, dwa dzikie koty walczą o ochłap mięsa w śmietniku, kościsty Kurd sprzedaje kebaby z kasztanami na ulicy, sąsiadka trzepie wywieszony za okno dywan i obsypuje przechodniów kurzem, topniejące lodowce na Antarktyce, zanieczyszczenie atmosfery, gąszcz problemów w Palestynie, kawałek rozgniecionego chleba na ziemi. Wszystko i nic, to takie stresujące. Słowa kruszą się w moich palcach niczym piaskowiec smagany wiatrem, a moje dni wypełnia melancholia.

W wieczornym wydaniu wiadomości pokazują psa — młodego teriera z brązowymi uszami i białym torsem. Ma ogromną, błyszczącą kokardę przewiazaną na szyi. Jego właścicielką jest emerytowana nauczycielka chemii. Gdy ona gra na pianinie, szczeniak siada u jej stóp i zaczyna wyc.

Oglądam tę scenę oczami pełnymi łez.

— Dlaczego znowu płaczesz? — pyta Eyup. Jego słynna cierpliwość powoli się wyczerpuje.

— Biedny szczeniak — mówię ze szlochem.

— Dlaczego się nad nim litujesz? Pewnie jest lepiej odżywiony od tysięcy dzieci, które co wieczór kładą się spać głodne.

— Tysiące dzieci, które co wieczór kładą się spać głodne — powtarzam bliska płaczu.

— O Boże, powinienem być ugryźć się w język — mówi Eyup łagodnie.

On mnie nie rozumie. Jak mu wytłumaczyć, dlaczego jest mi żal szczeniaka? Właściwie współczuję wszystkim terierom z błyszczącą kokardą na szyi. Nasza żądza blasków sławy, nasza nieumiejętność radzenia sobie ze śmiertelnością, nasze wygnanie z Rajskiego Ogrodu — czuję na piersi ciężar zwykłej ludzkiej egzystencji. Nie mogę oddychać.

TYDZIEŃ 16

Mamcia Pudding Ryżowy podaje mi pudełko z płytami CD.

— Każdą z nich przesłuchaj co najmniej trzykrotnie — rozkazuje.

Zerkam na pudełko i mruczę:

— Ale ja nie przepadam za operą.

— To nie dla ciebie, tylko dla dziecka — odpowiada, włączając odtwarzacz i maksymalnie zwiększając głośność.

Po sekundzie dźwięki Poławiaczy perł Georgesa Bizeta wypełniają pokój i niosą się po okolicy.

Kobieta, która wcześniej trzepała dywan po drugiej stronie ulicy, teraz wystawia głowę przez okno i rozgląda

się na lewo i prawo, żeby ustalić, skąd dochodzi głęboki, męski głos. Nagle jej twarz wykrzywia potworny grymas, gdy odkrywa, że muzyka gra w naszym mieszkaniu. Mrużąc ciemne, świdrujące oczy, zagląda przez okno w głąb mojej drżącej duszy.

— Czy możesz to ściszyć? — błagam Jej Królewską Mość.

— Dlaczego? Dziecko zaznajamia się z kulturą i językiem francuskim. Wiesz, że ono słyszy już w łonie? Zmienia płytę. Słyszemy krople deszczu uderzające o cienki dach, a potem meczenie kóz i dzwony bijące w oddali.

— Co to takiego? — pytam zdumiona.

— Spokojne dźwięki Matki Natury — wyjaśnia Mamcia Pudding Ryżowy. — Zostały nagrane z myślą o kobietach w ciąży. Mają działać uspokajająco. Idealny nefarmakologiczny środek nasenny.

— Nie mam problemów ze snem. Właściwie wciąż tylko śpię — odpowiadam, próbując zachować spokój. Nie znam się na dzieciach, ale te dźwięki zaczynają mnie wkurzać.

— Moim zdaniem ptaki świergoczące w australijskim lesie deszczowym skutecznie uniemożliwiają zaśnięcie.

— Więc czego chcesz słuchać? — pyta.

— Punka, postpunka, industrial metalu. Taka muzyka zawsze towarzyszyła mi podczas pisania powieści. Mogłabym sięgnąć po Pearl Jam, Chumbawambę, Bad Religion...

— Nic z tego. — Jej twarz się marszczy. — Zapomnij o wulgarnych dźwiękach. Nie tworzysz powieści. Masz wydać na świat dziecko.

Więc przez cały tydzień Kuzguncuk — najstarsza i jedna z najspokojniejszych dzielnic Stambułu — rozbrzmiewa dźwiękami muczących krów, kwaczących kaczek, pohukujących sów i francuskich arii.

TYDZIEŃ 18

Przestałam popłakiwać, ale teraz wszystko dziwnie pachnie. Niczym pies myśliwski, puszczonego do lasu, przez cały dzień tropię z rozszerzonymi nozdrzami: szczypta imbiru w wielkim garze zupy warzywnej, wodorosty w odległości nawet wielu kilometrów od wybrzeża, marynata na ladzie sklepowej kilka przecznic dalej. Zachowuję się niczym Jean-Baptiste Grenouille z Pachnidła Patricka Siiskinda. Jednak ze wszystkich zapachów tylko jeden przyprawia mnie o mdłości i każe uciekać w drugą stronę: kokos. Kto by pomyślał, że cały Stambuł pachnie kokosami? Jakby miasto zostało zbudowane na wyspie tropikalnej. Kokosy i ich przesyłdzone aromaty są wszechobecne: saszetki zawieszane na lusterkach w taksówkach, mydła w płynie w toaletach publicznych, drobne, białe wiórki zdobiące słodkie wypieki, perfumowane świece dekorujące kawiarnie i restauracje oraz darmowe ciasteczka rozdawane klientom w supermarketach. Kiedy Turcy tak bardzo polubili kokos?

Stambuł to jeden wielki przepołowiony kokos. Jego

azjatycka część to jedna połówka, a europejska to druga.
Nie ma przed nim ucieczki.

TYDZIEŃ 20

Poznaliśmy płęć dziecka. Będziemy mieli córkę.
Cieszę się. Eyup się cieszy. Mamcia Pudding Ryżowy
jest zachwycona.

— Znacznie łatwiej ubrać dziewczynkę i więcej przy
tym zabawy — mówi z błyszczącymi oczami.
Małe dziewczynki ubiera się w bladoróżowe, ciemno-
różowe i amarantowe ubranka, a chłopców w granatowe,
brązowe i błękitne. Dziewczynkom kupuje się lalki Barbie
i zestawy do herbaty, a chłopcom kałasznikowy i ciężarów-
ki. Zastanawiam się, czy mogę wychować córkę inaczej.

— Po co zaprzętać sobie głowę takimi bzdurami?

— pyta Mamcia Pudding Ryżowy, kiedy dzielę się z nią
swoimi przemyśleniami. — Nawet jeśli postanowisz, że
twoja córka będzie nosiła ubrania w kolorze szafirów albo
szmaragdów, ona i tak wybierze róż w chwili, gdy prze-
kroczy próg szkoły. Będzie chciała ubierać się tak jak jej
koleżanki i ulubione bohaterki. Barbie ma różowy dom,
Dora nosi różowe szorty, a Hello Kitty to nic innego, tylko
róż! Po co próbować płynąć pod prąd?

Tej nocy śnię, że płynę rzeką różową jak landrynka.

Moje sny są zawsze bezbarwne, a przynajmniej tak je zapa-
miętnię. Sen w technicolorze wprawia mnie w ekscytację,
nawet jeśli jest różowy.

TYDZIEŃ 21

W tajemnicy wybieram się na spotkanie z Panną Intelektualistką Cyniczną. Tradycyjnie znajduję ją w mieście try-
skającym pomysłami jak Nowy Jork, za drzwiami z kutego
żelaza, w mieszkaniu z plakatami Che Guevary i Marlona
Brando na ścianach. Jest ubrana w jedną z tych swoich
hippisowskich sukienek z frędzlami. Naszyjnik z dużymi
niebieskimi i fioletowymi paciorkami zdobi jej szyję.

— Masz bardzo ładny naszyjnik — chwalę.

— Podoba ci się? Zrobił go jeden z wieśniaków miesz-
kających na peryferiach Machu Picchu. Kupiłam go, żeby
wesprzeć lokalną ludność w walce z niszczycielską siłą
globalnego kapitalizmu.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Tęskniłam za Panną
Intelektualistką Cyniczną — jedyną miniaturową kobietą,
która na jednym wdechu potrafi przejść od zwykłego na-
szyjnika do analizy globalizacji korporacyjnej.

— Jak się czujesz w ciąży? — pyta.

— Dobrze. Widziałam dziecko podczas badania ultra-
sonografem. To cudowne uczucie.

— Hm — mruczy Panienska Intelektualistka Cyniczna.

— Ale czuję się trochę pusta w środku. Zawsze jestem
śpiąca, płaczę, jem albo czuję zapach kokosów. — Mój głos
drży odrobinę. — Tak naprawdę brakuje mi naszych głębo-
kich rozmów.

Panna Intelektualistka Cyniczna wbija wzrok w stopy,

jakby to one ponosiły odpowiedzialność za tę sytuację.

— Dawniej rozmawialiśmy o powieściach, filmach, wystawach i filozofii politycznej — kontynuuję. — Ty na wszystko psioczyłaś, każdego mieszałaś z błotem, krytykowałaś kulturową hegemonię... Zostałam odsunięta od książek, jeśli nie liczyć Małych kobietek.

Panna Intelektualistka Cyniczna zapala papierosa, ale na widok mojej miny szybko go gasi. Pamięta, że zerwałam z nałogiem.

— Naprawdę za mną tęskniłaś? — pyta.

— I to jak!

— Ja za tobą też. Dawniej godzinami czytałyśmy i obmawialiśmy innych pisarzy. Było fajnie. Już tego nie robimy. Wygląda, jakby ważyła coś na dłoni, i nagle puszcza do mnie oko.

— Chodź, poczytamy Sevgi Soysal.

— Nie mogę. Znajduje się na liście zakazanych autorów — odpowiadam niepewnie.

Panna Intelektualistka Cyniczna kipi ze złości.

— Chyba żartujesz! — ryczy. — Ta mamuska nie zna granic. Nikt nie może zakazać kontaktu z literaturą.

Zgadzam się.

Panna Intelektualistka Cyniczna otwiera książkę na przypadkowej stronie i czyta, a ja słucham jej kołyszącego głosu.

„Tante Rosa wierzyła, że nadejdzie taki dzień, gdy jabłko będzie jabłkiem, ojciec będzie ojcem, wojna będzie wojną, prawda będzie prawdą, kłamstwo będzie kłamstwem, miłość będzie miłością, nasycenie będzie nasyceniem, bunt będzie buntem, cisza będzie ciszą, niesprawiedliwość będzie niesprawiedliwością, porządek będzie porządkiem, a małżeństwo będzie małżeństwem”.

TYDZIEŃ 22

Choć nie wiem skąd, Jej Królewska Mość dowiedziała się o moim spotkaniu z Panną Intelektualistką Cyniczną. Jednak wbrew moim obawom nie wpada w szal.

— A więc brakuje ci książek — mówi, wzdychając, jakby ta myśl ją męczyła. Potem wyciąga spod płaszcza pudełko.

— Co to? — pytam.

— Przyniosłam ci prezent — odpowiada. — Pomyślałam, że ci się spodoba.

Kiedy otwieram pakunek, ze środka wypada książka zatytułowana *Moje dziecko i ja*. Najwyraźniej Mamcia Pudding Ryżowy już ją przeczytała. Niektóre zdania są podkreślone, niektóre rozdziały oznaczone gwiazdką: „Przygotowanie pokoju dziecka”, „Rewelacyjne przepisy na przeciery”. Dziękuję jej, po czym odkładam książkę. Kiedyś ją przeczytam.

Mamcia Pudding Ryżowy dostrzega mój brak entuzjazmu.

— No dobrze — daje za wygraną. — Może przesadziłam, kiedy zakazałam ci kontaktu z książkami i spaliłam cały zapas papieru i wszystkie długopisy w domu.

Milczę.

— Przywykłaś do wyrażania siebie poprzez pisanie. Mam zatem pewną sugestię. Dlaczego nie napiszesz listu do swojego dziecka?
Z uśmiechem potakuję. To najlepsza rada, jaką otrzymałam od Jej Królewskiej Mości.

TYDZIEŃ 25

Drogie Dziecko*,
to pierwszy list, który do Ciebie piszę. Przeczytałam kiedyś, że niektóre tradycyjne plemiona wierzyły, iż to dzieci wybierają sobie rodziców. Wtedy mnie to rozśmieszyło, ale teraz * Skoro nie znam jeszcze Twojego imienia, mam nadzieję, że mogę się tak do Ciebie zwracać.

wydaje mi się całkiem wiarygodne. Wyobrażam sobie, jak siedzisz w niebie z aniołami i przeglądasz opasy katalog w skórzanej oprawie ze zdjęciami potencjalnych matek. Pod każdą fotografią widnieje krótki opis. Anioły przewracają kolejne strony z największą cierpliwością. A Ty przyglądasz się wszystkim kandydatkom niczym kupiec.

— Ta nie — mówisz. — Ani ta...

Lekarki, inżynierki, gospodynie domowe i kobiety interesu migają Ci przed oczami. Chociaż jest tam wiele kandydatek spełniających niezbędne warunki, kobiet, które dobrze wykonują swoją pracę i są starannie wykształcone, ignorujesz je.

Nagle anioł przewraca kolejną stronę i widzisz moje zdjęcie. To nie jest moja najlepsza fotka, mam potargane włosy — kolejny raz — i niedbały makijaż. Jestem ubrana na cebulę. Pod spodem widnieje opis: „Zakręcona, chaotyczna osobowość, bywa irracjonalna, jeszcze nie znalazła swojego miejsca na świecie, ciągle szuka odpowiedzi. Uwielbia opowiadać historie. Pisarka. Felietonistka. Literatka”.

Wskazując paluszkami moją twarz, mówisz:

— Z tą może być zabawnie. Pozwólcie mi się jej lepiej przyjrzeć.

Nie wiem dlaczego ze wszystkich możliwych matek we wszechświecie wybrałaś mnie. Może szalona z Ciebie dziewczyna. Może idealna matka wydaje Ci się nudna. A może już znasz mnie lepiej niż ja sama. Może dostrzegłaś we mnie potencjał. Może chcesz mi pomóc pokonać moje wady. Możesz być moją przewodniczką, moją najlepszą nauczycielką.

Jak już wspomniałam, nie wiem, dlaczego mnie wybrałaś, ale chcę, byś wiedziała, że czuję się zaszczycona. Mam nadzieję, że nigdy nie pożałujesz tej decyzji i nie powiesz: „Dlaczego ze wszystkich matek we wszechświecie wybrałam właśnie tę?!”.

Kochająca mama, która nie może doczekać się Twoich narodzin
Elif

TYDZIEŃ 28

Mamcia Pudding Ryzowy nalega, żebym chodziła na jogę

dla kobiet w ciąży. Twierdzi, że muszę poznać techniki oddychania.

— Doskonale radzę sobie z oddychaniem, nic się nie martw — uspokajam ją.

Ale ona nie daje za wygraną. Chce, żebym rodziła w naturalnych i godziwych warunkach, jak najbardziej zbliżonych do tych, które jej zdaniem miały nasze prapraprababki. Nie wytykam jej, że nasze antenatki raczej nie zgłębiały jogasutr przed porodem.

TYDZIEŃ 29

Moja grupa na zajęciach jogi składa się z dziesięciu kobiet. Dziewięć z nich ma brzuchy tuż pod brodą. Albo wszystkie zbliżają się do terminu rozwiązania, albo napompowały się jak balony podczas tych zajęć. Może zamiast uczyć technik oddychania, napełniają tutaj kobiety gorącym powietrzem.

Jedynie nasza instruktorka nie jest w ciąży: to wysportowana, pogodna Brazylijka o długich, kręconych, czarnych włosach. Na powitanie uśmiecha się do mnie szeroko, odsłaniając białe jak perełki zęby. Przedstawia mnie grupie.

— Powitajmy Elif i jej dziecko w naszym kręgu miłości — mówi i zamyka oczy, jakby już znajdowała się daleko stąd.

— Cześć — zwracam się do grupy, ale pozostałe kobiety także zamknęły już oczy.

— Najpierw oczyścimy czakry. Wzmocnimy naszą energię, a potem poćwiczmy techniki oddychania pranajama. Poczujemy wstępowanie w suszumnę w kierunku głowy, a potem jedność z sahasrara.

Nie mam pojęcia, co robić, więc naśladuję inne panie. Siadam po turecku na podłodze, zamykam oczy i próbuję skoncentrować się na tym nowym języku.

— A teraz poczujmy aurę, która otula nasze ciała niczym ciepła rękawica — mówi instruktorka. — Czujecie, jaka jest delikatna? Prawie jedwabista?

Ku mojemu zdumieniu naprawdę coś czuję, nową obecność, tylko że nie okrywa łagodnie mojego ciała, a mocno szturcha mnie w ramię.

— Powiedzmy „miło cię widzieć” do tej delikatnej energii — kontynuuje instruktorka.

— Miło cię widzieć — mruczę.

— Wzajemnie — nadchodzi błyskawiczna odpowiedź, która mną wstrząsa.

Ten głos jest dziwnie znajomy. Podejrzliwie otwieram jedno oko i widzę Milady Ambicję Czechowską stojącą na moim lewym ramieniu. Wpatruje się we mnie.

— Co ty tutaj robisz? — syczę ściszym głosem.

— Nic takiego. Dawno nie rozmawialiśmy i byłam ciekawa, jak sobie radzisz.

— Jak widzisz, jestem tutaj.

— Musisz mieć mnóstwo wolnego czasu, skoro zaprzętasz sobie głowę takimi bzdurami — komentuje. — Podczas naszego ostatniego spotkania pisałaś powieść. A teraz? Tylko spójrz na siebie!

Nie wiem, co powiedzieć, czekam więc na kolejne

zdanie.

— Daj spokój. Powinnaś tworzyć literaturę. Historie, pomysły, fabuły, świat wyobraźni... To wszystko wciąż na ciebie czeka. Po co otwierasz czakry i mamrociesz obce słowa, których nawet nie potrafisz wymówić? Żałuję, że mnie nie posłuchałaś, kiedy poprosiłam, żebyś podwiązała sobie jajniki.

Tymczasem instruktorka przemawia żarliwie:

— Joga w sanskrycie znaczy „jednoczyć”. Naszym celem jest zapewnienie jedności ciała, umysłu i duszy. Milady Ambicja Czechowska prycha.

— A co z jednością miniaturowych kobiet? Cierpimy pod jarzmem najgorszej monarchii.

— Daj mi spokój — mówię. — Twój reżim wojskowy był gorszy.

— A teraz wkroczymy do naszego wewnętrznego królestwa, gdzie będziemy medytować w rytm bicia serca

— wyjaśnia instruktorka. — I zjednoczymy się ze wszechświatem.

— Idę — oświadcza Milady Ambicja Czechowska.

— Ty zostań i za dwieście pięćdziesiąt lir za lekcję jednocz się, z kimkolwiek chcesz.

Ignorując moje próby sklecenia zdania, wskakuje na parapet okienny, salutuje, po czym znika. A ja ponownie zamykam oczy i siedzę nieruchomo, ale nic z tego nie wynika. Już nie potrafię skupić się na zajęciach. Może Milady Ambicja Czechowska ma rację. Nie potrafię zjednoczyć się z moimi Calineczkami, a próbuję ze wszechświatem.

TYDZIEŃ 32

Ruszam na zakupy z Mamcią Pudding Ryżowy. Spędzamy wiele godzin w sklepach dla najmłodszych. Nie miałam pojęcia o istnieniu dziecięcego przemysłu modowego z kolekcjami ubrań hołdujących najnowszym trendom. Są prześliczne i bardzo drogie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że będą noszone zaledwie przez kilka tygodni, a przy tym nieustannie upaprane wymiocinami, śliną i siuškami. Zastanawiam się, ilu z tych produktów dla dzieci naprawdę potrzebujemy. Plastikowe kaczki, które kwaczą w wannie, ocieplacze na brzuch wykonane z organicznej wełny merynosów, ekologiczne płaszcze kąpielowe na lato, ekologiczne płaszcze kąpielowe na zimę, specjalne pozytywki z uchwytem do wózka, nietoksyczne szczotki do czyszczenia kaczek do wanny, stopery do drzwi w kształcie dinozaura uniemożliwiająca trzaskanie, świecące w ciemnościach naklejki w kształcie planet i gwiazd do przyklejenia na suficie w pokoju dziecięcym i wiele innych. Te niezliczone bibeloty przyciągają Mamcią Pudding Ryżowy jak magnes. Biega od sklepu do sklepu z moją kartą kredytową w ręku, zdeterminowana, żeby wydać wszystkie oszczędności na różowe, urocze dziecięce rzeczy. Do tego stopnia pochłonęła ją ta zakupowa histeria, że mam ochotę od niej uciec. Ale dokąd? Czy ciężarna kobieta może uwolnić się od swojej matczynej natury?

TYDZIEŃ 34

W tym tygodniu odkrywam, jak ważna jest inteligencja dziecka dla kobiety zbliżającej się do terminu porodu. Jej Królewska Mość ma na tym punkcie obsesję. Pigułki z kwa-

264
sami omega-3, kapsułki z tranem i jakiś płyn o obrzydliwym zapachu. Wpycha mi to wszystko do buzi, przekonana, że jeśli zjem wystarczająco dużo tych specyfików, moje dziecko będzie miało wysokie IQ.

— Kawior jest najlepszy — mówi. — Jeśli ciężarna kobieta zjada dwie łyżki czarnego kawioru dziennie, istnieje szansa, że wyda na świat geniusza.

— Zgodnie z twoją teorią ludzie zamieszkujący okolice Morza Kaspijskiego powinni być wybitnie błyskotliwi — stwierdzam.

Kwituje mój sarkazm machnięciem ręki, jakby odpędzała natarczywą muchę.

— Po prostu rób, co mówię — rozkazuje.

Nie rozumiem jej obsesji na punkcie IQ. A Mamcia Pudding Ryżowy nie jest w tym osamotniona. W poczekalniach gabinetów lekarskich, w programach telewizyjnych, na blogach i stronach internetowych, w gazetach, wszędzie i nieustannie ciężarne kobiety szukają sposobu na poprawę ilorazu inteligencji.

— Załóżmy na moment, że teoria o kawiorze jest prawdziwa — zaczynam od innej strony.

— No dobrze... — odpowiada Mamcia Pudding Ryżowy.

— Powiedzmy, że tureckie matki stworzyłyby superinteligentne dziecko. I co wtedy? Malec przychodzi na świat, a gdy zaczyna chodzić i mówić, dla wszystkich staje się jasne, że jest niezwykle utalentowany. Radzi sobie z muzyką, malarstwem, rzeźbą, sztuką i matematyką. Uwielbia czytać i pochłania dzieła klasyków w wieku pięciu lat.

— Do czego zmierzasz? — pyta podejrzliwie Mamcia Pudding Ryżowy.

— Co się stanie z tymi wyhodowanymi na kawiorze dziećmi w środowisku, które nie nagradza indywidualności jednostki i niezwykłych talentów? Czy pożądanie mądrego dziecka w sytuacji, gdy nie potrafi się zaakceptować takiego, które jest kreatywne, nie zakrawa na ironię?

Mamcia Pudding Ryżowy uderza gwałtownie swoim berłem.

— Dość! Wiem, skąd to całe zawrodozenie i biadolenie — mówi. — Rozmawiałaś z Panną Intelktualistką Cyniczną. Spotykasz się z nią za moimi plecami. Mam rację? Czerwieniąc się po same uszy, nie dodaję nic więcej.

TYDZIEŃ 36

To prawda. Nie przestałam widywać się potajemnie z Panną Intelktualistką Cyniczną. Zaciągamy zasłony, zamykamy drzwi i rozmawiamy o książkach — jak za dawnych, dobrych czasów. Jak na intelektualistki przystało, narzekamy i psioczemy na wszystkich wokół, z wysoko uniesionymi

głowami i poczuciem, że jesteśmy najjaśniejszymi żarówkami w kryształowym żyrandolu społeczeństwa. Skręcam się ze śmiechu, kiedy Panna Intelktualistka Cyniczna zarzuca prześcieradło na ramiona i dzierży fasolkę szparagową niczym berło. Doskonale naśladuje innych.

Pewnego dnia, zupełnie niespodziewanie, zwraca się do mnie z pytaniem:

— Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego matki używają liczby mnogiej, kiedy zwracają się do swoich dzieci?

— Co masz na myśli?

— Zastanów się. Mają taki zabawny sposób mówienia: Ubrudziliśmy się? Chce nam się pić? Zrobiliśmy siusiu w spodenki?

Wyginam szyję i słucham uważnie.

— Jeśli dziecko upadnie, matka zaczyna: „Och, kochanie, upadliśmy, ale nic się nie stało, to nie boli!”. Skąd wie, czy to boli, czy nie? To nie ona upadła, tylko dziecko!

— Tak, masz rację — przyznaję.

— Dziecko ma własne ciało, a zatem to niezależna ontologicznie istota. Wiele matek po prostu nie potrafi się z tym pogodzić.

— To prawda — mówię życzliwie.

Nagle jej głos łagodnieje.

— Po prostu bądź sobą — radzi. — Nie pozwól, żeby Mamcia Pudding Ryżowy zamieniła cię w jedną z tych matek żyjących w śnieżnych kulach.

— A kim one są?

— Znasz te rozhisteryzowane kobiety, które piskliwym głosem przemawiają do swoich pociech, nawet gdy te już podrosną? Takie, które karmią dzieci aż do college'u? Macierzyństwo odbiera im rozum. Żyją w próżni. Ich cały świat mieści się w szklanej śnieżnej kuli. Oczywiście w środku jest kolorowo i ślicznie, ale przy tym także przytłaczająco i duszno. Nie stań się jedną z... — Nie kończy zdania.

— Kto? Ja? Nigdy! — zapewniam ją z przekonaniem.

— Istnieje cienka granica pomiędzy macierzyństwem a faszyzmem — oświadczam.

— Zaufaj mi — mówię. — Nie będę zmuszała córki do jedzenia. Jeśli nie będzie miała apetytu, nie zje. Będę dawała jej mnóstwo przestrzeni i wolności od samego początku. Zobaczysz, jaką będę demokratyczną mamą.

— To dobrze! — wykrzykuje Panna Intelktualistka Cyniczna. — Oto moje duże Ja.

TYDZIEŃ 38

W tym tygodniu dowiaduję się, że ciało ciężarnej nie należy wyłącznie do niej, ale do wszystkich kobiet.

Pewnego dnia, kiedy robię zakupy w sklepie spożywczym, podchodzi do mnie starsza pani, której nigdy wcześniej nie spotkałam, i zagląda do mojego wózka.

— Kupujesz bakłażany — mówi z przerażeniem na twarzy.

— Tak — odpowiadam ostrożnie.

— Ale one zawierają nikotynę — wyjaśnia, po czym

odwraca się do praktykanta, jakby to on ponosił odpowiedzialność za ten potworny błąd. — Jak mogłeś dać jej bakłażany? Zabierz je z powrotem.

Chłopak kiwa głową, uznając władzę leciwej klientki. Bez konsultacji ze mną wyjmuję bakłażany z mojego wózka.

— Daj jej brokuły — komenderuje staruszka.

Kolejny raz praktykant spełnia jej polecenie.

— I trochę szpinaku. Jest bardzo zdrowy. I nie zapomnij o papryce. Do każdej potrawy dodawaj zieloną paprykę. W moim wózku ląduje paczka szpinaku i ćwierć kilo zielonej papryki.

— Skończyli państwo z moimi zakupami? Mogę już iść? — pytam.

Oboje uśmiechają się do mnie szeroko.

To samo spotyka mnie na basenie. Wszystkie kobiety czują potrzebę, żeby coś powiedzieć, cokolwiek, co pomoże mi przetrwać kolejny dzień ciąży.

— Proszę uważać. Podłoga jest śliska — mówi jedna.

— Lepiej trzymać się cienia — ostrzega inna.

— Proszę nie zanurzać brzucha w pierwszej kolejności — informuje jej sąsiadka.

— Niech pani nie połyka chloru — dodaje ktoś jeszcze.

Na ulicy, w autobusie, na statku, w kawiarniach i restauracjach nieznajome dają mi rady. Jeśli któraś z nich coś je, natychmiast chce się ze mną podzielić.

Bez względu na to, ile razy odmawiam, one nalegają tak długo, aż ulegam. Dlatego nieustannie podgryzam kanapki i ciastka innych ludzi. Nie ma znaczenia, że wcześniej ich nie znałam ani nigdy więcej ich nie zobaczę. Cięża wyklucza formalności, a bez nich nie istnieje prywatność.

TYDZIEŃ 39,5

Zalała mnie fala spokoju. Prądy powietrza delikatnie kierują chmury ku horyzontowi, a stambulskie tulipany są w pełnym rozkwicie, fioletowe, czerwone i żółte. Nagle świat staje się cudownym miejscem, a życie jest wspaniałe. Uśmiecham się tak często, że nie czuję ust.

Kiedy mijam dzisiaj słup wysokiego napięcia, dostrzegam, że conversy zniknęły. Ktoś musiał je zdjąć. To cudownie! Jaka rozkoszna pogoda, jacy życzliwi ludzie, jakie niebieskie niebo! Jaki zachwycający świat!

— To hormon szczęścia — wyjaśnia Mamcia Pudding Ryzowy. — Uwalnia się na krótko przed porodem.

Pierwszy raz w życiu dociera do mnie, jak wielką władzę mają nad nami hormony. Zawsze uważałam siebie za myślącą, twórczą istotę dokonującą wyborów. Lecz w jakim stopniu to hormony decydują o naszym życiu, związkach, postępowaniu i decyzjach? Jeśli potrafią podnieść nasze morale, czy mogą zadziałać także w drugą stronę, pogrążyć

kogoś w mroku? W tej chwili życie jest zbyt piękne, żeby roztrząsać takie niepokojące kwestie, więc po prostu tego nie robię.

TYDZIEŃ 41

Panika! Nadszedł czas i jestem przerażona. Jej Królewska Mość robi wszystko, co w jej mocy, by mnie uspokoić, ale na próżno. Tylko jedna miniaturowa kobieta może mi teraz pomóc. Muszę z nią porozmawiać.

Z brzuchem pod brodą, ostrożnie, żeby się nie przewrócić, ruszam po schodach do piwnicy mojej duszy. I tam, w mieście, w którym panuje tak uduchowiona atmosfera jak na górze Athos, za drewnianymi drzwiami, znajduję Panią Derwisz. Siedzi po turecku na winogronowym liściu. Na nogach ma błękitne sandały, a na szyi srebrne HU*.

— Czy możemy porozmawiać, Pani Derwisz?

— Oczywiście — odpowiada. — Słowa to dar jednego człowieka dla drugiego.

— Pamiętasz ten moment, kiedy byłam wdzięczna za to, że nie jestem słonica? Teraz chciałabym nią być.

Na widok jej miny postanawiam zmienić taktykę.

— Nie jestem gotowa na poród. Nie wiem, co robić.

Dziewięć miesięcy to zdecydowanie za mało.

— Po pierwsze się uspokój — mówi czule.

— Ale co ja teraz zrobię?

— Nic — stwierdza.

— Nic?

** Hu to imię Boga często używane przez sufich. Słowo oznacza „pozawymiarowy”, bez ilości i jakości. Symbolizuje Jedność, w której wszystko jest ze sobą połączone.*

— Do tego stopnia przywykłaś do ciągłego działania, że beczynność cię przeraża. A nicnierobienie tak naprawdę uspokaja. Nie przejmuj się, twoje ciało wie, co robić, podobnie jak dziecko i wszechświat. Ty musisz się tylko poddać.

Uległość nie należy do moich ulubionych słów, prz gryzam więc wargę i wzdycham.

— Wiesz, że według wierzeń sufich świat to matczyne łono? — pyta. — Wszyscy jesteśmy w nim dziećmi. Gdy nadchodzi czas, musimy opuścić ten świat. I chociaż o tym wiemy, nie chcemy odejść. Boimy się, że po śmierci przestaniemy istnieć. Ale śmierć to w rzeczywistości narodziny. Gdybyśmy zdołali to zrozumieć, niczego byśmy się nie bali.

Wyobrażam sobie, że świat to wielkie łono, a miliardy istot ludzkich, wszystkich ras i religii, czekają na narodziny w innym życiu. To mnie uspokaja.

— Pani Derwisz — mówię — jak ja za tobą tęskniłam.

— Ja też za tobą tęskniłam — odpowiada. — A teraz po prostu się poddaj. Wszystko potoczy się własnym rytmem. Dwa dni później wcześniej rano budzę Eyupa i spokojnie udajemy się do szpitala. Wszystkie ćwiczenia oddychania, joga prenatalna, czarny kawior, sałatki z brokułów, a nawet Małe kobiety tracą znaczenie, gdy płynę z prądem.

KSIAŻKI I DZIECI

Metafory przyrównujące dzieci do książek należą do rzadkości w świecie literatury, czego nie można powiedzieć o metaforach przyrównujących książki do dzieci. Potomstwem Jane Austen były jej utwory, a o bohaterkach, które powołała do życia, mówiła: „moja Emma”, „moja Fanny”, „moja Elinor”. George Eliot wyrażała się o swoich dziełach jak o własnym potomstwie. Podobnie dzienniki Virginii Woolf obfitują w porównania procesu tworzenia do matczynych doświadczeń. Chociaż przykładów nie brakuje, uważam za intrygujące, że to zawsze kobiety używają tej metafory. Nigdy nie słyszałam o mężczyźnie traktującym swoją twórczość z ojcowską czułością.

Bez względu na to, jak często książki i dzieci są ze sobą zestawiane, istnieje między nimi jedna zasadnicza różnica, której nie da się pominąć: ludzkie potomstwo wymaga niezwykle dużo opieki i uwagi zaraz po narodzinach. Bezbronne i bezzębne niemowlę jest przez długi czas całkowicie uzależnione od swojej matki.

Tymczasem z książkami sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Potrafią o siebie zadbać od chwili narodzin, czyli od dnia publikacji. Od razu wskakują do wody, niczym nowo narodzone żółwie morskie, podekscytowane, zawzięte, odrobinę nieporadne — wygrzebują się z ciepłych piasków wydawnictw i wypływają na szerokie, błękitne wody świata czytelników.

A może powieści przypominają małe kaczątka, które uznają za matkę tego, kogo ujrzą zaraz po otwarciu oczu? W tej sytuacji nie tylko twórcy, ale także redaktorzy, tłumacze albo kochający czytelnicy mogą zostać rodzicami. Jeśli rzeczywiście tak jest, autorzy nie muszą troszczyć się o swoje utwory po wydaniu ich na świat ani ich omawiać; tak jak książki nie muszą udzielać wywiadów, pozować do zdjęć ani spotykać się z czytelnikami. To my, pisarze i poeci, łakniemy uznania i pochwał. Książki w żadnym razie nie potrzebują naszego niańczenia.

Pisarką, która wyszydzała rozdmuchane ego oraz ambicje pojawiające się w świecie sztuki i kultury, była legendarna Dorothy Parker. Mierząca sto pięćdziesiąt dwa centymetry drobna kobieta być może nie robiła wrażenia swoją fizycznością, lecz słowa, które przelewała na papier, zdumiewają i bawią czytelników do dziś. Jako „najsławniejszy kpiarz w Ameryce” i krytyk o ciętym języku, pisywała na różne tematy dla „Vanity Fair” i „The New Yorkera”, nie chowając przy tym pazurów. Była najbardziej małomównym członkiem Okrągłego Stołu z hotelu Alonquin, a mimo to cieszyła się większą sławą od pozostałych. Miała talent do zakochiwania się w niewłaściwych, nieosiągalnych mężczyznach, a kolejne nieudane romanse, depresje, poronienia i aborcja przysparzały jej cierpień. Jednak żaden z jej związków prawdopodobnie nie zastawił tak głębokiej blizny, jak odgrzewane małżeństwo z aktorem i scenarzystą, Alanem Campbellem. Niczym dwie planety na tej samej orbicie, które nie mogą się spotkać, wycieńczyli się wielokrotnie — aż do pewnego dnia w 1963 roku, gdy Campbell odebrał sobie życie. Sama Parker kilkakrotnie próbowała popełnić samobójstwo — każdy taki epizod po-

głębiał jej uzależnienie od alkoholu.

Jako zaciekle obrończyni równości płci i praw obywatelskich, Parker krytycznie traktowała dominujące role społeczne swoich czasów. W wierszach, krótkich opowiadaniach i esejach kwestionowała wszystkie rodzaje stereotypów i tabu. Jeden z jej utworów, pochodzący z wcześniejszego okresu twórczości, podsumowuje jej postawę wobec życia.

Jeśli od zabawy się powściągnę,
Prawdopodobnie wiele osiągnę:
Jednak nie zawrócę z kursu mojej łodzi,
Ponieważ nic mnie to nie obchodzi.

Bliskie stosunki łączące ją z Dashiem Hammettem i Lillian Hellman były ulubionym tematem historyków literatury. Zapytana wiele lat później, czy między dwoma pisarkami kiedykolwiek pojawiło się współzawodnictwo, Hellman odpowiedziała: „Nigdy”. O panujących między nimi relacjach mówiła tak: „Sądzę, że związek między mężczyzną a kobietą, nawet przyjacielski, powinien opierać się na zależności. (...) Autonomiczne osobowości nie przejmują się zależnością”. W paranoi wczesnych lat pięćdziesiątych XX wieku znalezienie się na czarnej liście Hollywood nie zajęło im wiele czasu, co wcale ich nie obeszło. Kreatywne i autodestrukcyjne, należały do pokolenia, które piło, awanturowało się, kłóciło i śmiało w nadmiarze. Odeszły zbyt wcześnie albo zbyt przygnębione.

Parker nie marzyła o romantycznej miłości, życiu rodzinnym ani macierzyństwie. Kiedy dostrzegała matkę skaczącą dookoła dziecka w miejscu publicznym, nie marnowała okazji do wydania osądu. Macierzyństwo utożsamiała z pewnego rodzaju pułapką i wieczną nieszczęśliwością. Jej umysł był zjadliwy, nastroje zmienne, sarkazm legendarny, a ciemne oczy figlarne — prawie do chwili, gdy zmarła na atak serca w wieku siedemdziesięciu trzech lat, samotna, w pokoju hotelowym.

*

Jeśli w świecie literatury kiedykolwiek pojawił się człowiek przemawiający jednocześnie z równą dozą wściekłości, współczucia, poczucia sprawiedliwości i miłości, to była to Audre Lorde. Miała wiele talentów i odgrywała liczne role: poetki, pisarki, kobiety, lesbijki, aktywistki, pogromczyni raka, nauczycielki i matki dwójki dzieci. Już na samym początku zmieniła imię z Audrey na Audre, bynajmniej nie z zamiłowania do symetrii, ale zwyczajnie dlatego że mogła to zrobić. Uwielbiała tworzyć się na nowo, raz za razem, modelować swoje serce i przeznaczenie niczym dwa kawałki miękkiego ciasta. Podczas ceremonii odprawionej przed jej śmiercią otrzymała jeszcze inną nazwę: Gamba Adisa — „Wojownicza: Ta, Która Jasno Się Wyraża”.

Czasami odgrywała rolę własnej matki, a czasami córki. Postrzegała siebie jako ogniwo w niekończącym się łańcuchu, jako część kontinuum kobiecości. Pokonując granice uprzedzeń, będących wynikiem różnic, sprzeciwiając się rasizmowi, seksizmowi i homofobii, Lorde pobudzała coś, co nazywała przemianą ciszy w język. Dzięki słowom rozumiemy samych siebie oraz innych i wydobywamy we-

wnętrzną mądrość, która tkwi w każdym z nas. Najlepiej wychodziło jej zjednywanie — pisarza z czytelnikiem, białego z czarnym, siostry z siostrą. „Jestem tym, kim jestem, robię to, co mi pisane, działam na ciebie jak narkotyk albo dłu, żeby przypomnieć o mnie w tobie, tak jak odkrywam ciebie we mnie”^{*}.

W autobiograficznej powieści *Zami: A New Spelling of My Name* Lorde uważniej przyjrzała się swojemu dzieciństwu w Harlemie i dorastaniu jako czarnoskóra lesbijka feministka. Powiedziała, że zawsze chciała być jednocześnie mężczyzną i kobietą i łączyć w sobie najsilniejsze oraz najbogatsze cechy obojga swoich rodziców. Jej twórczość wyrażała przekonanie, że to być może synteza między pozornymi przeciwieństwami jest tym, co nas kreuje. Każda kobieta ma męskie cechy, a każdy mężczyzna żeńskie. A zatem traktowanie obu płci tak, jakby się wzajemnie wykluczały, zakrawa na wielkie oszustwo i oddala od zrozumienia ludzkiej natury w całej jej złożoności i pełni. Niezwykłe, że macierzyństwo zostało przededefiniowane w pracy Lorde i było przez nią wystawiane, chociaż nie uświęcone. Nadała mu rangę boskiego stanu, choć odartego ze świętości. Lorde wierzyła, że w każdej z nas żyje „czarna matka”, bez względu na to, czy jesteśmy matkami, czy też nie. Także mężczyźni mają w sobie tę cechę, chociaż dość często postanawiają ją ignorować. Metaforą „czarnej matki” Lorde jest głos intuicji, kreatywności i niepohamowanej namiętności. „Biali ojcowie mówili nam: «Myślę, więc jestem», a Czarna matka w każdym z nas — poetka — szepce w naszych snach: «Czuję, więc mogę być wolna»”.

^{*} *Audre Lorde, Sister outsider: Essays, Speeches, Crossing Press, Berkeley 2007, s. 12.*

Lorde nie odrzuciła kategorycznie racjonalności i empiryzmu, ale chciała raz na zawsze dać jasno do zrozumienia, jak ograniczone jest nasze postrzeganie świata. Nie odpowiadało jej nadmierne analizowanie ani uwielbienie abstrakcyjnej teorii. Jej związek z językiem i trzymanie ręki na pulsie wszechświata były bezwstydnie zmysłowe. Uważała, że osobowość — a zatem także kobiecość i macierzyństwo — jest zasadniczo wielowarstwowa. Sprzeciwiała się zatem szufladkowaniu według stałych, określonych kategorii. Zawsze odgrywała wiele ról naraz i to nie zmieniło się nawet po jej śmierci.

Gdyby Audre Lorde żyła i spotkała się ze mną, prawdopodobnie śmiałaby się z moich sześciu miniaturowych kobiet, a potem wypuściłaby swoje liczne Calineczki, żeby wszystkie razem mogły tańczyć w ciepłym słońcu lata.

*

Sandra Cisneros to elokwentna pisarka i uczona, która nie zwykła owijać w bawełnę. Nazywała siebie matką niczyją i żoną niczyją. Zawsze otwarcie i odważnie opowiadała o trudnościach — i urokach — bycia samotną kobietą wywodzącą się z patriarchalnego środowiska, a także pisarką balansującą na granicy dwóch kultur: meksykańskiej i amerykańskiej. „Sądzę, że pisarki zawsze są rozdarte między

przeżywaniem własnego życia a obserwowaniem siebie, gdy je przeżywają".

Urodzona w Chicago w 1954 roku, jedyna dziewczynka spośród siedmiorga rodzeństwa, Cisneros uważnie obserwowała kształtowanie się męskości i cierpienie tych, którzy nie potrafili dopasować się do roli narzuconych im ze względu na płeć. Choć dorastała w załocznym, głośnym domu, otrzymała dużo miłości i swobody od obojga rodziców. „Jestem produktem zacieklej kobiety, która nie bała się wychować córkę w niekonwencjonalny sposób”, powiedziała kiedyś.

Cisneros twierdzi, że chce opowiadać takie historie, których się nie opowiada. *The House on Mango Street* to porównawcze dzieje Esperanzy, amerykańskiej dziewczyny pochodzenia meksykańskiego, która dorasta w hiszpańskiej dzielnicy Chicago. Książka otwarcie porusza kwestie męskiej siły, szowinizmu i walki kobiet różnych ras o prawo głosu. Esperanza wkrótce odkrywa, że pisanie leczy rany i wyzwala duszę. To pomaga jej rozwinąć naturalny talent, odkryć, kim naprawdę jest, i stawić czoło najróżniejszym sposobom indoktrynacji, które ograniczają jej życiowe wybory z powodu płci, kultury czy klasy.

Cisneros kwestionuje zarówno meksykański, jak i amerykański przykład kobiecości, żeby przeanalizować alternatywne modele. Jej poglądy na temat małżeństwa i macierzyństwa zawsze były kontrowersyjne. W pewnym wywiadzie na wiele sposobów daje do zrozumienia, że nie czuje się dojrzała. I właśnie dlatego że sama jest jednym z nich, nie wychowuje dzieci ani się z nimi nie cacka. Bo żaden młodec nie zachowuje się tak w stosunku do innego. Cisneros wyjaśnia, jak od dnia dwudziestych urodzin konsekwentnie odsuwała decyzję o małżeństwie i założeniu rodziny, by skupić się na pisaniu i pracy. Jednak po przekroczeniu czterdziestki poczuła, że musi szybko wyjść za mąż. Wcale tego nie chciała, ale takie było życzenie jej ojca. Dopiero po latach zrozumiała, że nie musi tego robić, i podjęła ostateczną decyzję: nie weźmie ślubu. Zapytana, dlaczego zrezygnowała z życia rodzinnego, udzieliła intrygującej odpowiedzi: „Moja twórczość to moje dziecko i nie chcę, by cokolwiek stanęło między nami”.

Dorothy Parker, Audre Lorde i Sandra Cisneros — kobiety, które nie identyfikowały kobiecej kreatywności z prokreacją i pełne pasji kroczyły swoją drogą w świecie literatury — uczą nas patrzeć z innej perspektywy na kształtowanie męskości, kobiecości i solidarności między kobietami. Ich utwory rozbudzają nasze dusze, przewiercają się przez skorupę codziennych nawyków. Gdy lepiej poznajemy ich życie, odkrywamy, że predyspozycje kulturowe rozwijane w każdym z nas od wczesnego dzieciństwa nie są bezsporne ani niezmiennie. To prawda, że każda z tych pisarek wiodła inne życie i miała inne korzenie. Jednak łączyła je jedna cecha wspólna: nie brały za pewnik ról przypisanych płciom ani barier z nimi związanych. Kwestionowały ustalone normy i, co najważniejsze, zmienianie świata zaczynały od siebie.

BEZBRZEŻNE MORZE

Moja córka śpi w łóżeczku. Ktokolwiek wymyślił określenie „spać jak dziecko”, nie miał pojęcia, o czym mowa. Dzieci jedynie drzemią; budzą się często, by sprawdzić, czy nadal przy nich jesteśmy, a ich narodziny nie były tylko snem. Ja z kolei nie śpiam dobrze. Kiedy tylko zamknę oczy, mój umysł zalewają niemiłe myśli i niepokojące obrazy. Kto by pomyślał, że moja głowa to prawdziwy arsenał lęków? Nie wyspałam się od wielu dni. Pod oczami mam ciemnobezowe cienie, okrągłe jak stambulskie simity*. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że moje serce może cierpieć takie katusze.

Jestem ubrana w długą lawendową koszulę nocną z chaotycznymi wzorami na wysokości piersi. Jedno z ramiączek zdążyło pęknąć, więc zawiązałam je na niedbały supeł, a skoro jest teraz krótsze od drugiego, mam krzywy dekolt. W efekcie wyglądam tak, jakbym przechylała się na jedną stronę niczym tonący statek. Być może tym właśnie jestem. A wzory na mojej koszuli, przypominające dzieło

** Simit — przekąska z ciasta i sezamu często sprzedawana na ulicznych straganach.*

szalonego projektanta, to w rzeczywistości plamy po mleku i wymiocinach.

Od porodu minęło siedem tygodni.

Chcę być genialną, idealną matką, ale nic mi nie wychodzi. Nie radzę sobie ze zmienianiem pieluch, noszeniem dziecka tak, żeby mu się odbiło, ani wynajdowaniem skutecznych metod walki z czkawką. Moja pewność siebie przypomina kulkę lodów, która szybko topnieje w promieniach macierzyństwa. Obecność Eyupa na pewno by mi pomogła, ale wyjechał odbyć obowiązkową służbę wojskową. Przez kolejnych sześć miesięcy, gdy będzie się szkolił w małej jednostce na Cyprze Północnym, ja będę zdana wyłącznie na siebie.

Prawie codziennie w telewizji puszczają powtórki „Koła Fortuny” dla nocnych marków. Dwie blondynki w skąpych minispódniczkach i błyszczących bluzeczkach odwracają litery na przypominającej puzzle tablicy. Siedzę i oglądam. Słowo składa się z liter D_PR_JA, ale nie zamierzam przeczytać go na głos.

Tymczasem gigantyczne koło fortuny kręci się w mojej głowie, błyskając kolorowymi żarówkami. Rozdzielam swoje codzienne czynności między różnobarwne okienka i do każdego z nich wpisuję punkty, zawsze ujemne.

Za szybko wyjmuję dziecko z łóżeczka,

przez co wymiotuje - 15 punktów

Wrzeszczę na ludzi, obwiniam ich
za własne błędy - 25 punktów

Czuję, że brakuje mi choćby odrobiny
talentu - 30 punktów

Panikuję, ilekroć dziecko płacze,
i płaczę razem z nim

Płacę nawet po tym, jak dziecko
się uspokoi
-50 punktów
-70 punktów

Pod koniec każdego dnia zliczam punkty i zawsze kończę pod kreską. Mój macierzyński wynik przypomina jak na razie gwałtownie spadający indeks giełdowy. Mam poważne podejrzenie, że inne kobiety zostały uprzedzone o konieczności poświęcenia wielu lat na przygotowanie się do zmian, które nastąpią po porodzie, a mi ta informacja umknęła. Skoro nie potrafiłam naturalnie i bez wysiłku poradzić sobie z kobiecością, to jak mam uporać się z macierzyństwem?

Wiem, że potrzebuję pomocy, ale nigdy nie wpadam na pomysł, żeby o nią poprosić.

Myślę o Doris Lessing — niezwyklej pisarce podążającej za ideami. Urodzona w Paryżu w 1919 roku noblistka spędziła dzieciństwo na farmie w Rodezji Południowej (Zimbabwe). Dorastała pod opieką apodyktycznej matki, która posłała ją do szkoły katolickiej. Tam wpajano Doris, jak być grzeczną, świętoszkowatą panienką. Czasy spędzone w kolonii pisarka wspomina jako czas „ubogi w wesołość, a obfitujący w smutek”. Lessing rzuciła szkołę po ukończeniu trzynastego roku życia, a dwa lata później uciekła z domu — od matki. Odtąd musiała wychowywać się praktycznie sama. Była matkującą sobie dziewczyną.

W wieku dziewiętnastu lat Lessing wyszła za mąż.

Urodziła dwoje dzieci, syna i córkę. Te rewolucyjne wyda-

*

zenia opisuje ze szczegółami w dwutomowej autobiografii Pod skórą. Szczerze opowiada o sprzecznych uczuciach, które targały nią w tamtym okresie — o pragnieniu, by spędzać więcej czasu z innymi młodymi matkami, rozmawiać o dzieciach i przecierach, i o równie silnej chęci, by od nich wszystkich uciec. Lessing bardzo krytycznie wyraża się o zmianach, jakim ulega wiele zdolnych kobiet po wydaniu dziecka na świat. Wierzy, że takie kobiety przez moment są szczęśliwie udomowione, ale pręcej czy później zaczynają tracić cierpliwość, przyjmują postawę roszczeniową, a nawet stają się neurotyczne. „Nic nie może równać się z nudą, jaką odczuwa inteligentna, młoda kobieta spędzająca całe dni z bardzo małym dzieckiem”, stwierdza. Patrząc wstecz na pierwsze lata macierzyństwa, ze zdumieniem odkrywa, jak przez cały czas ciężko pracowała i jak bardzo była zmęczona. „Zastanawiam się, jak tego dokonałam. Przysięgam, że młode matki wspomagają się jakimś sokiem albo hormonem, który pozwala im przetrwać”.

Potrójna rola — gospodyni, matki i żony — nie uszczęśliwiła Lessing. W 1943 roku porzuciła męża i dwoje dzieci, by wyjść za mąż za Gottfrieda Lessinga, komunistycznego działacza. Mieli syna, Petera. Małżeństwo zakończyło się w 1949 roku. Do tego czasu życie w Rodezji okazało się ponad jej siły, głównie z powodu rasizmu białej klasy rządzącej. Przeprowadziła się do Wielkiej Brytanii razem z synem, niewielką sumą pieniędzy i licznymi duchami. Ta poważna i bolesna decyzja wiązała się z rozstaniem z dziećmi

z pierwszego małżeństwa, które zostały pod opieką ojca. Przyjechała do Anglii z rękopisem pierwszej powieści, Trawa śpiewa. Książkę wydano rok później. Od tego czasu Lessing całkowicie poświęciła się pisaniu.

W mojej głowie wrze jak w kotle. Co będzie, jeśli nie sprawdzę się w roli dobrej żony i matki? Nie chcę wyrzec się siebie i udawać, że jestem kimś innym. A najbardziej przeraża mnie możliwość zajścia niepożądanego reakcji chemicznej, która zaburzy równowagę między moją twórczością a pracami domowymi. Powieściopisarki to zakochane w sobie kobiety, które nie lubią, kiedy wytyka im się samouwielbienie. Z kolei matki powinny być bezinteresownymi istotami — przynajmniej przez pewien czas — które dają więcej, niż biorą. Być może za bardzo się przejmuję, ale żeby przestać, musiałabym zrezygnować z myślenia.

A jak zakazać mózgowi myślenia?

*

Eyup dzwoni, kiedy tylko może, w przerwach między ćwiczeniami w terenie. Na linii zawsze trzeszczy, a w tle słychać tupanie, maszerowanie, wrzaski i krzyki, które tworzą atmosferę całkiem niepodobną do tej panującej w Stambule, gdzie oglądam telewizję dla dzieci i słucham dźwięków deszczu zraszającego begonie.

— Cześć, kochanie — mówi Eyup.

— Cześć — odpowiadam. — Co słychać, najdroższy?

— Schudłem cztery kilo — wyjaśnia — ale się nie daję. Każdego dnia rano robimy sto pompek, sto przysiadów i przebiegamy trzy kilometry. Mam bicepsy jak Chuck Norris, a od ciągłego przebywania na słońcu tak się opaliłem, że rzucałbym się w oczy nawet w ciemnej uliczce.

Uśmiecham się tak, jakbym naprawdę go widziała.

— Potwornie za tobą tęsknię — mówi odrobinę drżącym głosem.

— Ja też.

— Co robiłaś, kiedy zadzwoniłem?

— Odmierzałam dziesięć kropli środka przeciw kolce dla czkającego dziecka i myślałam o Doris Lessing.

— Pomogło?

— Niezupełnie. Właściwie efekt jest wręcz odwrotny.

— Czego? Środka przeciw kolce czy myślenia o Doris Lessing?

— Jednego i drugiego — odpowiadam.

W słuchawce zapada cisza. A potem Eyup odzywa się łagodnie:

— Skarbie, za dużo myślisz. W ten sposób tylko sobie wszystko utrudniasz.

— Do czego zmierzasz?

— Wielu ludzi nie analizuje każdej drobnostki wciąż na nowo, w nieskończoność, ale po prostu poddaje się codziennej rutynie — tłumaczy. — Kiedy wiesz, że musisz zrobić sto pompek, po prostu przyjmujesz to do wiadomości i robisz, co do ciebie należy.

— Chcesz, żebym zaczęła robić pompki? — pytam.

— Daj spokój, wiesz, co mam na myśli — odpowiada, a ja poznaję po jego głosie, że uśmiecha się łagodnie. — Nie potrafisz obejść się bez myślenia przez jakiś czas?

— Nie wiem — przyznaję. — Muszę się nad tym zastanowić.

DLACZEGO WPADAMY W DEPRESJĘ, KIEDY ZALEŻY NAM NA SZCZĘŚCIU?

Następnego dnia wieczorem zaczyna biadolić we mnie Chór Niewspółbrzmiących Głosów. Każdej miniaturowej kobiecie zadaję to samo pytanie: „Dlaczego jestem taka przybita, skoro w rzeczywistości wypełniają mnie radość i wdzięczność?”.

1. — To przez hormony — twierdzi Panienka Praktyczna. — Wszystko będzie dobrze. Możemy zrobić kilka testów i sprawdzić, w czym tkwi problem. Łyknij kilka pigułek szczęścia. Wiesz, jak je nazywają? Butelkowane uśmiechy. Potęga zachodniej nauki migiem załatwi twój problem. Dzwon do lekarza i poprosz o pomoc. Niech on znajdzie rozwiązanie. Bądź praktyczna!

Może ma rację. Powinnam zadzwonić do lekarza. Jednak nie pozwala mi na to duma — albo próżność. Nie chcę, by ktokolwiek się nade mną użalał ani stawiał diagnozy na temat stanu mojego umysłu. Mój lekarz zawsze zachowuje się przyjaźnie, po ojcowsku i doskonale się z nim dogaduję, ale nie chcę, by widział mnie w chwili słabości.

— Pozwól, że się pozbieram, zanim z nim porozmawiam — odpowiadam.

Mam plan: spotkam się za specjalistą, gdy poczuję się lepiej i nie będę potrzebowała jego porad.

2. — Zapomnij o medykach i tabletkach. Potrzebujesz książek — wypala Panna Intelktualistka Cyniczna. — Czujesz się zniechęcona, bo za mało czytasz. Tęsknisz za światem intelektualistów. Tęsknisz za mną. To całe jedzenie dla dzieci i zmienianie pieluch sparaliżowało twój mózg. Musisz reaktywować swój intelekt, to wystarczy.

Może ma rację. Możliwe, że mój umysł wróci do formy, jeśli znów zacznę czytać powieści. Historie innych ludzi odciągną mnie od własnych problemów. Proust mnie ocali.

Jednak do jednego nie mogę się przyznać Pannie Intelktualistce Cynicznej: zaczęłam podejrzewać, że po porodzie mózg kobiety nie funkcjonuje tak jak dawniej. Nie mogłabym czytać, nawet gdybym chciała. Mogę zapomnieć o Prouście, skoro nie potrafię skupić się nawet na przepisie na zupę pomidorową.

3. — Nie potrzebujesz książek. Wystarczy, że zdejmiesz tę okropną koszulę nocną i założysz coś seksownego — sugeruje Blue Belle Bovary. — Gdybyś poświęciła swojemu wyglądowi choć odrobinę uwagi, natychmiast zapomniabyś o depresji. Pozwól, że zabiorę cię do fryzjera. Nie wiesz, że przybita kobieta w pierwszej kolejności powinna zmienić fryzurę? Nowy styl i nowy kolor wyleczą największą melancholię, skarbie.

Może ma rację. Mogłabym poczuć się lepiej po wizycie u fryzjera. Z salonu pojedę prosto do centrum handlowego. Tylko że nie mam na to ochoty. Wręcz przeciwnie, chcę

zachować przetłuszczone włosy, bladą cerę, obszarpane ubrania. W świecie, który wydaje mi się coraz bardziej obcy, jedynie ta koszula nocna jest znajoma i poprawia mi nastrój.

4. — Czysty absurd — sprzeciwia się Milady Ambicja Czechowska. — Masz chandrę po prostu dlatego, że nie funkcjonujesz na pełnych obrotach. Muszę natychmiast cię stąd zabrać. Zaplanujmy trasę promocyjną. Musimy wrócić do pracy.

Może ma rację. Gdyby odbywał się teraz jakiś festiwal literacki albo miałabym w perspektywie podpisywanie książek, szybko zapomniałabym o posępnym nastroju. Spotywanie się z czytelnikami, wysłuchiwanie ich szczerych komentarzy, odpowiadanie na ich pytania i czytanie dla nich fragmentów moich utworów zawsze mnie uskrzydla. Ale ostatnimi czasy moje ambicje i pragnienia są niewielkie, a może nawet żadne. Jak mam podpisywać książki, skoro nieustannie trzymam zmarznięte dłonie pod pachami? Jak pięknie pokazała Jane Smiley w *Thirteen Ways of Looking at the Novel*, człowiek literatury to inne oblicze powieściopisarza niż osobistość literatury.

Smiley twierdzi, że osobistość literatury zawsze jest dojrzałsza, wytworniejsza i bardziej doświadczona w radzeniu sobie z najróżniejszymi obowiązkami i zadaniami. Inspirują ją przede wszystkim literatura, życie i język, a zatem nie jest w pełni kontrolowana przez autora.

Jeśli Smiley ma rację, a sądzę, że tak właśnie jest, wówczas przepaść między moją osobistością literatury a mną jako żywą osobą nigdy nie była większa. Teraz dzieli nas ogromny kanion poporodowy.

5. — Milady wygaduje bzdury! — prycha Mamcia Pudding Ryżowy. — Masz taki nastrój, bo nie koncentrujesz się wystarczająco na byciu matką. To czas, gdy musisz odłożyć na bok wszystkie inne sprawy, cały ten artystyczny i literacki bełkot, i być pełnoetatową mamą. Dopiero wtedy pokonasz depresję.

Może ma rację. Spędzanie czasu z moją śliczną córeczką poprawia mi humor i mnie uszczęśliwia. Czuję, że to wielkie błogosławieństwo. Może powinnam odciąć się od świata zewnętrznego i po prostu być mamą. Może mam depresję, ponieważ nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji.

Jednak nie mogę wyjaśnić Mamci Pudding Ryżowy czegoś, czego ona nigdy by nie zrozumiała. Jak mam nie porównywać się do innych matek, skoro żyję w społeczeństwie, w którym macierzyństwo jest postrzegane jako najwspanialsza rzecz, jaka może spotkać kobietę, a jednocześnie zostałam wychowana w przekonaniu, że należy dążyć do perfekcji? Oceniając się na ich tle, jak mogę nie zazdrościć im spełnienia i nie wstydzić się własnych niedostatków? Nie jestem z tego dumna, ale właśnie tak czuję w głębi serca. Nie poddam w wątpliwość uczuć do swojego dziecka. Czysta i czuła miłość spowija moją duszę perłowym blaskiem. Uważam jednak, że brakuje mi talentu do roli matki.

6. — Potraktuj to jako test — mówi Pani Derwisz. — Bóg

lubi sprawdzać nas od czasu do czasu. Czasami wykorzystuje do tego porażki i słabości, a czasami sukcesy i potęgę. I uwierz mi, że nie zawsze wiemy, co jest gorsze. Pamiętaj jedno: po upadkach następują wzloty.

Może ma rację. Nie mogę zapominać, że to etap przejściowy i prawdopodobnie przyniesie coś dobrego, chociaż teraz jeszcze tego nie widzę. Później, kiedy spojrzę wstecz, ocenię różne sprawy z innej, jaśniejszej perspektywy.

Jednak nie mogę wyznać Pani Derwisz wszystkiego. Zdaję sobie sprawę z istnienia setek ludzi, którzy z całych sił starają się o dzieci, poddają się najróżniejszym procedurom medycznym, decydują na ogromne wyrzeczenia i cierpią z powodu nieustającej frustracji, indywidualnie i w parach, a mimo to nie mogą osiągnąć celu. Wiem, że powinna przepęłniać mnie wdzięczność, i tak właśnie jest. Jednak myśl, że jestem niewystarczająco szczęśliwa, radosna albo dobra, zawstydzają mnie tak bardzo, iż nie potrafię już nawet rozmawiać z Bogiem.

Wiem tylko tyle, że po czasach oligarchii i krótkim okresie reżimu wojskowego także monarchia dobiegła końca. W moim Wewnętrznym Świecie panuje już tylko anarchia.

NIEBIAŃSKIE OKO

Kiedy byłam małą dziewczynką, sześć- czy siedmioletnią, spędziłam kilka tygodni w Izmirze ze swoją babką ze strony ojca. Początkowo chodziło o to, żebym spotkała się z ojcem i spędziła z nim trochę czasu, ale ostatecznie częściej niż jego widywałam babcię. Ta surowa kobieta nosiła duże okulary, w których jej oczy sprawiały wrażenie ogromnych, i przemawiała ostrymi, krótkimi zdaniami, zwykle sprowadzającymi się do słów: „Zrób to! Nie rób tego!”. Często opowiadała o ogniu piekielnym, który opisywała w obrazowy i przerażający sposób. Dla niej Allah był wiecznie otwartym Niebiańskim Okiem, które śledzi każdy mój ruch i rejestruje wszystkie moje grzechy, nawet te, o których tylko pomyślałam.

Opuściłam jej dom z jaskrawą wizją strzelających płomieni i wrzących kotłów oraz wyobrażeniem Boga jako srogiego ojca spoglądającego z góry na swoje dzieło. Nie wiem, czy to przeżycie wywarło wpływ na moje późniejsze wybory, ale gdy tylko podrosłam na tyle, by poznać znaczenie słowa „agnostyczka” — czyli skończyłam siedemnaście lat — postanowiłam, że nią zostanę. Ateizm nigdy nie był mi bliski — ponieważ absolutne odrzucenie Boga uważałam za arogancję — a agnostycyzm wydawał się odpowiedni dla ludzi, których nieustannie zadziwiają różne rzeczy, w tym także religia. W przeciwieństwie do agnostyka, ateista nie interesuje się wiarą. Jest pewien swoich przekonań i każde zdanie kończy kropką. Z kolei agnostyk po każdej ogłoszonej kwestii stawia jedynie przecinek, który pozwala mu później kontynuować. Będzie roztrząsał, zastanawiał się, wątpił. I to czyni go agnostykiem.

W college'u wybrałam stosunki międzynarodowe.

W tamtym czasie byłam zbuntowaną, młodą kobietą, która

lubiła nosić liczne sztandary: opowiadałam się za lewicą, feminizmem, nihilizmem, pacyfizmem anarchistycznym czy ochroną środowiska. Chociaż poważnie traktowałam pytania dotyczące wiary, nie interesowała mnie żadna konkretna religia i nie pojmowałam różnic między religijnością a duchowością. Niemniej po latach spędzonych z moją babką ze strony mamy miałam poczucie, że we wszechświecie jest coś, czego nie potrafię ogarnąć pięcioma zmysłami. W rzeczywistości jednak nie byłam zainteresowana zrozumieniem świata. Po prostu chciałam go zmienić. A potem pewnego dnia w moim życiu pojawiła się Pani Derwiz. Przedstawiła się jako moja duchowa natura i wyjaśniła, że Stwórca nie jest jądrem strachu, lecz Źródłem Nie skończonej Miłości. Ogarnął mnie zachwyty. Na początku jej obecność w moim życiu była bardziej intrygująca od tego, co mówiła. Otaczała ją aura jasności i spokoju. Przypominała księżyc świecący nad delikatnie kołyszącym się morzem. Zmotywowała mnie do zgłębiania wiedzy o sufizmie. Jedna książka prowadziła mnie do kolejnej. Im więcej czytałam, tym mniej wiedziałam. Gdyż właśnie to robi sufizm: wymazuje to, co się wie i czego jest się pewnym. A potem znów zaczyna się myśleć. Jednak tym razem nie głową, lecz sercem.

Ze wszystkich miłujących sufizm poetów i filozofów, których twórczość poznawałam w tamtych latach, dwóch poruszyło mnie najbardziej: Rumi i jego legendarny uduchowiony towarzysz, Szams z Tabryzu. Żyli w trzynastowiecznej Anatolii, w epoce pełnej bigoterii i sprzeczności. Opowiadali się za uniwersalną duchowością i z otwartymi ramionami witali ludzi ze wszystkich środowisk. Mówili o miłości jako o istocie życia, ich uniwersalna filozofia łączyła ludzi z różnych epok, kultur i miast. Gdy czytałam Mathnawi, pod wpływem słów Rumiego wypuszczałam z rąk kolejne sztandary, których łopot wcześniej dodawał mi otuchy. Zrozumiałam, że bez względu na to, kim zostanę — lewicowcem, feministką czy kimkolwiek innym — najbardziej potrzebuję bliskiego kontaktu z moim wewnętrznym światłem. Światłem Prawdy, które wszyscy w sobie nosimy. I tak zaczęła się moja przygoda z sufizmem i duchowością, która trwała latami. Czasami moje zainteresowanie było żywe i wyraźne, a innym razem schodziło na dalszy plan, blade i zachodziło mgłą niczym resztką dopalającej się świecy. Ale nigdy nie zniknęło.

Więc dlaczego — mimo że pochłonęłam tyle książek o duchowości i filozofii religijnej, byłam na dobre i na złe z Panią Derwiz — ponownie czuję się jak nieśmiała dziewczynka w Izmirze? Ostatnio nie mogę spojrzeć w niebo ze strachu, że Bóg mógłby patrzeć na mnie z marsowym czołem. Czy właśnie tak wygląda depresja? Przypomina narastające poczucie, że Bóg cię opuścił i samotnie dryfujesz w płynnej, czarnej przestrzeni niczym astronauta, który stracił kontakt ze swoim statkiem kosmicznym i wszystkim, co łączyło go z Ziemią?

CZEŚĆ SZÓSTA MRO CZNA SŁODY CZ

Pióro pochyla głowę.
By pogrążyć stronicę w mrocznej słodyczy.
Rumi

DŻIN W POKOJU

Pewnego listopadowego poranka po przebudzeniu wyczuwam dziwną obecność w pokoju. Moje dwumiesięczne dziecko sypia już znacznie lepiej. Przez zasłony sączy się szarawe światło, z oddali dobiegają przytłumione dźwięki, a powietrze przesyca zapach perfum. Drzę, jakbym została wepchnięta do powieści Murakamiego, w której wszystko jest surrealistyczne.

W kącie stoi jakieś stworzenie — ani człowiek, ani zwierzę, nic, co wcześniej widziałam. Jest szare jak chmura gradowa, wysokie jak wieża i ulotne jak ognik. Na twarz opada mu długi, czarny koński ogon z pasemkiem pofarbowanym na białe. W jednym jego uchu połyskuje brylant wielkości orzecha laskowego. Jego twarz jest drobna, bródka cienka, ale płonące oczy wydają się ogromne za szklami okularów w metalowych oprawkach. W jednej sekundzie rośnie i sięga głową sufitu, a w kolejnej rozciąga od jednego końca pokoju do drugiego. Niczym gęsty dym z cygara unosi się w powietrzu. W rękę trzyma piękną laskę, a na głowie ma jedwabny cylinder.

Natychmiast rozpoznaję w nim dżina, przed którym babcia ze strony matki ostrzegała mnie w dzieciństwie. Nic nie wiem o orientacji seksualnej owych istot, ale ten wygląda mi na geja.

— Kim jesteś? — pytam niespokojnie.

— Naprawdę mnie nie poznajesz? — odpowiada szarmancko i wytwornie, jakby był dzielnym rycerzem, a ja damą w opałach.

— Nie. Czego chcesz?

— Proszę, chéri — mówi, cedząc sylaby. — Nigdy nie słyszałaś o dżinach, które nawiedzają świeżo upieczone matki?

Drżącymi ustami nabieram powietrza i robi mi się gorąco.

— Moja babcia opowiadała mi o dżinie imieniem Alkarisi, znanym z molestowania kobiet, które dopiero co urodziły.

WybuCHA śmiechem.

— Czasy szybko się zmieniają, chéri. Alkarisi to historia. Ta kocietka dawno temu odeszła na emeryturę. Dzisiaj nikt już jej nie zna. Nie załapałaby się do pierwszej dziesiątki.

Zaskakuje mnie informacja, że dżiny mają listę najlepszych, ale zamiast o nią pytać, mówię:

— Nie wiedziałam, że się starzejecie.

Wyjmuje chusteczkę z kieszeni, po czym wyciera nią

okulary.

— Oczywiście, że się starzejemy, chociaż w przeciwieństwie do was nie tracimy głowy dla kremów z botoksem. A przynajmniej na razie...

Przyglądam się mu uważniej. Zaczynam podejrzewać, że może nie być taki młody, na jakiego wygląda.

Wsuwając okulary na nos, kontynuuje:

— Oczywiście nie starzejemy się tak szybko jak wy, biedni synowie Adama i córki Ewy. Dziesięć ludzkich lat to mniej więcej... — dokonuje obliczeń w pamięci — sto dwanaście lat dżina. Więc tam, skąd pochodzimy, stuletni dżin ma mleko pod nosem. A Alkarisi... Jakby to ująć? Jej imię oznacza nostalgię.

— Dżiny przeżywają nostalgię? — dociekam zaintrygowana.

— My nie, w przeciwieństwie do was! Nie oglądasz filmów Disneya? Żyjemy w XXI wieku! Nikt nie tkwi już w lampie!

— Czy dżiny uważają filmy Disneya za politycznie niepoprawne? — pytam zafascynowana.

— Byłabyś tego samego zdania, gdyby przedstawiali cię jako tłustego, brzuchatego, niebieskiego ogra z pięcioma podbródkami, w workowatych spodniach i z fezem na głowie — peroruje gniewnie. — Czy wy nie widzicie, że wszyscy idziemy z duchem czasu? Cztery razy w tygodniu chodzę na siłownię i nie mam ani grama tłuszczu.

— Kim ty jesteś, na litość boską?!

Niczym dobrze wychowany dżentelmen uchyla kapełusza i kłania się z szelmowskim uśmiechem na ustach.

— Bardzo przepraszam, jeśli zapomniałem się przedstawić. Twój sługa uniżony, Dżin Depresji Poporodowej. Znany także jako Lord Poton.

Zimny dreszcz przebiega mi po plecach.

— Czego chcesz? — pytam, chociaż nie jestem pewna, czy pragnę poznać odpowiedź.

— Czego chcę? — powtarza. — To dobre pytanie, bo tak się składa, że moje życzenie jest twoim rozkazem.

— Hm, czy nie powinno być na odwrót?

— Jak już wspomniałem, zapomnij o stereotypach. Poznajmy się lepiej.

*

Lord Poton jest takim krętaczem, że nie od razu odkrywam, jaki potrafi być odrażający. Przez dwa pierwsze dni obserwuję go raczej z ciekawością niż niepokojem. Nie zdaję sobie sprawy, że w tym czasie on się rozgaszczą, zadomawia. I pewnego dnia wyjmuje zamykane na kłódkę pudełko.

— Co to jest? — pytam.

— Prezent ode mnie dla ciebie — odpowiada z uśmiechem. — Czy nie narzekasz bez przerwy, jak bardzo męczą cię nieustające kłótnie miniaturowych kobiet?

— Tak, ale...

— Dobrze. Zamknę je zatem wszystkie razem, żeby przestały cię niepokoić.

— Chwilczkę — protestuję. — Nie życzę sobie niczego takiego.

Ale on mnie nie słucha.

— Moje życzenie jest twoim rozkazem, pamiętaj o tym — szepce jakby do siebie. A potem wyciąga swoje wypielęgnowane dłonie i wyławia ze mnie członkinie Chóru Niewspółbrzmiących Głosów, jedna po drugiej.

Jako pierwszą dopada Milady Ambicję Czechowską.

— Co pan wyprawia? — upomina go, gdy dżin trzyma ją za kark i siłą wkłada do pudełka. — Mam ważne sprawy do załatwienia! Proszę mnie puścić!

Następnie przychodzi kolej na Panienkę Praktyczną. Spodziewałam się po niej największej uległości. Sądziłam, że po prostu się podda. Ona jednak uznała, że w tej sytuacji praktyczniejsze będą przekleństwa. Kipiąc ze złości, wrzeszczy:

— Za kogo ty się uważasz? Ty kretynie! Zabieraj łapy!

— Proszę się nie kłopotać. Pójdę tam, gdzie muszę — oświadcza Pani Derwiz, krocząc z godnością do pudełka.

— Poton, skarbie, po co ten pośpiech? Może najpierw porozmawiamy w cztery oczy? Tylko ty i ja. Mogę zwracać się do ciebie Potie? — mówi Blue Belle Bovary, wydymając usta, przechylając na bok głowę i używając kobiecych sztuczek, żeby wyjść cało z opresji. Chociaż stara się, jak może, ona także zostaje odesłana do pudełka.

— Ale ja wstawiłam supę soczewicową na palnik. Nie możesz mnie teraz aresztować — błaga Mamcia Pudding Ryżowy.

W końcu przychodzi kolej na Pannę Intelktualistkę Cyniczną.

— Możesz nazywać się lordem i myśleć, że reprezentujesz czarne słońce melancholii, ale najwyraźniej zapominasz, że to słońce jest niszczycielską siłą. Jak powiedziała Julia Kristeva, melancholia to mroczna podszewka uwodzieleńskiej namiętności.

— Że co? — pyta Lord Poton wyraźnie zdezorientowany, ale i tak upycha ją do pudełka.

*

W ten sposób wszystkie sześć członkiń Chóru Niewspółbrzmiących Głosów trafia pod klucz. Cisza, która zapanaowała w domu, wywołuje we mnie niepokój.

— W końcu pozbyliśmy się Calineczek! — mówi Lord Poton ze słodyczą, która kontrastuje z jego ostrym spojrzeniem. — Odeszły.

— Bez wątpienia — przyznaję.

— Od tej pory nikt nie będzie ci biadolili. Będziesz słyszała wyłącznie mój głos. Czy to nie cudowne?

Próbuję zawtórować mu śmiechem, ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Szybko oceniam nową sytuację: centralizacja władzy pod panowaniem dyktatora, stłumienie alternatywnych głosów przemocą, systematyczne wykorzystywanie propagandy, absolutne posłuszeństwo wobec przywódcy.

Wszystkie znaki mam jak na dłoni. Politolodzy wnikliwie przeanalizowali związek między faszyzmem a kryzysem gospodarczym. W moim wypadku istnieje związek między faszyzmem a kryzysem psychologicznym.

Teraz wiem, że po oligarchii i rządach wojskowych, po monarchii i anarchii nastąpił dzień faszyzmu.

KOBIECOŚĆ JAKO NIEKOMPLETNA NARRACJA

W dzisiejszych czasach mało kto wspomina Lou Andreas-Salomé jako autorkę i intelektualistkę rządzącą się własnymi prawami. Zdecydowana większość pamięta ją jako barwną, kontrowersyjną postać żyjącą w cieniu wielkich literatów. Przedstawia się ją jako tajemniczą Mużę, która inspirowała Rilkego, Nietzschego i Freuda do wnikliwej analizy kobiet i ich twórczości. Takie opisy, choć niewątpliwie intrygujące, nie oddają sprawiedliwości wyobraźni ani wszechstronności Salomé. Za życia była sławną autorką, trudno więc zrozumieć, dlaczego jej powieści są dzisiaj zapomniane. Poza prozą i sztukami pisała refleksyjne eseje na wiele tematów, takich jak sztuka rosyjska, filozofia religijna, teatr i erotyka.

Urodzona i wychowana w Sankt Petersburgu, Salomé dorastała z pięcioma braćmi i była ogromnie kochana i rozpieszczana przez ojca. W dzieciństwie miała niezwykle dar do opowiadania historii, chociaż niełatwo było jej się rozstać z wymyślonymi postaciami. Czuła się winna, że je porzuca. Ta skłonność do obwiniania się o rzeczy, za które nie ponosiła odpowiedzialności, prześladowała ją przez całe życie.

Salomé przyjechała do Zurychu w 1880 roku. Miała wtedy dziewiętnaście lat. Była piękna, błyskotliwa i nieustraszona. Niemal natychmiast została wciągnięta do kręgów awangardy, gdzie poznała największych uczonych i artystów Europy. Razem z nimi uczestniczyła w gorących debatach, wielu zaskakując pewnością siebie i zapalem do nauki. Jej zdaniem nie można oczekiwać od kobiet, że będą jedynie uzupełniały mężczyzn, podobnie jak nie należy usuwać ich na boczny tor, uciszać ani uwiązywać do prac domowych i macierzyństwa. W przedstawicielkach swojej płci widziała pozytywnych, pomysłowych twórców, a nie obiekty natchnienia, a zatem także niekoniecznie Muzy. Salomé wierzyła, że każda próba kontrolowania kobiet niszczy ich naturalną, kreatywną kobiecość.

Rilke ją uwielbiał. Dostrzegał w niej personifikację wysublimowanej kobiecości. Zainspirowany przez nią, utrzymywał, że artysta, nieważne jakiej płci, musi wydobyć z siebie kobiecą siłę. Tworzenie dzieła przyrównywał do ciąży, ponieważ w tym procesie artysta daje początek nowym ideom i wizjom. Rilke twierdził, że „pewnego dnia (...) słowo «kobieta» nie będzie wyrażać jedynie przeciwieństwa męskości, a raczej pewną niezależność, coś, o czym będzie się myśleć nie w kategoriach uzupełnienia i ograniczenia, ale życia i egzystencji”.

Jak na ironię, to właśnie Salomé przekonała później Rilkego, by zmienił imię, które brzmiało „zbyt zniewieściale”. René zastąpiono Rainerem, chociaż Rilke nie zrezygnował z drugiego imienia, Maria. I tak narodził się Rainer Maria Rilke.

Salomé miała długi romans z autorem, Paulem Rée, a potem wyszła za mąż za językoznawcę, Carla Friedricha An-

dreasa. Rola zamężnej kobiety nie zmieniła jej krytycznych opinii na temat mieszczańskich małżeństw. Jawnie flirtowała z mężczyznami, zawsze z intelektualistami albo koneksjami sztuki. Trudno zrozumieć, jak to się stało, że chociaż była mężatką i miała licznych kochanków, bardzo długo zachowała dziewictwo. Jej małżeństwo pozostało nie skonsurowane. Wpływowa, niezależna pisarka i myślicielka albo bała się seksualności, albo nie chciała zatracić się w Innym. Nietzsche powiedział kiedyś: „Dla kobiety mężczyzna jest jedynie środkiem prowadzącym do celu, którym zawsze pozostaje dziecko”. Choć niewątpliwie bardzo wymowne, zdanie to nie dotyczyło Lou Andreas-Salome. I nie dlatego, że nie chciała mieć dzieci. Marzyła o nich. Twierdziła nawet, że macierzyństwo jest najważniejszym powołaniem kobiety. Własna bezdzietność stanowiła dla niej źródło żalu i smutku, o czym opowiadała otwarcie, a czasem nawet zjadliwie. Uważała, że jedynie więź pomiędzy matką a dzieckiem rzeczywiście łączy jaźń z Innym.

Ponadto kochała mężczyzn. Tych, których ceniła, nie traktowała jak środków prowadzących do celu. W jej oczach każdy z nich był światem rządzącym się własnymi prawami. Niczym gospodyni domowa, która czerpie wyjątkową satysfakcję z prasowania pogniecionych koszul, cierpliwie wygładzała zmarszczki ich osobowości. Była intuicyjną, wnikliwą i kontrowersyjną pisarką z silnymi przekonaniami. Miłość tych, którzy ją kochali — głównie mężczyzn — była równie wielka jak nienawiść tych, którzy ją nienawidzili — głównie kobiet.

*

Marguerite Duras — według wielu diwa literatury francuskiej — urodziła się w Sajgonie w 1914 roku. Jej rodzice pracowali dla rządu jako nauczyciele francuskiego. Wcześniej straciła ojca. Po tym wydarzeniu matka Duras została sama w Indochinach z trójką dzieci. Rodzina nie miała łatwego życia, a trudna sytuacja finansowa była przyczyną kłótni i przemocy domowej. Jako nastolatka Marguerite wdała się w romans z zamożnym Chińczykiem; obszernie opisała ten związek zarówno w swojej prozie, jak i w dziennikach.

W wieku siedemnastu lat pojechała do Francji, gdzie wyszła za mąż i tworzyła powieści, sztuki, scenariusze, krótkie opowiadania i eseje. Zręcznie poruszała się między tymi różnymi gatunkami. Napisała *Tamę nad Pacyfikiem*, opartą na przeżyciach z okresu dzieciństwa w Indochinach. Portret własnej rodziny, który przedstawiła w tej książce, wywołał wielką kłótnię pomiędzy nią a jej matką. „Niektórych ta książka wprawi w zakłopotanie — powiedziała autorka. — To mi nie przeszkadza. Nie mam nic do stracenia. Nawet poczucia przyzwoitości”*. W swoich dziennikach opisała taką scenę: matka po raz pierwszy czyta jej książkę na górze, a ona niecierpliwie wyczekuje słów akceptacji na dole. Gdy starsza kobieta schodzi, jej surowa twarz wyraża niechęć. Oskarża Marguerite o zdeformowanie prawdy i granie przed czytelnikami; z kolei Marguerite broni swojej książki i prawa do łączenia faktów z fikcją.

Jeśli przeszłość jest obcą ziemią, Duras często ją odwiedza; powracała z różnymi wspomnieniami tych sa-

mych wydarzeń. „Jedynie chęć odgrzebywania wspomnień skłania mnie do przelewania ich na papier”, powiedziała. Jej interpretacja historii — opowiedzianej początkowo w Kochanku — opartej na romansie, który przeżyła jako

* *L. Adler, Marguerite Duras: A Life, Editions Gallimard, Paris 2000, s. 217.*

306nastolatka z Chińczykiem starszym od niej o dwanaście lat, zmieniała się później w kolejnych książkach. Choć płodna i hojna w swoim rzemiośle, Duras nie obawiała się wielokrotnie wracać do tych samych tematów i odkrywać ich na nowo. Po wydarzeniach w 1968 roku jej twórczość przybrała bardziej polityczny ton. Idąc z duchem czasów, zatytułowała jedną ze swoich książek *Destroy, She Said*. Ból po stracie pierwszego dziecka nosiła w sercu do końca życia. Punktem zwrotnym okazały się narodziny drugiego potomka. Odtąd w szaleńczym tempie przechodziła od wykonywania jednych obowiązków do drugich. Za dnia dzieliła czas między macierzyństwo, prace domowe i pisanie książek, a nocą piła i udzielała się towarzysko. Nie chciała niczego przegapić. Kilka nawałnic zachwiało jej małżeństwem. Rozeszła się z mężem, chociaż tak naprawdę nigdy go nie porzuciła — nadal spędzali czas razem, dbali o edukację syna. Później miała kilka romansów; była kobietą, która nie potrafiła nie kochać mężczyzn ani nie pisać książek.

Pasja tworzenia Duras zasługiwała na pochwałę, chociaż obsesja na punkcie własnej osoby i egocentryzm zakrawający na narcyzm rzucały cień na jej osobowość. Lubiała być adorowana i darzona uznaniem. Do samego końca pozostała zaborcza i zachowała ducha walki. Nie rozmawiała z kilkoma członkami swojej rodziny, a krytycy i inni pisarze często wytykali jej skrajne samouwielbienie. Miewała okresy pełne wyrzutów sumienia, użalania się nad sobą i picia.

Rebecca West była powieściopisarką, krytykiem literackim, dziennikarką i autorką literatury podróżniczej. Urodzona w 1892 roku jako Cecily Isabel Fairfield, zaczęła pseudonim literacki ze sztuki Ibsena Rosmersholm. Karierę literacką rozpoczęła jako felietonistka w tygodniku wydawanym przez sufrażystki. W młodości opowiadała się za radykalnym feminizmem i wyrażała socjalistyczne poglądy. Choć z biegiem lat zweryfikowała swoje przekonania, nigdy nie przestała troszczyć się o sprawiedliwość i równość społeczną. W 1913 roku poznała sławnego autora literatury science fiction, Herberta George'a Wellsa, po tym, jak napisała zgryźliwą recenzję jego powieści zatytułowanej *Marriage*. Zakochali się w sobie, chociaż Wells był od niej o dwadzieścia sześć lat starszy, i wzięli ślub. Ich związek przetrwał dziesięć lat, a w 1914 roku urodził im się syn, Anthony, jedyne dziecko Rebeki.

Zmagając się z obowiązkami samotnej matki, West zaczęła pisać krytyczne eseje dla przeróżnych gazet i czasopism. Została jedną z największych intelektualistek swoich czasów i płodną powieściopisarką. Niemniej jej życie osobiste nie zawsze było szczęśliwe i udane. Związek z Wellsem

przechodził wielokrotne wzloty i upadki, a ona miała kilka romansów. W pewien sposób przypominała Lou Andreas-Salome, bo tak jak ona była bystrą kobietą obracającą się w męskich kręgach intelektualnych i artystycznych, przyjaciółką i kochanką.

W kolejnych latach jej relacje z synem były napięte do granic możliwości. Anthony West, także utalentowany autor, napisał biografię swojego ojca, która odniosła wielki sukces, ale bardzo unieszczęśliwiła jego matkę. Rebecca West oskarżyła syna o zakłamanie rzeczywistości, o dzielenie się prywatnymi wspomnieniami, a w szczególności o niesprawiedliwe zdegradowanie jej do rangi złej matki. Wystąpiła z pozwem, żeby wstrzymać publikację jego powieści *Dziedzictwo*, opartej na wątkach autobiograficznych. Być może najbardziej zabolęła ją to, że chociaż wychowała go sama, bez pomocy najczęściej nieobecnego męża, Anthony pochlebniej wyrażał się o nim. Padły wzajemne oskarżenia, a rany nigdy do końca się nie zagoiły. Kiedy Rebecca West umierała w 1983 roku, nie było przy niej syna. Po jej śmierci Anthony West wydał *Dziedzictwo*. Nie zmienił krytycznego, gorzkiego tonu, w którym wypowiadał się o matce.

Simone de Beauvoir powiedziała kiedyś: „Kobieta nie jest zakrzepłą rzeczywistością, lecz stawaniem się; w stawaniu się należy (...) zdefiniować jej możliwości”*. Lou Andreas-Salomé, Marguerite Duras i Rebecca West — trzy nieprzejednane kobiety z różnymi historiami, lecz równie burzliwym życiem, które podobnie traktowały temat ciała, miłości i kobiecości, były „stawaniem się”. Tak jak my wszystkie.

* *Simone de Beauvoir, Druga płeć, tłum. G. Mycielska, M. Leśniewska, Warszawa 2002, s. 54 (przyp. tłum.).*

NIEZNAJOMA W LUSTRZE

Ludzi w depresji powinien obowiązywać zakaz zbliżania się do luster. W trosce o ich dobro należałoby uniemożliwić im oglądanie własnego odbicia do chwili, aż otrząsną się z przygnębienia. Jeśli jednak cierpiący na depresję z jakiegoś powodu musi przejrzeć się w szklanej tafli, powinien ograniczyć się do przelotnego zerknięcia. Zwierciadła to najgorsze przedmioty, jakie można mieć w pobliżu, gdy samoocena sięgnęła dna, a ciemne chmury gromadzą się nad duszą.

Jednak zdarzyło się tak, że zostałam w pokoju sam na sam z okrągłym lustrem w srebrnej ramie z motywem pąków i kwiatów róż. Wpatrywałam się w nie całą wieczność. Pokazywało młodą kobietę z brudnymi włosami, ciałem szmacianej lalki i oczami pełnymi ogromnego smutku. Wydawała się znajoma, a jednocześnie całkiem obca. Wpatrywałam się jej z ciekawością graniczącą z gniewem. A skoro spotkałam ją po raz pierwszy, nie mogłam stłumić pragnienia, żeby lepiej ją poznać. Poza tym byłam na nią wściekła za to, że mnie zastąpiła. Co do jednego miałam pewność: kobieta w lustrze tonęła, a jeśli pograży się jesz-

cze bardziej, pociągnie mnie za sobą.

W niektórych rejonach Turcji starsze niewiasty wierzą, że zwierciadła nie są i nigdy nie były zwyczajnymi przedmiotami dekoracyjnymi. Dlatego nie ozdabiają frontów luster, ale ich tyły, a potem wieszają je szklaną taflą do ściany. Gdy lustro musi zostać odwrócone — jeśli w ogóle — zasłania się je ciemnym materiałem, najlepiej czarnym albo czerwonym aksamitem. Podczas czesania włosów albo nakładania kohl'u odsuwa się zasłonę, by na siebie zerknąć, a potem ponownie się ją opuszcza. Nieliczni pamiętają dzisiaj o tej starej, wschodniej tradycji. A mimo to wiele starowinek nadal w każdym zwierciadle widzi bramę w nieznaną. Jeśli zbyt długo będziesz się w nie wpatrywać, istnieje szansa, że brama nagle się otworzy i wciągnie cię do środka.

*

Na całym świecie kilka słów funkcjonuje niczym wspólna waluta. Na Wschodzie czy na Zachodzie, gdziekolwiek się udasz, słowa te brzmią mniej więcej tak samo w każdym języku i każdej kulturze. „Telewizja” albo „telefon” to najlepiej znane przykłady, „Internet” to kolejny. Podobnie jak „depresja”.

Chociaż słowo „depresja” funkcjonuje w wielu językach, warto zwrócić uwagę na pewne różnice kulturowe. Na przykład po turecku zamiast „mam depresję” mówi się „jestem w depresji”, jakby depresja nie była stanem umysłu, lecz konkretnym obszarem, ciemnym korytarzem, który oświetla pojedyncza słaba żarówka. Osobę, która ma depresję, traktuje się tak, jakby przestała należeć do tego świata i znalazła się w innej przestrzeni, zewsząd otoczonej szklanymi ścianami.

Dotknięci depresją tracą kontakt nie tylko z miejscem, ale także z czasem. Depresja uznaje tylko jedną szczelinę czasową: przeszłość, a każde zdanie nakazuje rozpoczynać od słów: „gdyby tylko”. Ci, którzy pozostają pod jej wpływem, mają niewielki kontakt z teraźniejszością. Uparcie żyją wspomnieniami, wskrzeszają wszystko, co było i minęło. Niczym chomik w kołowrotku albo wąż, który połknął własny ogon, ugrzęźli na posępnej karuzeli.

Taki był mniej więcej stan mojego umysłu w kolejnych tygodniach. Dojrzywało we mnie coś, czego nie potrafiłam nazwać. Wszystkie niepokoje i troski, które nagromadziłam przez lata, wylewały się nieprzerwanym potokiem przez pęknięcie w mojej duszy.

Ale najgorsza była niemożność pisania.

*

Zaczęłam tworzyć w wieku ośmiu lat. Pewnego wieczoru moja matka wróciła do domu z turkusowym notesem i zapytała, czy chciałabym prowadzić pamiętnik. Z perspektywy czasu sądzę, że trochę martwiła się o moje zdrowie psychiczne. Bo chociaż nie było nic złego w tym, że nieustannie wymyślałam historie, mogło ją niepokoić, że opowiadałam je zmyślonym przyjaciółkom. Dlatego uznała, że spisywanie przeżyć i emocji dzień po dniu może mi pomóc. Nie wiedziała tylko, że wtedy moje życie wydawało mi się potwornie nudne. Ostatnią rzeczą, na jaką miałam

ochotę, było opowiadanie o sobie. Zamiast tego zaczęłam pisać o innych ludziach i wydarzeniach, które nigdy nie miały miejsca. I tak zrodziła się moja życiowa pasja tworzenia prozy, którą od samego początku postrzegałam nie jako autobiograficzną manifestację, ale transcendentalną podróż do życia innych, ku nowym możliwościom.

Jednak ostatnio czułam się jak analfabeta. Słowa, które przez całe życie dotrzymywały mi towarzystwa, teraz mnie opuściły i zamieniły się w rozmiękle litery niczym makaronowy alfabet w zupie.

Stopniowo ludzie z mojego otoczenia zaczęli dostrzegać, co się ze mną dzieje.

Niektórzy mówili: „Musisz mieć blokadę albo coś w tym stylu. To nic takiego, przytrafia się każdemu. Minie”. Inni twierdzili: „To dlatego, że ostatnio miałaś stresujący okres. Zostałaś wezwana do sądu na proces dotyczący słów wypowiedzianych przez bohaterów twojej powieści Bękart ze Stambułu. Byłaś wtedy w ciąży i to wydarzenie ciężko cię doświadczyło, dało ci się we znaki”.

Moja babka ze strony mamy powiedziała: „Twoja depresja musi być sprawką nikczemnego złego oka. Niech natychmiast się zamknie!”.

Przewodnik duchowy, którego odwiedziłam, rzekł:

„Bez względu na przyczynę musisz przyjąć swoją rozpacz i pamiętać, że Bóg nigdy nie kładzie nam na barki więcej, niż jesteśmy w stanie udźwignąć”.

W końcu lekarz, z którym się skonsultowałam, oświadczył:

— Przywitaj się z depresją poporodową. Zacznijmy od dwóch tabletek cipraleksu dziennie i zobaczymy, co się wydarzy. Jeśli zaobserwujesz zmiany nastroju, natychmiast się ze mną skontaktuj.

— Dziękuję, doktorze — odparłam, wsuwając tabletki do kieszeni koszuli.

Cipralex, xanax, prozac i tym podobne. Problem polegał na tym, że gdybym zaczęła je łykać, nie mogłabym karmić piersią, a bardzo mi na tym zależało.

Tego samego dnia po południu wróciłam do domu i poważnie zastanowiłam się nad tym dylematem. Uznałam, że podaruję cipralex różowemu fiołkowi alpejskiemu w kuchni. Jedna tabletką rano i jedna wieczorem, na pusty żołądek. Co drugi dzień fuksja w salonie otrzymywała swoją porcję xanaksu. Cztery razy w tygodniu wsadzałam prozac do ziemi w doniczce z gardenią i podlewałam go, żeby ułatwić roślinie przyjęcie leku.

Nie minął nawet miesiąc, nim fiołek alpejski pociemniał do tego stopnia, że zrobił się prawie fioletowy, a liście fuksji opadły. Gardenia prawdopodobnie przeszła największą transformację. Zamieniła się w wiecznie szczęśliwy kwiat — jowialny i pogodny, tryskający dowcipami, chociażący od świtu do zmierzchu.

Tymczasem mój nastrój nie uległ zmianie.

LORD POTON
I JEGO RODZINA

Dzisiaj powszechnie wiadomo, że wiele kobiet przeżywa emocjonalne turbulencje na wczesnych etapach macierzyństwa. Mimo to niewiele z nich poznaje Lorda Potona. Większość zawiera znajomość z jego młodszą, niewinną bratanicą, a naprawdę garstka ma nieszczęście natknąć się na jego paskudną ciotkę.

1. Apatia poporodowa (bratanica Potona)

Apatia poporodowa to łagodne zaburzenie równowagi emocjonalnej, które może pojawić się tuż po porodzie. Nie-szkodliwy i częsty gość oddziałów położniczych, bratanica Potona, nie stanowi poważnego problemu.

2. Psychoza poporodowa (ciotka Potona)

To najniebezpieczniejsza i najbardziej niepokojąca zmiana psychologiczna, jakiej może ulec świeżo upieczona matka. Te kobiety, które nawiązują kontakt z ciotką Lorda Potona, mogą wyrządzić krzywdę sobie, swoim dzieciom i najbliższym. Wymagają długiej i poważnej terapii medycznej, żeby się jej pozbyć.

3. Depresja poporodowa (Lord Poton)

Szacuje się, że ten despotyczny dzin pojawia się u jednej na dziesięć kobiet, które dopiero co urodziły. Zwykle składa pierwszą wizytę w ciągu czterech, maksymalnie sześciu tygodni od porodu. Na początku wygląda zwyczajnie i niegroźnie, ale stopniowo ujawnia swoje prawdziwe oblicze.

Po miesiącach depresji zaczęłam czytać liczne publikacje na temat mojego stanu. Żądna wiedzy, szukałam przyczyny dręczącej mnie choroby. Przystałam pytać, dlaczego nie dotyka innych kobiet. Teraz chciałam zrozumieć, czemu to spotkało mnie. Dlatego też odwiedzałam strony internetowe, zbierałam broszury, pochłaniałam książki i raporty medyczne. Ciekawość tego rodzaju, być może bezcelowa, była mi niezbędna, żeby ruszyć z miejsca.

Podczas gromadzenia informacji zrozumiałam, że nie trzeba być nieszczęśliwą albo niespełnioną, by paść ofiarą depresji poporodowej. Ulegają jej kobiety z różnych środowisk, o różnych statusach, różnych wyznań i temperamentów. Nie istnieje żadna złota zasada, która tłumaczy wszystkie przypadki naraz i każdy z osobna. Przyczyny można wymieniać bez końca: przebyta wcześniej depresja, problemy ze zdrowiem fizycznymi w czasie ciąży, niekończące się kłopoty małżeńskie, finansowe albo społeczne, brak pomocy ze strony krewnych i przyjaciół, nagła zmiana otoczenia i tym podobne.

Niełatwo wykręcić objawy depresji poporodowej, ponieważ Lord Poton ma ogromny talent do odradzania się w nowych wcieleniach. Niemniej można go rozpoznać między innymi po: braku energii, nadwrażliwości i nadmiernej irytacji; poczuciu winy albo niższości; problemach z koncentracją i pamięcią; strachu przed wyrządzeniem krzywdy sobie i dziecku; zaburzeniach snu; braku apetytu, braku popędu płciowego; aspołecznym zachowaniu (zamykaniu się w domu, unikaniu ludzi, nawet bliskich znajomych); braku zainteresowania własnym wyglądem; długotrwałej obojętności wobec reszty świata.

Prawda jest taka, że jako kobiety z krwi i kości oraz

prawnuczki Ewy, wszystkie od czasu do czasu przeżywamy wzloty i upadki, zwłaszcza w tak trudnych i stresujących momentach, jak wydanie dziecka na świat. A zatem bardziej od samych symptomów liczy się to, jak mocno i długo cierpimy.

Nieusatysfakcjonowana informacjami, które zgromadziłam, postanowiłam przygotować dla świeżo upieczonych matek własny test wyboru.

LORD POTON i TY

JAK DUŻE JEST PRAWDOPODOBIENSTWO,
ŻE SIĘ SPOTKALIŚCIE?

1. JAK SIĘ CZUŁAŚ PO WYJŚCIU ZE SZPITALA I POWROCIE DO
DOMU?

A. Jak dziecko wylane z kąpielą. Żałowałam, że nie mogliśmy zostać w szpitalu trochę dłużej. Pielęgniarki były opanowane, dodawały nam otuchy i nieustannie do nas zaglądały. W domu zdałam sobie sprawę, że nie wiem, jak prawidłowo trzymać dziecko.

B. Czulałam się jak ryba bez wody, ale uznałam, że to normalne. Miałam rację?

C. Czulałam się cudownie, gotowa na rozpoczęcie nowego rozdziału w życiu! Dobrze, że przygotowałam wcześniej pokój dla dziecka. Różowo-lawendowy z jednoróżkami na ścianach. Każdego z nich namalowałam własnoręcznie.

2. CO NAJLEPIEJ ZAPAMIĘTAŁAŚ Z DNIA PORODU?

A. Ból! I stres, który czulałam po wejściu na salę porodową. Jak mam wyrzucić z pamięci obraz lekarzy i pielęgniarek w maseczkach?

B. Chwilę, gdy trzymałam dziecko w ramionach. To było niezwykle uczucie. Płakałam i płakałam. Nadal płacę, kiedy o tym myślę.

C. Kwiaty i czekoladki przysyłane przez przyjaciół i krewnych! Były fantastyczne, a pluszowe misie naprawdę urocze!

3. JAK SIĘ OSTATNIO ODŻYWIASZ?

A. Karmię dziecko, ale zapominam o sobie. Poza tym i tak nie dopisuje mi apetyt.

B. Choć jadałam dotąd dość regularnie, trudno mi dokładnie powiedzieć, w jakich odstępach czasu.

C. Mam taki apetyt, że mogę zjadać trzy śniadania dziennie. Nie można mieć do mnie o to pretensji! Wszystkiemu winna jest Rosita, nasza kucharka. Ach, te biscochitos! Jak zdołam się pozbyć dodatkowych kilogramów?

4. JAK OSTATNIO SYPIASZ?

A. A co to takiego sen? Wciąż tylko nasłuchuję, czy dziecko oddycha. Nie mogę zmrużyć oka.

B. Śpię raczej dobrze. Czasami lepiej, czasami gorzej.

C. Można mnie nazwać śpiącą królową. Kiedy dziecko płacze, zagląda do niego mój mąż. Czyż nie jest cudowny?

5. CZY ZASZŁY W TOBIE JAKIEŚ ZMIANY OD PORODU?

A. Zapytaj lepiej, czy coś się nie zmieniło. Moje życie zostało wywrócone do góry nogami, nic nie jest już takie samo.

B. Nie przypominam dawnej siebie, ale nie potrafię powiedzieć dlaczego.

C. No cóż, jestem grubsza niż przed ciążą, jeśli o to chodzi.

Ale chudsza niż w czasie ciąży! I tyle!

319

6. W TELEWIZJI POKAZUJĄ KOMEDIĘ ROMANTYCZNĄ, KTÓRĄ JUŻ WIDZIAŁAŚ. CO CZUJESZ PODCZAS ŚMUTNEJ SCENY?

A. Oczywiście rozpacz. Ostatnio niemal wszystko doprowadza mnie do łez.

B. Skoro widziałam już ten film, nie zrobi na mnie większego wrażenia. Ale kto wie?

C. Dlaczego miałabym oglądać film, który już widziałam, skoro wyświetlają tyle nowych produkcji?

7. CO CZUŁAŚ DO MĘŻA PO PORODZIE?

A. Ja musiałam znieść cały ból, a on po prostu został ojcem.

A potem kupuje śpiochy z napisem „Córeczka Tatusia!”.

To ja zmieniam pieluchy, a mimo to dziecko nadal jest „Córeczką Tatusia!”. Powinnam była urodzić się mężczyzną.

B. Chyba traktuję go z dystansem, chociaż nie wiem dlaczego.

C. Zeszłego wieczoru zabrał mnie na randkę. Zachowywaliśmy się jak zakochani licealiści. Otworzyliśmy nawet butelkę szampana.

8. CO CZUJESZ NA MYŚL O LEKARZU?

A. Urazę! Jestem na niego wściekła. Mógł mi podać znieczulenie zewnątrzoponowe.

B. Zastanawiam się, jak to jest, gdy odbiera się tyle porodów i widzi tyle kobiet przeżywających cud narodzin.

To musi być miłe, prawda? Prawda?

C. Mój lekarz to najmilszy facet na świecie. Pewnego razu zapytałam go, czy tego lata będę mogła założyć bikini, na co on odpowiedział: „Oczywiście, i niejeden mężczyzna się za panią obejrzy!”. Czyż nie jest czarujący?

9. CZY W CIĄGU DNIA ROZPIERA CIĘ ENERGIA?

A. Nic mi się nie chce. Poza tym po co miałabym coś robić?

B. Czasami mam kolana jak z waty. Przez moment się podemną uginają, a potem to uczucie mija.

C. I to jak! Ćwiczę jak szalona. Zatrudniłam nawet osobistego trenera. Jest Włochem!

10. Z KIM SIĘ OSTATNIO KŁÓCIŁAŚ?

A. Ze wszystkimi: z matką, która faworyzuje mojego męża, z sąsiadką poirytowaną o niedorzecznie wczesnej porze, z moimi siostrami, które zadają mi przez telefon głupie pytania, z teściową próbującą kontrolować moje życie, z mężem, który zawsze staje po jej stronie.

B. Nie kłóczę się z ludźmi. Zawsze jestem przychylnie usposobiona. Zawsze.

C. Ja się nie kłóczę, kochana. Ja niosę światu miłość.

11. KIEDY OSTATNIO WIDZIAŁAŚ SIĘ Z BLISKIMI PRZYJACIÓŁMI?

A. Dwa miesiące temu? Może jeszcze wcześniej? Nie jestem w nastroju na spotkania towarzyskie.

B. Przyjaciele i rodzina dotrzymują mi towarzystwa, niech im Bóg błogosławi. Nie kontroluję tego, kto przychodzi i wychodzi.

C. Pewnego dnia dziewczyny urządziły dla mnie baby shower. Świetnie się bawiłyśmy. Oczywiście musiałam przerwać na ten dzień dietę, bo nie mogłabym się oprzeć

tym wszystkim ciastkom.

12. DO JAKIEGO STOPNIA JESTEŚ POGODZONA ZE SWOIM CIAŁEM I SEKSUALNOŚCIĄ?

A. Mój mąż i ja sypiamy w innych pokojach. Nie będę ani trochę zdziwiona, jeśli wkrótce zamieszkamy w oddzielnych domach na różnych kontynentach.

B. Nadal śpimy w jednym łóżku, ale wolałabym być przy dziecku. Nie mówię jednak o tym głośno, by nie zranić uczuć męża.

C. Masz na myśli figle-migle? O tak, jak króliki.

13. CO SĄDZISZ O TYM TEŚCIE?

A. Strata czasu.

B. Nie wiem, nie mogę się w pełni skoncentrować.

C. Fajna zabawa. Żaden problem!

KLUCZ

Jeśli zaznaczyłaś większość odpowiedzi A:

Lord Poton nie tylko ci się przedstawił, ale być może został twoim najlepszym przyjacielem. Natychmiast zadzwoń do lekarza i poproś o pomoc.

Jeśli zaznaczyłaś większość odpowiedzi B:

Twoja samoocena nie jest najwyższa i przejawiasz zachowania pasywno-agresywne. Strzeż się. Lord Poton może zapukać do twoich drzwi w każdej chwili.

Jeśli zaznaczyłaś większość odpowiedzi C:

Nie masz powodów do obaw. Dla ciebie depresja jest równie odległa jak Ziemia od Jupitera. Najprawdopodobniej nigdy nie poznasz Lorda Potona.

MATKI PISARKI I ICH DZIECI

Alice Walker to jedna z najważniejszych i najbardziej bezpośrednich współczesnych amerykańskich pisarek. Ma wiernych czytelników na całym świecie, a jej utwory przetłumaczono na ponad dwadzieścia języków. Urodziła się w Georgii, w rodzinie rolników, jako najmłodsza z ośmiorga rodzeństwa. Nie miała łatwego dzieciństwa. Jednak jej matka z determinacją dążyła do zapewnienia swojemu potomstwu takich samych możliwości rozwoju, z jakich korzystały białe dzieci, i robiła wszystko, co w jej mocy, by jak najlepiej je wykształcić. Alice zaczęła chodzić do szkoły w wieku czterech lat. Jako ośmiolatka doznała urazu oka, co odcisnęło głębokie piętno na jej życiu, a być może także na twórczości. Chociaż przebaczyła bratu, przez którego na zawsze straciła zdolność widzenia w prawym oku, drwiny i zaczepki rówieśników uczyniły z niej nieśmiałe, wycofane dziecko. Odtąd ceniła samotność i pielęgnowała zamiłowanie do snucia opowieści, łącząc tradycje przekazu ustnego i pismnego.

W niespokojnym okresie wczesnych lat sześćdziesiątych XX wieku na Południu Walker usłuchała serca i wyszła za mąż za białego prawnika. W epoce rozszalałego rasizmu i ksenofobii byli jedyną mieszaną parą w kręgach, w których się obracali. Mieli córkę, Rebeckę. Macierzyństwo

było istotnym punktem zwrotnym w życiu Alice Walker. Czuła silniejszą więź nie tylko ze swoją matką, ale bodajże ze wszystkimi matkami świata — z tymi, których nigdy nie miała spotkać. Później w eseju zatytułowanym *In Search of Our Mothers' Gardens* napisała: „Dla tych naszych babek i matek będących nie Świętymi, lecz Artystkami popychanymi ku paraliżującemu, krwawiącemu szaleństwu przez kipiące w nich źródła kreatywności, od których nie ma wybawienia”. Innym razem powiedziała, że jej powieści zawierają te myśli i uczucia, które jej przodkowie chcieli przekazać nowym pokoleniom.

Po rozwodzie Walker postanowiła, że nigdy więcej nikogo nie poślubi. Odtąd krytycznie wyrażała się o małżeństwie i domowych pieleszach. W eseju zatytułowanym *A Writer Because of, Not in Spite of Her Children* Walker kwestionuje konwencjonalne opinie o sztuce i twórczości w zachodnim świecie. Twierdzi, że kultura dominująca wyznacza granice między obowiązkami związanymi z wychowywaniem dzieci a obszarem kreatywności. Traktuje instytucję małżeństwa jako patriarchalny twór nieodpowiedni dla takiej niezależnej, wyzwolonej pisarki jak ona sama. Żartobliwie dodaje: „Poza tym lubię być uwodzona”.

Jej najgłośniej oklaskiwana powieść, *Kolor purpury*, wyraźnie pokazuje, że Walker jest autorką, która rzuca wyzwanie mizoginii i rasizmowi. Przez całe życie pracowała nad stworzeniem lepszego świata, w którym panowałyby równość i wolność bez względu na płeć, pochodzenie czy rasę. W młodości aktywnie uczestniczyła w ruchu praw obywatelskich i ruchu kobiet. Co ciekawe, sprzeciwiała się określeniu „feminizm” i krytykowała ten ruch za obojętność wobec problemów kolorowych kobiet. Zaproponowała inne określenie: *womanism* („kobiecyzm”) i wyjaśniła, że różni się ono od feminizmu tak jak fioletowy od lawendowego. Ostatnio zaczęła krytykować politykę administracji Busha w Iraku i zwróciła uwagę mediów na irackie matki i dzieci. Wybrała się także do Gazy, gdzie spotkała się z organizacjami pozarządowymi i przedstawicielami Palestyny oraz Izraela, by przełamać bariery kulturowe. Zawsze otwarcie mówiła o polityce.

W ciągu ostatnich kilku lat na pierwszy plan w życiu Alice Walker wysunęły się sprawy osobiste. Doprowadził do tego spór pomiędzy pisarką a jej córką. Rebecca kilkakrotnie wyraziła się pogardliwie o matce. Oskarżyła ją o to, że porzuciła ją w dzieciństwie, by ratować obce dzieci. Twierdzi, że jako dziecko i nastolatka była nieustannie zaniebawiana przez matkę aktywistkę, która rzucała się w wir kolejnych wydarzeń.

Rebecca nie miała łatwej młodości; nadużywała narkotyków i nim skończyła trzynaście lat, romansowała zarówno z mężczyznami, jak i kobietami. Rok później zaszła w ciążę. W swojej autobiografii *Black, White and Jewish* obszernie opisała swoje wzloty i upadki. Po urodzeniu syna spisała wspomnienia dotyczące tego, jak wybrała macierzyństwo po okresie wahań i wątpliwości. Rebecca uważa, że feminizm nie tylko oszukał wiele kobiet, ale także podstępem nakłonił całe pokolenie do bezdzietności.

To skomplikowana historia. I jak wszystkie historie matek i córek ma dwie strony. Ale mnie interesuje, jak to się stało, że Alice Walker — odnosząca sukcesy, szczerza do bólu pisarka, a przy tym empatyczna matka — tak bardzo zniechęciła do siebie własną córkę. Czy nie potrafiła pogodzić życia rodzica z życiem autorki? Czy do sytuacji, w której znalazły się obie kobiety, doprowadziły wyjątkowe okoliczności? Czy może ich historia wskazuje na coś bardziej uniwersalnego, co może przytrafić się każdemu z nas?

*

Czytanie Toni Morrison sprawia mi taką samą przyjemność jak jej słuchanie. Ma androgeniczny, zachrypnięty głos, który dociera do uszu słuchaczy jakby zza niewidzialnych barier, niosąc ze sobą duchy minionych pokoleń. Nawet gdyby recytowała przepis na ciasto dyniowe, każdy słuchałby jej w największym skupieniu. Nikt nie zdołałby się wyrwać spod jej zaklęcia.

Krytyk Barbara Christian nazywa ten rodzaj realizmu, który prezentują utwory Morrison, fantastycznie ziemskim. Morrison nie wprowadza przeszłości za jednym zamachem, ale przedstawia ją w kawałkach i skrawkach, oczekując współpracy z naszej strony. Chce, by czytelnik aktywnie uczestniczył w budowaniu historii, zamiast bezczynnie przyglądać się wszystkiemu z boku. Przeszłość traktuje niczym skomplikowaną łamigłówkę i wymaga jej rozwiązania, co wcale nie jest łatwe. Pisze z wściekłością i melancholią, ale także ze współczuciem i miłością. W jednej z jej najpopularniejszych książek, *Umiłowanej*, która przedstawia emocjonujące koleje losu zbiegłego niewolnika, Sethe'a, macierzyństwo jest analizowane pod kątem genezy niewolnictwa. Na zakończenie Sethe zabija własną córkę, ponieważ woli to, niż zobaczyć ją jako niewolnicę cierpiącą tak samo jak on.

Kobiety w twórczości Morrison są odważne i imponujące, chociaż ich historie nie nasuwają wprost myśli o heroizmie. I właśnie ze względu na te zwyczajne niezwykłe bohaterki pisarstwo autorki zasługuje na uwagę. Sportretowane przez Morrison oblicze macierzyństwa jest wynikiem euforycznej miłości, która w swej istocie ma moc przeobrażania i leczenia. Niemniej matka i dziecko nie żyją w społecznej próżni, a kobieta spełniająca matczyne obowiązki nie jest odporna na ułomności i grzechy świata, w którym próbuje przetrwać.

Morrison w młodym wieku wyszła za mąż za studenta architektury. Owocem tego niełatwego związku było dwóch chłopców. Ostatecznie para się rozstała. Żeby utrzymać rodzinę, Morrison pracowała jako redaktorka książek. Wtedy też zaczęła pisać uznaną później powieść *The Bluest Eye*. Kładła dzieci do łóżka i pracowała całą noc. Wykrajała dla siebie przestrzeń między obowiązkami wynikającymi z macierzyństwa i pracy redaktorskiej. W wywiadach dotyczących tamtego okresu przyznaje skromnie, że trudno było jej nazywać siebie literatką. Wolła mówić: „Jestem piszącą matką” albo „Jestem piszącą redaktorką”.

Jej synowie powiedzieli kiedyś, że niezbyt podobało im

się dorastanie u boku matki, która zarabiała na życie pisaniem. Zapytana o to Morrison udzieliła szczerzej i mądrzej odpowiedzi: „A kto byłby tym zachwycony? Na pewno nie ja. Pisarze są nieobecni”. Morrison twierdzi, że autorzy lubią i cenią brak precyzji, a także go potrzebują. Mimo to ten sam brak precyzji, tak istotny dla literatury i twórczości, może być ciężarem dla dzieci pisarzy.

Morrison to przede wszystkim pisarka. Mówi, że jej przyjaciele to rozumieją i akceptują ją taką, jaką jest. Od tego są prawdziwi przyjaciele. Zdarzają się chwile, że musi przedkładać pisanie nawet nad własne dzieci. Jedno z jej wspomnień bardzo mnie porusza. Podczas pracy nad Pieśnią Salomonową uprzedziła swojego młodszego syna — wówczas dziesięcioletniego — że to nie będzie dla niego miłe lato, ponieważ ona będzie cały czas zajęta. Poprosiła go o cierpliwość, którą on niechętnie, lecz wspaniałomyślnie jej obiecał. Morrison twierdzi, że jej synowie nadal nazywają tamten okres potwornym latem.

Zarówno Alice Walker, jak i Tonie Morrison cenią bogactwo, które odnalazły w historiach przekazywanych ustnie przez babki swoim wnuczkom. Ilekroć napotykają przeszkodę, czerpią inspirację z odwagi kobiet minionych pokoleń, a same nakłaniają nas, żebyśmy przykładali większą wagę do nieopowiedzianych losów i przemilczanych faktów. Chociaż obie cenią macierzyństwo, w swojej prozie powstrzymują się przed utożsamianiem go ze świętością. Otwarcie mówią o konfliktach macierzyństwa, także o własnych ciężkich doświadczeniach. Liczne porażki, słabości i straty kształtują bohaterki ich opowiadań; czasami serca tych kobiet są tak pokiereszowane, że czytanie o nich sprawia ból. A jednak to wojowniczeki. Liczy się dla nich przetrwanie. I to właśnie owe zacięte zmagania — a nie przegrane czy wygrane — czynią je tymi, kim są.

KRYSTAŁOWE SERCE

Pod koniec grudnia Stambuł przybrał świąteczne oblicze, jasne i kolorowe. Do tej pory wypróbowałam już kilka nowych kuracji, ale żadna mi nie pomogła. Na słupie wysokiego napięcia, na którym dawniej widywałam trampki, ktoś zawiesił jasnozielone, liche światełka. Nocami obserwowałam, jak migoczą słabo, jakby dawno temu dały za wygraną w walce z mrokiem.

W tym okresie spotykałam się z psychiatrą — mądrą kobietą, która w chwilach roztargnienia obgryzała paznokcie kciuka. Nie wierzyłam jednak, że terapia mi pomoże, a gdy nie ma wiary, nie ma sukcesu. Tak czy inaczej, pani doktor przepisała mi środki antydepresyjne o przeróżnych skutkach ubocznych: od swędzenia rąk (które równie dobrze mogły być wynikiem mojej tęsknoty za pisaniem) do suchości w ustach i czerwonej wysypki na twarzy. I chociaż wspomniane leki dla jednych mogą okazać się zbawienne, to u innych mogą pogłębić depresję właśnie z powodu niepożądanych reakcji. Rozpoczęłam także psychoterapię, jednak po każdej sesji moje dolegliwości przybierały na sile, zamiast ustępować. Na krótko dołączyłam do grupy

wsparcia, lecz jako urodzona introwertyczka nie mogłam pogodzić się z faktem, że muszę opowiadać o życiu prywatnym obcym ludziom. Słowa, które wydobywały się z moich ust, brzmiały nienaturalnie, niemal złudnie.

Straciłam rozeznanie, w jakim stopniu za moją depresję odpowiadają hormony, a w jakim czynniki zewnętrzne, jaką jej część zawdzięczam sobie, a jaką kulturze, w której przyszło mi żyć. Depresja pojawia się wbrew naszej woli i bez naszej wiedzy, a potem stopniowo i niepostrzeżenie może zamienić się w rzekę, w której ochoczo wiosłujemy. Dręczył mnie strach, że mogę mieć syndrom „czarodziej-skiej góry”. W powieści Tomasza Manna jej bohater, Hans Castorp, jedzie do sanatorium, żeby odwiedzić przyjaciela chorego na gruźlicę. Podczas wizyty pojawiają się u niego podobne objawy i w efekcie spędza w rzeczonym sanatorium aż siedem lat. Mann wierzył, że choroba stwarza istocie ludzkiej szereg nowych możliwości i ułatwia rozwój moralny.

Podobnie ja pogodziłam się z depresją do tego stopnia, że zaczęłam ją traktować jako stan permanentny i patrzyłam na życie jej zamglone soczewki. Pilnie musiałam wrócić do pisania, by wydostać się z tego bagna. Musiałam przelać myśli na papier, ale słowa nie płynęły. Nie mogłam pisać od ośmiu miesięcy.

Może się wydawać, że osiem miesięcy to nic takiego, ja miałam jednak wrażenie, że to cała wieczność. W tym czasie depresja poporodowa stała się nieodłączną częścią mojego życia. Bez względu na to, gdzie się znajdowałam i co robiłam, Lord Poton podążał za mną niczym natarczywy prześladowca. Męczył mnie swoją obecnością, a mimo to nigdy nie posunął się do ostateczności. Nie unicestwił mnie, ale odebrał mi część człowieczeństwa i zamienił w pustą skorupę mojej dawnej jaźni. Chociaż nie powstrzymał mnie przed jedzeniem i piciem, odbierał całą związaną z tym przyjemność. Nie zużywał wszystkich moich zapasów energii, ale wyczerpywał mnie do tego stopnia, że czułam się tak, jakbym utknęła między głębokim snem a bezsennością, niczym wyklęta somnambuliczka.

Zanim się zorientowałam, literatura zaczęła przypominać odległą ziemię zakazaną, do której dostępu bronią rośli strażnicy. Zaniepokojona, że moja noga nigdy więcej tam nie postanie, zastanawiałam się, do czego przyrównać pisanie. Do jazdy na rowerze, której nigdy się nie zapomina, kiedy człowiek już raz ją opanuje? Czy raczej do nauki arabskiego albo Koranu — tego rodzaju umiejętności, która długo niećwiczona powoli zanika?

Najpierw przekonałam siebie, że zapomniałam, jak się pisze.

A potem zaczęłam podejrzewać, że pisanie zapomniało o mnie.

*

Tworzenie powieści — układanie historii, powoływanie do życia i uśmiercanie bohaterów — to ulubiona gra tych, którzy nie chcą dorosnąć. Chociaż wszystko rozgrywa się na papierze, możliwość odtwarzania kolejnych ruchów wciąż na nowo pomaga zapomnieć o własnej śmiertelno-

ści. Słowo usłyszane przepada, litera napisana pozostaje. A przynajmniej tak lubimy myśleć. To przekonanie jest dla nas pociechą w obliczu ulotności życia. Powieściopisarze w głębi serca wierzą, że są nieśmiertelni.

A wiara to ważny element bycia literatem. Tworzone historie zaczynają nabierać takiej wyrazistości, że czasami świat zewnętrzny wydaje się monotony i nieistotny. Kiedy dzwonią przyjaciele, kiedy wynikają ważne sprawy, kiedy mąż zaprasza na kolację, kiedy ciążyą obowiązki towarzyskie, znajduje się wymówkę za każdym razem. Wszystko ma drugorzędne znaczenie — tylko na pisanie jest czas. Powieściopisarka jest i musi być egoistką. Macierzyństwo natomiast polega na dawaniu.

Podczas gdy powieściopisarka jest introwertyczką — przynajmniej w czasie tworzenia powieści — matka z definicji jest ekstrawertyczką. Powieściopisarka buduje maleńki pokój w głębi umysłu i zamyka drzwi, żeby nikt nie mógł się do niego dostać. Tam ukrywa swoje sekrety i ambicje, z dala od wścibskich spojrzeń. Z kolei matka zostawia otwarte wszystkie okna i drzwi — dniem i nocą, latem i zimą. Jej dzieci mogą wejść dowolnie wybranym wejściem i zajrzeć wszędzie, gdzie tylko zechcą. Nie ma żadnych sekretnych kątów.

Kiedy twoje dziecko upada i zdiera sobie kolana albo wraca do domu z powiększonymi migdałkami, albo leży w łóżku z gorączką, albo gra rolę Boba Kanciastoprego w szkolnym przedstawieniu, nie możesz powiedzieć: „Wiesz, właśnie piszę nowy rozdział. Czy możesz wrócić za miesiąc?”.

*

Betty Friedan — pisarka, aktywistka, feministka — uparcie wierzyła, że definicja sukcesu panująca powszechnie we współczesnym społeczeństwie jest zbyt zawężona. Uważała, że tylko nowe ramy wartości rodzinnych pozwolą zmienić system, w którym każda matka z przedmieścia toczy samotną walkę i obwinia się za choćby najdrobniejszą porażkę. Friedan sama pisała rewolucyjne książki i wychowywała troje dzieci. „To priorytety ludzi — w równym stopniu mężczyzn i kobiet — powinny afirmować i wzbogacać życie, nie chciwość”, powiedziała.

Depresja pogłębia się zawsze wtedy, gdy zapominamy wzbogacać nasze życie. Być może najbardziej uporczywe pytanie, jakie zadajemy sobie w takich chwilach, brzmi: „Dlaczego?”. Dlaczego to przytrafia się mnie? Dlaczego nie innym, lecz mnie? Święta Teresa z A viii powiedziała kiedyś: „Nasza dusza przypomina zamek wykonany z brylantu albo jakiegoś innego kryształu o podobnej przejrzystości”. A my, kobiety, obawiamy się, że kryształ uległ uszkodzeniu, którego nie da się naprawić, i niesłusznie uważamy, że to nasza wina. W tym tkwi problem.

Moja babka ze strony mamy w wieku piętnastu lat wyszła za mąż za oficera, którego widziała tylko przez dwie minuty (mój dziadek zapukał do drzwi jej rodzinnego domu i udał, że szuka jakiegoś adresu, na co babcia udzieliła mu wskazówek, udając, że nie zna jego prawdziwych intencji). Moja matka poślubiła studenta filozofii w wieku dwudzie-

stu lat, gdy nadal uczyła się w college'u — nie zdołano wyperswadować jej małżeństwa w tak młodym wieku. Ta pierwsza miała zaaranżowane małżeństwo w Turcji w latach trzydziestych XX wieku, wychowała troje dzieci i była całkowicie zależna od swojego męża. Druga wyszła za mąż z miłości, bo takiego dokonała wyboru, rozwiodła się, skończyła college (otrzymała dyplom po rozwodzie), wychowała dziecko i stała się finansowo niezależna. Co ciekawe, chociaż moja babka hołdowała tradycyjnym rolom przypisanym płciom, a moja matka emancypacji, w zmiennych kolejach kobiecego losu — takich jak apatia poporodowa, menopauza i tym podobne — czasami to ta pierwsza okazywała się lepiej przygotowana. W miarę upływu czasu kobiety zapomniały o ważnej sprawie: na różnych etapach życia każda z nas może, a nawet będzie potrzebować pomocy swoich sióstr, i to nie tylko tych, z którymi łączą ją więzy krwi. Tymczasem moje pokolenie dało się ponieść propagandzie, że możemy zrobić wszystko, co chcemy — dlatego czasami jesteśmy oderwani od rzeczywistości. Być może zapominamy, jak prosić o pomoc, kiedy najbardziej jej potrzebujemy.

Dzisiaj nie mówimy ani nie piszemy wiele o tym obliczu macierzyństwa, które pozostało w cieniu. Zamiast tego korzystamy z dwóch głównych nauk:

1. Tradycyjny pogląd głosi, że macierzyństwo to najświętszy, najważniejszy obowiązek, dla którego powinniśmy zrezygnować z całej reszty.
2. Współczesny pogląd, wykreowany przez prasę kobiecą, prezentuje typową supermenkę, która robi karierę, ma męża i dzieci, a przy tym potrafi zaspokoić potrzeby wszystkich dookoła, zarówno w domu, jak i w pracy. Chociaż te dwie wizje wydają się tak różne, mają coś wspólnego: obie koncentrują się wyłącznie na jednej stronie medalu, ignorując złożoność i intensywność macierzyństwa oraz sposób, w jaki przeistacza ono kobietę i jej kryształowe serce.

POŻEGNANIE Z DŻINEM

Pewnego razu dysponująca zniewalającym głosem Katherine Mansfield wygłosiła taką oto uwagę: „Być wiernym swojemu ja! Ale któremu? Której spośród — jak się wydaje — setek jaźni? Przy tych wszystkich kompleksach, ograniczeniach, reakcjach, drganiach i myślach mieszam takie chwile, kiedy czuję się jak skromna recepcjonistka w hotelu, który nie ma właściciela”.

Jako skromna recepcjonistka swojego własnego hotelu chętnie powiedziałabym, że dzięki sile woli, opanowaniu i trzeźwości umysłu pokonałam w końcu Lorda Potona. Chętnie powiedziałabym, że pokonałam go sama, ponieważ uknułam wielki plan i podstępem zepchnęłam go w nicość. Ale tak nie było.

To nie znaczy, że żadna z terapii nie przyniosła efektów. Jestem pewna, że niektóre z nich mi pomogły. Ostatecznie jednak depresja poporodowa zakończyła się na własnych prawach, jakby zatoczyła pełne koło. Dopiero gdy nadszedł

właściwy moment, a ja poczułam, że wszystko jest na swoim miejscu, wyszłam z ciemnej i dusznej króliczej nory. Tak jak doba trwa dwadzieścia cztery godziny, a tydzień siedem dni, tak jak motyl wie, kiedy opuścić kokon, a nasionko, kiedy zakiełkować, tak jak pokonujemy kolejne etapy rozwoju, tak jak wszystko we wszechświecie ma termin przydatności — tak samo depresja poporodowa dobiega końca.

W tej sytuacji można wybrać jedno z dwóch podejść:

1. pesymistyczne: „Jeśli nie można wyjść z depresji, zanim nadejdzie odpowiedni moment, nic nie mogę z nią zrobić”;

2. optymistyczne: „Jeśli nie można wyjść z depresji, zanim nadejdzie odpowiedni moment, depresja nie może mi nic zrobić”.

Jeśli skłaniasz się ku pierwszemu rozwiązaniu, prawdopodobnie znajdujesz się w początkowej fazie depresji poporodowej, a jeśli ku drugiemu, serdecznie ci gratuluję, ponieważ widzisz już światło w tunelu. Każda kobieta potrzebuje czasu, by zakończyć cykl. Niektórym zajmuje to kilka tygodni, innym ponad rok. Jednak bez względu na to, jak zawiły albo dezorientujący wydaje ci się twój labirynt, pamiętaj, że musi mieć wyjście.

Wystarczy ku niemu zmierzać.

*

LORD POTON: Dostrzegam jakąś zmianę. Widzę w twoich oczach blask, którego wcześniej tam nie było.

JA: Naprawdę? To możliwe. Zeszłej nocy miałam dziwny sen.

LORD POTON: Mam nadzieję, że koszmar! Przepraszam, musiałem to powiedzieć. W końcu jestem podłym dżinem. Nie mogę życzyć ci niczego dobrego, to wbrew zasadom.

JA: W porządku. I tak był równie przejmujący jak koszmar.

LORD POTON: (bardziej zainteresowany) Naprawdę? Opowiedz!

JA: Stoimy w porcie, ty i ja. Okazuje się, że odpływasz statkiem, który przewozi dżiny z tego świata do innego. To ogromny statek z mnóstwem świateł. W porcie tłoczą się setki ciężarnych kobiet z dużymi brzuchami. Potem ty wsiadasz na pokład, a ja ze smutkiem macham ci na pożegnanie.

LORD POTON: (zdumiony) Byłaś smutna, że odchodzę? Jesteś pewna? Powinnaś być skakać z radości. Przecież zniszczyłem ci życie.

JA: Nie, to nieprawda. Sama to sobie zrobiłam.

LORD POTON: [jeszcze bardziej zdumiony] Próbujesz mi powiedzieć, że nie jesteś na mnie wściekła ani zła?

JA: Tak naprawdę to nie jestem. Sądzę, że musiałam przejść przez tę depresję, żeby lepiej dopasować do siebie kawałki układanki. Jeśli spojrzeć na to w ten sposób, powinnam ci podziękować.

Lord Poton czerwieni się po czubki uszu, jakbym uderzyła go w twarz, i robi krok w tył.

LORD POTON: (drżącym głosem) Nikt nigdy tak ze mną nie rozmawiał. Nie wiem, co powiedzieć. (Do oczu napły-

wają mu ły). Kobiety mnie nienawidzą. Tak samo lekarze i terapeuci. Wypisują o mnie takie potworne rzeczy! Nie masz pojęcia, jak się czuję, gdy obrażają mnie w broszurach, książkach i na stronach internetowych.

JA: Posłuchaj, ten statek z mojego snu nazywał się „Aurora”. To po hiszpańsku znaczy świt, po turecku Safak. Otwierając szeroko skośne oczy, spogląda na mnie w osłupieniu.

JA: Nie rozumiesz? Ja jestem tym statkiem. To ja przywiozłam cię do portu mojego życia.

LORD POTON: (drapiąc się w głowę) Przyjmijmy na chwilę, że masz rację. Po co miałabyś to robić?

JA: Bo myślałam, że przestałam sobie radzić z przekornym Chórem Niewspółbrzmiących Głosów. Zawsze ciężko mi się żyło z Calineczkami. Jeśli zgadzałam się z jedną, nie mogłam dogadać się z drugą. Jeśli jedną kochałam odrobinę bardziej, pozostałe zaczynały narzekać. Zawsze tak było. Żeby naprawić sytuację, polegałam trochę na jednej, a potem na kolejnej. Ale po porodzie ten system przestał działać. Nie mogłam znieść mojej wewnętrznej różnorodności. Macierzyństwo wymagało jedności, opanowania i kompletności, podczas gdy ja byłam podzielona na sześć części, jeśli nie na więcej. Nie wytrzymałam napięcia. Wtedy wezwałam ciebie.

W tym momencie dochodzi do najdziwniejszego zdarzenia. Na moich oczach Lord Poton zaczyna się rozpływać niczym mgła w promieniach słonecznych.

LORD POTON: (wyciąga jedwabną chusteczkę i ociera oczy). Chyba nadszedł czas pożegnania. Nigdy nie sądziłem, że mogę zachować się tak emocjonalnie. [Wyciera nos]. Przepraszam, ale całkiem mnie zaskoczyłaś.

JA: Nie ma sprawy.

LORD POTON: {pociąga nosem}. Chyba będę za tobą tęsknił. Będziesz do mnie pisała?

JA: Napiszę o tobie. Napiszę książkę.

LORD POTON: {klaszcze}. Jakie to ekscytujące. Będę sławny!

W jednej sekundzie wszystko milknie, a moje uszy wypełnia cisza. Czuję się lekka, jakby coś mnie chwyciło i uniosło w górę.

LORD POTON: W takim razie zegnaj. Ale co się stanie _ z miniaturowymi kobietami?

JA: Wyjmę je z pudełka. Każdej dam prawo głosu. Oligarchia dobiegła końca, podobnie jak zamach stanu, monarchia, anarchia i faszyzm. W końcu nadszedł czas na dojrzłą demokrację.

LORD POTON: (ze śmiechem) Pozwól, że cię ostrzeżę, moja droga: demokracja nie jest usłana różami.

JA: Może masz rację. Ale ja i tak wolę ją od pozostałych ustrojów.

CISZA PO BURZY

Pewnego słonecznego sierpniowego dnia, kiedy śliwki w ogrodzie osiągnęły fioletową doskonałość, Eyup wrócił z wojska, chudszy i ciemniejszy. Przez dłuższy czas nic nie

mówił, tylko się uśmiechał. Potem słyszałam, jak w łazience przemawia z miłością do szamponów, perfum i balsamów.

— Nie witasz się z żoną, ale gawędzisz z kremem do golenia? — zapytałam.

Roześmiał się.

— W wojsku każdy tęskni za drobnymi przyjemnościami i uczy się doceniać to, co ma.

— Może z depresją jest podobnie — odpowiedziałam.

— Nauczyłam się patrzeć na świat z zachwytem.

— Przepraszam, że nie mogłem z tobą być — mruknął, przyciągając mnie do siebie. Potem dodał z namysłem:

— We dwoje lepiej byśmy sobie z tym poradzili.

— Co masz na myśli?

— Dlaczego nie poprosiłaś o pomoc krewnych albo przyjaciół w tym trudnym czasie? Dlaczego nie zatrudniłaś niani do pomocy? Dlaczego wszystko próbowałaś robić sama?

Kiwnęłam głową.

— Myślałam, że sobie poradzę. Myślałam, że zapewnię dziecku zdrowy pokam, ukołyszę je do snu i będę pisać swoje powieści. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że sama nie dam rady. To była jednocześnie moja siła i słabość.

— Odtąd wszystko będziemy robić razem — oświadczył czule.

— Świetnie! — wykrzyknęłam. — Będziesz opiekował się dzieckiem, kiedy ja będę pisać?

Zamarł, a w jego oczach przemknął cień paniki.

— Zacznijmy szukać niani.

I tak też zrobiliśmy. W ciągu dziesięciu dni znaleźliśmy nianię z Azerbejdżanu, kobietę hojnie obdarzoną przez los — o ogromnych piersiach, zębach przyprószonych złotem, tubalnym głosie i donośnym śmiechu. Oszalałające połączenie Mary Poppins, Xeny wojowniczej księżniczki i Dobrominy, korpulentnej, dominującej żony Wercyngetoryksa i pierwszej damy wioski z opowieści o Asteriksie. Ta kobieta potrafiła wypowiadać najśłodsze słówka po turecku, trajkotać po rosyjsku i wierzyła, że główny problem Stalina polegał na braku dobrej niani w dzieciństwie. Przekazała nam podstawową wiedzę o dzieciach — jak sprawić, by się im odbiło, jak ukołysać je do snu, jak je nakarmić i jak znaleźć czas dla siebie. Ogromnie nam pomogła. Wszyscy sobie pomogliśmy.

*

W tym samym miesiącu odbyło się przyjęcie z okazji rocznicy dodatku literackiego do liberalnej gazety. Na miejscu obchodów zastałam tłum powieściopisarzy, poetów, krytyków, lokalnych i zagranicznych reporterów, fotografów i naukowców popijających wino z papierowych kubków, skubiących koreczki serowe i gadających bez opamiętania. Tak jak podczas większości wydarzeń towarzyskich w Stambule, nad głowami zebranych leniwe koła zataczała gęsta, szara mgła — dym papierosów, cygar i fajek. Na szczęście byliśmy na tarasie, powietrze obok nas i nad nami było rześkie, a niebo ciemnoniebieskie jak ocean.

I właśnie tam, po tak długim czasie, natknęłam się na panią Adalet Agaoglu. Posłała mi uśmiech.

— Pamięta pani naszą rozmowę? — zapytała.
— Jak mogłabym zapomnieć? — odparłam.
— Jestem pełna szacunku, że postanowiła pani zostać matką — powiedziała, trzymając moją rękę i spoglądając mi głęboko w oczy.
Delikatnie ścisnęłam jej dłoń, po czym zwróciłam się do niej z pokorą:

— A ja szanuję pani decyzję o rezygnacji z macierzyństwa, żeby w pełni poświęcić się pisaniu.
Mimo wszystko, jak pokazują krótkie fragmenty życia pisarek — ze Wschodu i Zachodu, z przeszłości i teraźniejszości — każda historia jest inna. Nie istnieje jedna recepta na macierzyństwo i pisarstwo, która odpowiadałaby nam wszystkim. W rzeczywistości przez świat literatury wiedzie wiele dróg, a wszystkie prowadzą do tego samego celu i są równie wartościowe. Tak jak każdy pisarz rozwija własny niepowtarzalny styl, czerpiąc inspirację z prac innych autorów, tak my, kobiety, jako istoty ludzkie, szukamy indywidualnych odpowiedzi na uniwersalne pytania i potrzeby, a otuchy dodaje nam odwaga pozostałych.
Później, gdy obserwowałam, jak pani Agaoglu wychodzi z przyjęcia, a wieczór wolno zbliża się ku końcowi, zdałam sobie sprawę, że życie kolejny raz zatoczyło pełne koło.

PANOWANIE CALINECZEK

Trzymam zamknięte pudełko na kolanach i ściskam je mocno, nasłuchując. Ze środka nie dochodzi żaden dźwięk. Żaden szmer. Moje serce wali jak szalone. Czy nic im się nie stało? Tak bardzo za nimi tęskniłam, że do oczu napływają mi łzy.

Po chwili majstrowania zamek otwiera się z głośnym kliknięciem.

— Wyjdźcie, proszę — mówię.
Przez całą minutę nikt się nie rusza. A potem, osłaniając oczy przed światłem, zmęczone, ale w dobrej kondycji, wychodzą miniaturowe kobiety, jedna po drugiej.

— Nareszcie wolna! — wykrzykuje Mamcia Pudding Ryżowy. — Zesztywniał mi kark. Potworne doświadczenie. Żadnej lodówki, kuchenki mikrofalowej, urządzenia do gotowania ryżu. Całymi miesiącami nie mogłam nawet zaparzyć herbaty!

Następna wystawia głowę Panna Intelktualistka Cyniczna. Przytrzymując liczne warstwy hippisowskiej sukienki, wychodzi z wyniosłym uśmiechem na drobnej twarzy.

— Mów za siebie. Ja jestem przekonana, że ta egzystencjalna udręka, która właśnie dobiegła końca, dokona we mnie artystycznego przełomu. Grecy filozofowie uważali, że melancholia niekoniecznie jest złym doświadczeniem. Na przykład według Platona rzeczona melancholia może poprawiać jakość twórczości artystycznej...

— Daj już spokój — utyskuje Milady Ambicja Czechowska. Próbuje wygramolić swoje drobne ciało z pudełka. W końcu udaje jej się usiąść na wieczku pudełka, gdzie poprawia włosy. — Nie mogę uwierzyć, ile cennego czasu straciłyśmy w tym zakładzie karnym. Ten dzień dosłownie

ukradł nam osiem miesięcy życia! A tyle mogliśmy osiągnąć.

— Ogr przypadł? — pyta Panienska Praktyczna, wychodząc na zewnątrz i rozglądając się dookoła.

— Tak. Nie martw się. Już go nie ma — zapewniam. Panienska Praktyczna uśmiecha się, a w jej oczach migocze dawna figlarność.

— Jedną chwilunię. Czy od razu popędziłaś nas uwolnić?

— Tak właśnie było — mówię. — Bardzo za wami tęskniłam.

— Za mną też, skarbie? — pyta Blue Belle Bovary, wydymając krwście czerwone usta i posyłając mi całusa.

— Nawet za mną?

— Nie nawet, tylko też — odpowiadam. — Za wszystkimi tęskniłam tak samo.

— Co masz na myśli? — docieka Blue Belle Bovary.

— Nigdy nie traktowałaś nas jednakowo.

— Masz rację. To był błąd i przepraszam was za to. Odtąd nie będę cenzurować żadnej z was. Wszystkie będziecie miały prawo głosu. Żyjemy w demokracji.

— Nareszcie — stwierdza Pani Derwisz ze szczerym uśmiechem. — Zawsze o tym marzyłam. To fantastycznie! Pierwszy raz w życiu zdaję sobie sprawę, że Calineczki tworzą Jedność — są nierozłącznymi elementami całości. Gdy jednej doskwiera chłód, wszystkie drżą. Gdy jedna jest ranna, wszystkie krwawią. Kiedy jedna jest szczęśliwa i spełniona, pozostałe czerpią z jej zadowolenia.

Milady Ambicja Czechowska i Panna Intelktualistka Cyniczna przeprowadziły niegdyś zamach stanu, ponieważ chciałam zdusić moją matczyną naturę. Nie byłam gotowa na poznanie Mamci Pudding Ryżowy. A gdy złożyłam przysięgę pod Drzewem Mózgowym, nie byłam pogodzona z własnym ciałem. Nie byłam otwarta na Blue Belle Bovary. Monarchia absolutna Mamci Pudding Ryżowy podczas ciąży wynikała z mojego przekonania, że pozostałe wewnętrzne głosy nie pasują do macierzyństwa. Za każdym razem stawiałam na piedestale jedną miniaturową kobietę kosztem pozostałych.

Jestem nimi wszystkimi — z ich wadami i zaletami, plusami i minusami, wszystkie ich historie tworzą księgę mojego życia.

*

Hélène Cixous — uczona, eseistka, krytyk literacki, pisarka, jeden z najoryginalniejszych i najważniejszych twórców naszych czasów — twierdzi, że jej teksty są pisane bielą i czernią, mlekiem i nocą. Dla niej patriarchy nie istnieje poza królestwem estetyki i poezji. Analizuje freudowski pogląd, według którego kobieta to „niedostatek”, a ostatecznie stawia tezę, że kobieta to „nadmiar”. Kobiecą twórczość opisuje za pomocą metafor nawiązujących do wydawania na świat dzieci, karmienia piersią i aluzji do kobiecego ciała. „To ważne, żeby definiować pisarską praktykę kobiet teraz i w przyszłości, ponieważ rzeczona praktyka nigdy nie zostanie ujęta w jedną teorię, jeden schemat, jeden kod — co nie znaczy, że nie istnieje”.

Zdaniem Cixous macierzyństwo to dający poczucie

spełnienia, najbardziej intensywny związek jednej istoty ludzkiej z drugą. Chociaż grubą kreską oddziela to, co kulturowe, od tego, co biologiczne, nie uważa tej drugiej kategorii za nieistotną. Z biologii kobiety czerpie natchnienie dla swoich metafor. „Przelewam się! Moje piersi są pełne. Mleka. Atramentu. Pora karmienia...” Cixous to uczona, która jednocześnie krytykuje i wspiera pisarki. Uważa, że wiele autorek zamiast osłabiać patriarchy od wewnątrz, postanowiło pisać tak jak mężczyźni, powielać te same wzorce i stereotypy. Doradza nowy sposób pisania, oparty na libidynalnej ekonomii rodzaju żeńskiego, *écriture féminine*, krytyczny wobec logocentryzmu i fallocentryzmu, które miałyby okrążyć, drażąc podziemne tunele niczym kret.

Zmiany społeczne nie zachodzą bez zmian językowych. Kobiety muszą przerwać milczenie. Muszą tworzyć. „Powinnyśmy pisać tak, jak nam się marzy”, stwierdza Cixous. Ursula K. Le Guin to jedna z moich ulubionych pisarek. Zapytana o to, jaki czekałby ją los, gdyby nie wybrała kariery literatki, odpowiedziała: „śmierć”. Od dnia, w którym jako pięciolatka zaczęła pisać, aż do dzisiaj nigdy nie zwolniła tempa. Chociaż sięga po przeróżne formy utworów, a przy tym jest niezwykle płodna i kreatywna, powiedziała kiedyś, że pisanie nigdy nie przychodziło jej łatwo. „Ponoszenie odpowiedzialności za dobro naszych dzieci i doskonałość naszych książek przez jakieś dwadzieścia lat, godzina po godzinie, dzień po dniu, następcza ogromnych trudności: wymaga nieustannego wydatkowania energii i uciążliwego ważenia rywalizujących ze sobą priorytetów”. Twierdzi jednak, że pomimo trudności ręką, która buja kołyskę, pisze książkę.

Ustawiam miniaturowe kobiety na swoim biurku, po czym przytulam je wszystkie. Chichocząc, one także mnie ściskają.

Panna Intelktualistka Cyniczna, Milady Ambicja Czechowska, Paniienka Praktyczna, Mamcia Pudding Ryżowy, Pani Derwiz, Blue Belle Bovary i głosy, których jeszcze nie poznałam, stoją obok siebie. Nikt nie próbuje nikim rządzić, nikt nie jest dyktatorem. Nikt nie nosi korony ani nie dzierży berła. Już nie.

To nie znaczy, że wszystkie zgadzają się w każdym temacie. Jednak uczą się sztuki koegzystencji, skoro już słuchają, a nie tylko mówią. Wiedzą, jak korzystać ze swobody i równości, potrzebują się nawzajem. A gdy choćby jeden głos jest zniewolony, żaden nie cieszy się swobodą. Razem uczymy się, jak w pełni radować się życiem, pisaniem i miłością, zwyczajnie dzięki temu, że jesteśmy sobą. Czasami wychodzi nam to pięknie i naturalnie, a czasami ponosimy sromotną klęskę. Gdy upadamy, przypominamy sobie chwile harmonii i łaski i podejmujemy kolejną próbę.

I tak mniej więcej toczy się teraz moje życie: robię krok w tył, ruszam do przodu, upadam, wstaję, idę dalej, potykam się i kolejny raz ląduję twarzą przy ziemi, zbieram się w garść i podejmuję marsz.

EPILOG

Rok później skończyłam nową powieść Czterdzieści zasad miłości, która osiągnęła w Turcji status bestsellera. Ponownie zaczęłam udzielać wywiadów, pisać felietony i eseje, bywać na festiwalach literackich, a także przemieszczać się między kulturami, jak to miałam w zwyczaju. Przeszłam wykladać na Uniwersytecie Arizony, ponieważ wielogodzinne podróże z dzieckiem okazały się niemożliwe. Teraz dzielimy czas między Londyn a Stambuł; w każdym z tych miast spędzamy pół roku. Nauczyłam się łączyć koczowniczą egzystencję z wymogami osiadłego trybu życia.

Nasza córka nazywa się Szeherazada Zelda — na cześć czarującej gawędziarki ze Wschodu i Zeldy Fitzgerald. Osiemnaście miesięcy później na świat przyszedł nasz syn, Emir Zahir. Pierwsze imię zawdzięcza dawnym tradycjom Wschodu, a drugie historii autorstwa Borgesa, Az-Zahirovi i książce Paula Coelho Zahir.

Zelda i Zahir, podobnie jak piękno i intensywność macierzyństwa, nieustająco inspirują mnie we wszystkim, co piszę i robię. Jestem im za to ogromnie wdzięczna.

Druga ciąża nie była kłopotliwa i ani po porodzie, ani w kolejnych miesiącach nie wpadłam na Lorda Potona lub jego krewnych. Słyszałam, że dokuczają mu starość i artretyzm. Być może wkrótce przestanie uprzykrzać życie matkom noworodków i zadowolony się polerowaniem swojej lampy.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Do Czytelnika 9

Pomywaczka, którą spotkało szczęście 15

CZĘŚĆ PIERWSZA

ŻYCIE PRZED MAŁŻEŃSTWEM

Znaki 29

Na początku była herbata 41

Utalentowana siostra 52

Jeszcze jedna filiżanka herbaty 64

Wewnętrzny harem 71

Księżycowa Kobieta 89

CZĘŚĆ DRUGA

ZAPOWIEDŹ ZMIAN

Co wiedzą ci, którzy łowią ryby 97

O poetach i dzieciach 109

Zamach stanu o północy 116

CZĘŚĆ TRZECIA

UMYSŁ KONTRA CIAŁO

Tam, gdzie mieszkają wróżki 129

Kobiety, które nazwały się na nowo 135

Zbiegła pasażerka 147

Uroczyste przyjęcie 157

W poszukiwaniu bogini matki 163

Na zewnątrz wszystko wygląda normalnie 174

Siedząc na krawędzi 179

Drzewo mózgowe 187

Tajemnica zwana mózgiem 197

CZĘŚĆ CZWARTA

NIGDY NIE MÓW NIGDY

Słodka miłość 205
Pani Cebula 211
Pochwała egoizmu 223
Kiedy uśmiecha się Wielki Bazar 229
Małe kobietki o wielkich sercach 233
Jedną niebieską, jedną różową 240
CZEŚĆ PIĄTA
PIĘKNA KAPITULACJA
Dziennik kobiety ciężarnej 249
Książki i dzieci 272
Bezbrzeżne morze 280
Dlaczego padamy w depresję. kiedy zależymy na szczęściu? 286
Niebiańskie oko 291
CZEŚĆ SZÓSTA
MROczNA SŁODYCZ
Dżin w pokoju 297
Kobiecość jako niekompletna narracja 303
Nieznajoma w lustrze 310
Lord Poton i jego rodzina 315
Lord Poton i ty 318
Matki pisarki i ich dzieci 323
Kryształowe serce 329
Pożegnanie z dżinem 335
CZEŚĆ SIÓDMA
ŚWIT
Cisza po burzy 343
Panowanie Calineczek 346
Epilog 351